

KATARZYNA ŻWIREŁŁO

NIM PADNIE PIERWSZY STRZAŁ

Nigdy nie lekceważ
przeciwnika

KATARZYNA ŻWIREŁŁO

**NIM PADNIE
PIERWSZY
STRZAŁ**

Autor:

Katarzyna Żwirełło

Redakcja:

Agata Tokarska

Korekta:

Dominika Wilk

Natalia Chrobak-Lechoszest

Skład i projekt okładki:

Alicja Malinka

Zdjęcia z okładki:

© Tomas Anuziata from Pexels

© Harrison Haines from Pexels

ISBN 978-83-66977-099

© Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak

ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów

www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów 2021, wydanie I

Druk: Abedik SA

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book cream 2,0 70 g/m²

dostarczonym przez Antalis Poland sp. z o.o. 

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

Po raz kolejny – książkę dedykuję tym,
którzy ślubowali służyć, chronić i strzec.
Nawet z narażeniem życia...
I słów tych dotrzymali.

Z marmuru łuk nam chciałaś wznieść,
A miłość to nie zwycięstwa pieśń,
To zimne i skruszone „alleluja”.
(LEONARD COHEN, TŁUM. WŁASNE)

Opowiadana historia jest inspirowana prawdziwymi wydarzeniami, które miały miejsce w 2003 roku. Wszystkie przedstawione w niej postacie są fikcyjne, a wszelkie podobieństwo do istniejących osób – przypadkowe. Wiele faktów zmieniono na potrzeby powieści, która nie może być traktowana jako zapis rzeczywistych wydarzeń.

6 MARCA, CZWARTEK

Kolumna dwunastu policyjnych samochodów, przewożąca łącznie czterdziestu funkcjonariuszy, sunęła czarną asfaltową drogą. Obraz za bocznym oknem jadącego na czele land rovera zlewał się w jedną, ciemną masę. W pojeździe słychać było jedynie szelest ubrań oraz warkot silnika. Nie było rozmów ani ponownego powtarzania planu, jedynie porozumiewawcze spojrzenia. Wszyscy znali swoje zadania.

Dowódca spojrział na jednego z najmłodszych policjantów i już wiedział, że chłopak się denerwuje. Jechali dokonać zatrzymania dwóch niebezpiecznych przestępców, którzy twierdzili, że nie poddadzą się bez walki. Doświadczeni gliniarze niewiele robili sobie z tego gadania, jednak tych najbardziej wtajemniczonych niepokoiło kilka innych spraw: uzbrojenie bandytów... ich poinformowanie o poczynaniach służb... ich brak oporów przed pociągnięciem za spust.

Młody policjant miał robić plecy starszemu, bardziej doświadczonemu dowódcy i trzymać w ryzach swój impulsywny temperament. Tylko tyle... i aż tyle.

Wiedzieli, że kiedy otworzą się drzwi samochodu, będą już na wrogim terenie. Rozpocznie się akcja z najazdu, która nie powinna trwać dłużej niż kilka intensywnych minut. Dwudziestu sześciu funkcjonariuszy wkroczy na ogrodzony dwumetrową siatką teren. Dwóch zostanie w odwodzie ze sprzętem specjalistycznym, ośmiu otoczy budynek, ośmiu innych zabezpieczy parter, ośmiu kolejnych opanuje piętro i dokona zatrzymania poszukiwanych. Oprócz tych wyznaczonych do przeprowadzenia akcji na miejsce zmierzało jeszcze czternastu dodatkowych policjantów. Na wszelki wypadek...

Samochodem zarzuciło. Młody wyczuł, że zjechali na gruntową, podmiejską drogę. „Już blisko” – pomyślał i mocniej zacisnął dłonie na pistolecie maszynowym. Odetchnął głęboko, przygotowując się na wstrząs. Ten nastąpił po chwili, a do uszu policjantów dobiegł metaliczny zgrzyt taranowanej bramy. Pojazd zatrzymał się gwałtownie. Dowódca otworzył drzwi i grupa szturmowa sprawnie uformowała szereg bojowy.

Ciemno. Zimna noc. Na ziemi leżały poduchy skawalonego śniegu, który skrzypiał pod nogami.

Najciszej, jak było to możliwe, podeszli pod ścianę budynku, choć ich dynamiczny przyjazd i tak obudził okoliczne psy.

Młody policjant przywarł bokiem do muru. Z jego ust unosiła się para, jednak nie odczuwał chłodu. Adrenalina skutecznie rozgrzewała ciało.

Od drzwi wejściowych dzieliło go zaledwie kilka metrów, a od dokonania aresztowania jedynie sekundy. Chwila ciszy i oczekiwania na sygnał do wejścia wyostrzyła mu zmysły. Nasłuchiwał. Wszystko zdawało się iść jak z płatka, kiedy nagle usłyszał dudnienie dochodzące z wnętrza uspiętego domu. Dostrzegł, że stojący tuż przed nim dowódca wyprężył się nieco i przekręcił głowę. Musiał usłyszeć to samo. Nim zrozumieli, czym był ów dźwięk, nastąpiło niespodziewane...

STYCZEŃ

1

„Nie chwal dnia przed zachodem”

KILKA TYGODNI WCZEŚNIEJ

– Chłopak ma talent. Chciałbym go zabrać ze sobą – powiedział nadkomisarz Filip Tyszka, siedzący w fotelu pasażera.

Kierowca, podinspektor Aleksander SzuwarSKI, obrzucił go szybkim spojrzeniem, uśmiechnął się pod nosem i odparł:

– Uważasz, że jest naszym najlepszym człowiekiem, a chcesz go zabrać do narkotykowego? Z czym zostanę ja?

– Wcale nie twierdzę, że Berg jest najlepszy!

– Nie?

– Jest trochę narwany, ale do utemperowania – mruknął nadkomisarz, po czym pewnie dodał: – Ma potencjał!

– Niejeden w tej robocie ma potencjał, ale nieliczni wytrzymują nerwowo takie tempo do emerytury. Powiedziałbym nawet, że zbyt wielu wypala się za wcześnie.

Tyszka przytaknął ze zrozumieniem i po chwili zastanowienia powiedział:

– Nadal będziesz miał Wodzińskiego, Mareckiego i Dukowskiego, choć ten ostatni...

– Co? Wypali się, nie?

– Być może. Czas pokaże. Nie musimy rozmawiać o tym teraz, wiesz? Dopóki nie zamkniemy sprawy, nie mam zamiaru nigdzie uciekać.

– I dobrze, Stary – przyznał SzuwarSKI, włączając prawy kierunkowskaz.

Tyszkę nazywali „Starym” tylko najbliżsi koledzy i nie dostał tej ksywki z uwagi na metrykę, lecz na usposobienie. Lubił klasyczne, wiekowe samochody, grywał

w szachy, nosił koszule w kratę i tweedowe spodnie. Był człowiekiem zrównoważonym, dbającym o ludzi, za których odpowiadał. Miał czterdzieści pięć lat i zamierzał pracować, dopóki wystarczy mu sił. Mówiono o nim „głina z powołania”.

Od kilku miesięcy razem z Szuwarem oraz grupą operacyjną rozpracowywali szajkę przestępczą parającą się handlem bronią i narkotykami. Do tej pory łowili płotki, udało im się aresztować paru ulicznych dilerów, ale każdego dnia znajdowali się coraz bliżej bandyckich dowódców. Wiedzieli już, kogo szukają, nie mieli tylko pojęcia, gdzie ich znaleźć, bo od ostatniego, nieudanego zresztą nalotu szefowie gangu, Marcin Laczyk i Szymon Walicki, zapadli się pod ziemię. Aż do tego dnia.

Nim Szuwarek skręcił, przez skrzyżowanie przejechał biały volkswagen golf. Samochód momentalnie przykuł uwagę obu policjantów. Podinspektor bez zwłoki ruszył za nim, nie czekając już na strzałkę ani zielone światło. Wyteżył spojrzenie.

– Już nie te oczy, co kiedyś – przyznał zirytowany. – Widzisz blachy?

Tyszka przymrużył oczy, po omacku wyciągając z kieszeni notatnik. Przekartkował parę stron, szukając odpowiedniej notatki.

– To on – rzucił po chwili, a w jego głosie dało się usłyszeć podekscytowanie. – To wóz Marcina Laczyka!

– Jasna cholera! Dzwon do kierownika! Zatrzymujemy go, czy jak?!

Nadkomisarz sięgnął po komórkę służbową. Po krótkiej rozmowie spojrzał na kumpla i powiedział:

– Zatrzymujemy skurczybyka! Wyprzedź go, każę mu zjechać na pobocze. Masz przy sobie broń, prawda?

– Jasne, że mam! Od lat zabieram klamkę do domu. Daj spokój, Stary, mamy do czynienia z ludźmi, którzy bez wahania podciąliby nam gardła we śnie!

To powiedziawszy, Szuwarek docisnął pedał gazu. Podczas wyprzedzania Tyszka pokazał kierowcy legitymację i pomachał ręką w kierunku pobocza. Zajechali im drogę, po czym zwolnili aż do zatrzymania.

– Kiedy wyprzedzałeś, zauważyłem pasażera – przyznał Tyszka z rezerwą.

– To niczego nie zmienia – odparł Szuwarek i przeładował broń. Wsunął ją sobie do wewnętrznej kabury, po czym dodał: – Podchodzimy spokojnie, jak do zwykłej kontroli drogowej.

– A co później?

– Każę Laczykowi wysiąść, że niby do dmuchania. Miej oko na tego drugiego – zarządził podinspektor.

Tyszka zerknął w boczne lusterko. Widział w nim kawałek białego golfa

i siedzącego w środku pasażera. Po krótkiej chwili zapytał:

- Czy to nie jest przypadkiem Walicki?
- Jeżeli jest, to mamy dwie pieczenie na jednym ogniu. Niespodziewane szczęście i piękny koniec sprawy...
- Jak to mówią, nie chwał dnia przed zachodem. Może poczekamy na wsparcie?
- Będą tu za jakieś dziesięć minut. Jak będziemy tak stać i czekać, Laczyk się domyśli, że to nie zwyczajna kontrola, i jeszcze zacznie uciekać. Idziemy.

Wysiedli jednocześnie. Tyszka nie spuszczał oka z siedzących w samochodzie sylwetek, które z początku pozostawały nieruchome. Szybko nabrał pewności, że mężczyzną obok Laczyka jest Szymon Walicki. Przeszli zaledwie kilka metrów w stronę golfa, kiedy w jego wnętrzu zapanowało pewne poruszenie. Nim zdążyli zareagować, powietrze rozdarł niespodziewany huk.

2

„Teraz cała Polska będzie patrzeć nam na ręce”

W biurze Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym panował spokój. W niewielkim, nudnym, zawalonym papierami pomieszczeniu siedziało dwóch młodych funkcjonariuszy. Jeden z nich, blondyn o wesołym spojrzeniu jasnych oczu, oderwał się od komputera, wyrzucił ręce ku górze i przeciągnął się z westchnieniem. Potem powoli wstał zza biurka.

– Idziesz już, Adaś? – zapytał drugi funkcjonariusz, nie podnosząc nawet głowy znad papierów.

– Tak, wszystko już skończyłem – odparł młodszy aspirant Adam Dukowski, niespiesznie zakładając kurtkę. – A ty kiedy kończysz?

– Jeszcze trochę – mruknął prawie niedosłyszalnie ten drugi i podrapał się po ciemnej czuprynie.

Dukowski wzruszył ramionami, po czym usiadł na biurku przyjaciela. Ten uraczył go nieprzychylnym spojrzeniem, bijącym z nadzwyczajnie łagodnych oczu.

– Nie wkurzasz się chyba za tę akcję z weselem, co?

– Skąd! Zaproponowałeś Wodzowi, że za miesiąc nasz zespół, składający się z pianisty alkoholika, znerwicowanego perkusisty, wypadającego z rytmu gitarzysty i wokalisty totalnego amatora, zagra na jego weselu! Wspaniale zabawimy wszystkich gości, a potem przez miesiąc będziemy szorować kible na komendzie.

– Przesadzasz, Berg! Ja wcale nie wypadam z rytmu!

– Czasami grasz za wolno, ale teraz nie o to chodzi! Do czegoś takiego trzeba się

porządnie przygotować, a czy mamy na to czas? Całe dni spędzamy w robocie. Robimy próby raz na dwa tygodnie. To za mało!

– Znajdziemy czas. Mówiłem już chłopakom, ucieszyli się.

– A nie przyszło ci do głowy, żeby najpierw zapytać mnie o zdanie? Może ja nie chcę, żebyśmy grali na tym weselu?

– Dlaczego miałbyś nie chcieć, przecież... zaraz, zaraz – rzucił z uśmiechem Dukowski. Nachylił się nieco i spojrzał przyjacielowi w oczy, kiwając przy tym palcem wskazującym. – Ja już rozumiem, dlaczego się wściekasz. To nie chodzi o nasze przygotowanie, tylko o nią!

– Wcale nie...

– Tak! Chodzi o siostrę Wodza! Ona tam będzie, a ty, wokalista, nie będziesz mógł wmieszać się w tłum – mówił Dukowski z uśmiechem, a powaga na twarzy przyjaciela rozbawiała go jeszcze bardziej.

– Daj już spokój, Adaś! Postawiłeś nas przed faktem dokonanym, teraz już nie ma odwrotu – odparł Berg i spojrzał na zegarek opasujący jego lewy nadgarstek. – Za dwie godziny widzimy się na próbie, a teraz daj mi dokończyć robotę.

Adaś powoli zsunął się z blatu biurka, gdy niespodziewanie z impetem otwarto drzwi. Do środka zajrzał postawny mężczyzna o mocno rozbudowanych barkach.

– Gdzieś się pali, Dziki? – zapytał spokojnie Adam.

„Dziki” wyraźnie nie podzielał jego żartobliwego nastroju. Z powagą na twarzy na jednym wydechu oznajmił:

– Tyszka i Szuwarowski próbowali zatrzymać Laczyka. Strzelali się.

– Gdzie?! – wykrzyknął Berg, podrywając się z krzesła. Ożywiony złapał kurtkę i doskoczył do postawnego policjanta.

– Gdzieś przy Dickensa i Grójeckiej. Wódz już tam pojechał, Proca! Kazali nam tutaj poczekać! – rzucił jeszcze Dziki, kiedy młody funkcjonariusz odepchnął go od progu i pognął korytarzem do wyjścia.

Adaś energicznie chwycił leżący na biurku portfel, po czym pobiegł za przyjacielem. Próbował go dogonić, ale gdy wybiegł z budynku na parking, zobaczył jedynie odjeżdżającą z piskiem opon hondę civic.

Sierżant sztabowy Alan Berg nawet nie myślał, by na niego poczekać. Chciał jak najszybciej znaleźć się na miejscu zdarzenia. Choć nie wiedział dokładnie, co tam się stało i jak przebiegła strzelanina, miał złe przeczucia, co zastanie.

Pół kilometra przed wskazanym przez Dzikiego skrzyżowaniem pojawił się korek. Zniecierpliwiony policjant wjechał na chodnik i tam zostawił samochód. Resztę dystansu pokonał biegiem.

Im bardziej się zbliżał, tym więcej dostrzegał. Grójecką częściowo zamknięto. Policyjne radiowozy blokowały przejazd, a funkcjonariusze kierowali ruchem ulicznym. Za radiowozami zauważył policyjnego vana oraz dwie karetki. Na poboczu stał samochód, który Berg rozpoznał od razu. Była to bordowa škoda należąca do podinspektora Szuwarskiego. Brakowało w niej tylnej szyby, a rozkruszone szkło obsypało ulicę.

Szedł jak w ciemnym tunelu, na którego końcu nie majaczyło nawet najblidsze światło. Nie zauważył i nie usłyszał dwóch policjantów, którzy zabronili mu wejścia na teren prowadzonych czynności. Dopiero gdy jeden z nich złapał go mocno za ramię, Berg oprzytomniał.

– Jestem z WTK – wyjaśnił i skinął na stojących nieco dalej funkcjonariuszy. – Tam jest mój naczelnik i nadkomisarz Wodziński. Pracujemy razem.

Dali mu przejść. Czuł, że nogi ma jak z waty. Szedł w stronę policjantów, ale rozglądał się wokoło, wypatrując nadkomisarza Tyszki. W końcu jego spojrzenie wylądowało na zakrwawionym asfalcie, a następnie na czarnym worku leżącym parę metrów dalej. Jego serce jakby na chwilę stanęło. Zatrzymał się i tkwił tak w bezruchu, aż usłyszał głos Tomasza Wodzińskiego.

– To Szuwarski. Tyszkę zabrali do szpitala.

Na dźwięk tych słów Berg odetchnął z nieznaczną ulgą.

– Co się stało? – wykrztusił.

– Jechali razem z biura i przypadkiem natknęli się na samochód Laczyka. Tyszka zadzwonił skonsultować się z naczelnikiem. Podjęli decyzję o zatrzymaniu. Potem dowiedzieliśmy się o strzelaninie i przyjechaliśmy. Szuwarski dostał w głowę, Tyszka kilka razy w brzuch. Zawieźli go na Szaserów. Laczyk uciekł. Zerkniemy na miejski monitoring i dowiemy się, co zaszło... A ty dokąd? – rzucił Wodziński, gdy Berg niespodziewanie zawrócił.

– Jadę do szpitala.

– Nic tam teraz po tobie! – odparł Wodziński, stając młodemu policjantowi na drodze. – Lekarze zrobią swoje, a ty przydasz się w robocie. Wszyscy jeżdżą teraz po mieście...

– To strata czasu! Laczyk przecież nie jest głupi! Zaszyje się gdzieś na dłużej. Pewnie już jest poza Warszawą.

– Musimy to dobrze rozegrać, Proca. Teraz cała Polska będzie patrzeć nam na ręce.

– Mam to gdzieś! Jak znajdę skurwysyna...

– Proca! – syknął Wodziński. Ścisnął mocno ramię sztabowego i przysunął się do niego tak, że Berg poczuł jego śmierdzący papierosami oddech. – Żadnych

wyskoków! Naczelnik zwał to wszystko na moje barki. Teraz słuchasz mnie, a ja nie będę cię głaskał jak Tyszka!

Berg wyrwał ramię z uścisku. Zerknął jeszcze na podziurawiony samochód Szuwarńskiego i ruszył w kierunku, z którego przyszedł.

– Jedź do biura, Berg! – rzucił jeszcze Wodziński, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Kiedy sztabowy wracał do samochodu, w jego głowie kotłowało się mnóstwo myśli. Miał ochotę przyłożyć komuś z rozmachem, ale wiedział, że to niczego nie rozwiąże. Jego priorytetem było teraz odnalezienie Marcina Laczyka, który został nie tylko wrogiem publicznym numer jeden, ale i celem dla młodego policjanta.

Sam Berg nie zdawał sobie sprawy z tego, że strzelców było dwóch. Zrozumiał to dopiero, gdy jeszcze tego samego dnia nachylał się nad miejskim monitoringiem. Obraz nie był przejrzysty, a cała sytuacja miała miejsce na dalszym planie widocznego na monitorze nagrania. Materiał jednak wystarczył, by wszyscy zrozumieli, co się wydarzyło po południu przy ulicy Grójeckiej.

Z walącym sercem Berg oglądał, jak Tyszka i Szuwarński wysiadali ze škody. Przeszli zaledwie kilka metrów, gdy niespodziewanie otwarto do nich ogień. Przystępcy nie wyszli nawet z samochodu. Strzelali przez przednią szybę, a gdy obaj policjanci leżeli już na ziemi, odjechali z miejsca zdarzenia, paląc gumy. Wszyscy się zastanawiali, kim był drugi z przestępców. Z nagrania nie mogli rozpoznać jego twarzy, a jedyną osobą mogącą udzielić odpowiedzi był pogrążony w śpiączce farmakologicznej nadkomisarz Filip Tyszka.

LUTY

3

„Służba nie drużba”

CZWARTEK

Sala weselna była prawie pusta. Stoły ustawiono pod ścianą, krzesła ułożono jedno na drugim. Nic nie wskazywało jeszcze na to, że za kilka dni odbędzie się tu huczne wesele nadkomisarza Tomasza Wodzińskiego. Jediną oznaką trwających przygotowań był zespół stojący na oszczędnie oświetlonej scenie.

Muzycy byli młodzi, pełni energii i beztroski. Z reguły grali dla własnej przyjemności, jak to zazwyczaj bywa, w garażu perkusisty. To, że szykowali się do zapewnienia oprawy muzycznej wesela, było efektem przypadku oraz gadulstwa gitarzysty, Adama Dukowskiego.

Trwała próba. Pianista uderzał w klawisze, perkusista walił w bębny, gitarzysta szarpał struny w rytm rockowego kawałka. Stojący między nimi wokalista miał dwadzieścia sześć lat, ciemne włosy i łagodne spojrzenie. Był ubrany w niebieskie dżinsy oraz czarną koszulkę. Nie dorównywał wzrostem pozostałym członkom zespołu, ale nadrabiał charyzmą.

Przysunął się do mikrofonu, aby wyśpiewać drugą już zwrotkę.

– Nie wiem, jak mam to zrobić, by mężczyzną się stać i nie wypaść ze swej roli tego, co pierwszy raz. Gładzę czule jej ciało, skradam się do jej ust. Wiem, że to jeszcze za mało, aby... aby ciebie mieć! Czerwony jak cegła...¹ Czekaście, stop. Stop, mówię! Adam, zwalniasz z tą gitarą – powiedział z nutą pretensji w głosie.

Adam odsunął palce od strun i z oburzeniem odparł:

– To ty przyspieszasz, człowieku! Nie wiem, który już raz z kolei!

– Kurde, chłopaki! – wtrącił się perkusista, odkładając pałeczki. – Robimy szybką przerwę na fajkę, bo zaraz mnie kurwica weźmie! Za mało ćwiczymy i tyle. Nie przychodźcie na próby, wychodźcie wcześniej...

– Taka praca – skwitował wokalista i zeskoczył ze sceny. Podszedł do leżącego na podłodze plecaka, wyciągnął paczkę chesterfieldów i założył grubą bluzę z kapturem.

Wysoki, szczupły pianista pociągnął łyk z piersiówki i zwrócił do gitarzysty:

– Pogadaj z nim, Adaś. Może przemówisz zakochanemu do rozsądku.

– Nie jestem zakochany! – zaprotestował wokalista.

– Jasne, jasne! Zrobiłeś się tak nerwowy, że nawet przyspieszasz z wokalem. Od tygodni myślisz tylko o niej. Jak artysta pianista myśli o wódeczce. Ewcia, Ewcia...

Berg przewrócił oczami i wyszedł na zewnątrz, niechcący trzaskając za sobą drzwiami. Wiedział, że koledzy mają rację. Przez cały czas myślał o dziewczynie, będącej poza jego zasięgiem, a świadomość, że nie znajdował w sobie odwagi, by coś z tym zrobić, frustrowała go jeszcze bardziej.

Owiał go chłodny wiatr, a do nozdrzy dotarł ostry zapach żółtawego dymu unoszącego się z pobliskich kominów. Okoliczni mieszkańcy musieli palić w piecach jakimś świństwem.

Koledzy z zespołu wyszli zaraz za nim. Gitarzysta Adaś przyglądał mu się spod ściągniętych brwi. Byli przyjaciółmi, a co za tym szło – znali się na wylot. Pozwalali sobie więc na cięte uwagi, krytykowanie siebie nawzajem i szereg podobnych zaczepek, zawsze podszytych troską oraz najlepszym życzeniem.

– Nie wnerwiaj się, Proca – powiedział w końcu Dukowski. Stał z przewieszoną na plecach gitarą i zapalał papierosa.

– Przestań tak mnie nazywać – zaprotestował wokalista stanowczym głosem.

– Utarło się już.

– Skąd taka ksywka? – dopytał pianista, walcząc z zapalniczką, która jak na złość nie chciała wykrzesać iskry.

Adam podał koledze ogień i uśmiechnął się pod nosem do swoich wspomnień.

– Wódz zaczął go tak nazywać po jednej akcji! – wyjaśnił. – Mieliśmy zatrzymać takiego Rikiego. Wywinął się koledze, a Proca, sru!, pobiegnął za nim bez sekundy zwłoki! My wszyscy szukamy osłony, bo facet uzbrojony, a Berg miał wszystko w dupie. Dopadł go, nim reszta się obudziła. „Wystrzelił jak z procy!”, jak to powiedział wtedy Wódz, i tak już zostało. Ja bym go nazwał wariatem albo świrem.

Co ty na to, sierzancie sztabowy?

– Nie, dzięki. Dobrze wiedzieć, co naprawdę o mnie myślisz... – odparł Alan Berg, zerkając na przyjaciela z ukosa.

– To zostanie Proca, a ty nie masz nic do gadania. Lepiej powiedz, co z tą Ewką.

– Nic. Nie widziałem jej od tamtej imprezy u Mareckiego. Przyszła raz, zobaczyła, co to za towarzystwo, i pewnie nie ma zamiaru wracać.

– Nie przesadzaj! Siostra Wodza to fajna dziewczyna. Gadałem z nią, wiesz? W przeciwieństwie do ciebie.

Proca zaciągnął się papierosem.

– Nie miałeś odwagi, co? – podpuszczał go dalej Adam. Jego uśmiezek był jak szpila wciskana między żebra przyjaciela. – Pies na bandziorów, ale do ładnej dziewczyny to jak nieopierzony kurczaczek! Ona nawet nie wie, że istniejesz!

– Ale się dowie!

– Na weselu? – rzucił perkusista. – Ona będzie balować, a ty śpiewać na scenie razem z nami. Jeżeli chciałeś sobie z nią potańczyć, to źle rozegrałeś sprawę, chłopie...

– Ja nie tańczę. A poza tym to wszystko przez Adasia. Gęba mu się nie zamyka!

– Wódz był w potrzebie, szukał muzyków – wyjaśnił Dukowski, odganiając przed nosa chmurę białego dymu. – Powiedziałem mimochodem, że gramy z Procą w zespole, i tyle. Skąd miałem wiedzieć, że facet podłapie temat.

– Musisz mniej gadać, stary.

– A ty więcej. Gadasz jak potłuczony albo zapominasz języka w gębie, jak się pojawia dziewczyna, na której ci zależy.

– Nie pozwalaj sobie, dobra?! Dawaj to wiosło!

Adaś przełożył pasek nad głowę i podał gitarę koledze. Ten oparł nogę na skrzynce po piwach, a instrument na kolanie. Zagrał fragment piosenki i zanucił.

– Tak masz grać! Szybsze tempo. Ludzie będą chcieli tańczyć, a nie kiwać się na boki. To wesele, nie koncert.

– Tak jest, Proca.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Jak sobie życzysz, Proca.

– Spierdalaj. Lepiej powiedz, czy pociągniesz solówkę.

– Ja zagram z palcem w nosie, ale może jako ekspert od wszystkiego wolałbyś zagrać to sam?

– O! Czyli trafiłem w czuły punkt, zwracając ci uwagę! – zauważył Berg.

Adaś wyrwał mu gitarę z rąk.

– Można zwracać uwagę, jak się ma rację, a ty jej nie masz! Jakbyś śpiewał zawsze tak dobrze, jak ja gram, to bylibyśmy zawodowym zespołem i grali biletowane koncerty.

– Twierdzisz, że fałszuję?

– Twierdzę, że wypadasz z tempa. Słuchaj, jak gra cały zespół, nie wyrywaj do przodu, to wszystko będzie dobrze.

Chyba obaj wiedzieli, że nie rozwiążą tego konfliktu w tym momencie. A może nawet nie rozwiążą go nigdy, bo każdy z nich był święcie przekonany o swojej racji. Wrócili do środka, dalej rozważając, czy to gitarzysta zwalniał, czy wokalista przyspieszał. Berg wypił kilka łyków gorącej herbaty z termosu, Adaś roztarł nieco zmarznięte dłonie. Już mieli wznowić próbę, już wybrzmiały pierwsze takty piosenki, kiedy w kieszeni Adama Dukowskiego głośno zadzwonił telefon. Przez scenę przeleciał jęk irytacji i zniecierpliwienia. Gitarzysta uciszył wszystkich gestem uniesionej ręki. Odebrał. Rozmowa trwała krótko, a gdy się skończyła, wyjaśnił:

– Zbieramy się, Proca. Robota wzywa.

– Z wami tak zawsze! – zagrzmiął perkusista, unosząc ręce do góry w agresywnym geście rozczarowania.

– Wybacz, stary. Służba nie drużba.

Perkusista burknął coś pod nosem i wymownie spojrzął na pianistę. Nie padło ani jedno słowo, a obaj wiedzieli, że zamierzają kontynuować próbę bez drugiej połówki zespołu, która już zamknęła za sobą drzwi.

4

„Nie możemy pozwolić sobie na błędy”

W dusznym pomieszczeniu zebrało się kilkunastu funkcjonariuszy policji. Kiedy Adam Dukowski i Alan Berg dotarli do siedziby, spotkanie już trwało. Weszli po cichu, kryjąc się za plecami stłoczonych kolegów i koleżanek, po czym zakradli się bliżej, żeby lepiej słyszeć prowadzącego odprawę nadkomisarza Tomasza Wodzińskiego.

Berg usiadł na blacie stojącego pod ścianą stolika. Obserwował starszego od siebie kolegę, a od niedawna przełożonego, z podziwem. Doskonale pamiętał moment, w którym się poznali. Było to pięć lat temu, dokładnie w ten sam dzień, w którym otrzymał ksywę „Proca”.

Wraz z Tyszką, Adasiem i Dzikim oraz kilkoma innymi przyjechał zatrzymać przestępców, którzy parali się porwaniami dla okupu. Wszystko szło dobrze, dopóki jeden z nich nie uderzył Dzikiego i z bronią w ręku nie poderwał się do ucieczki. Berg pognał za nim w pojedynkę, przemierzając ulicę niczym drapieżnik goniący zwinną ofiarę.

Mężczyzna sądził zapewne, że uda mu się zgubić upartego policjanta gdzieś między blokami, jednak to osiedle okazało się pułapką. Dobiegł do wysokiego ogrodzenia, ale nie miał zamiaru się poddawać. Pchany strachem przed zniewoleniem, zaczął się wspinać po prętach. Nie zdążył przełożyć pierwszej nogi, kiedy Berg złapał go za kostkę i szarpnął tak mocno, że mężczyzna runął prosto na niego.

Szamotali się przez chwilę, po czym walczący o wolność desperat wyciągnął zza pasa broń i wystrzelił bez ostrzeżenia. Berg poczuł, jak pocisk przebił mu biceps. Nigdy dotąd nie doświadczył tak przeszywającego bólu. Z jego gardła wyrwał się jęk, a ciałem wstrząsnął spazm. Zmusił się, by odzyskać kontrolę nad zmysłami. Musiał oprzytomnieć, bo leżał na ziemi, a stojący nad nim nieprzewidywalny bandzior celował mu w głowę z pistoletu. Rozumiał, że jego życie zależy od woli tego wariata. Wystarczył jeden ruch palca, jeden strzał, by dni młodego policjanta dobiegły końca.

– Riki! – krzyknął ktoś z oddali.

„Riki” nie wystrzelił, choć ciągle miał Berga na muszce. W ich stronę biegł wysoki, wysportowany mężczyzna, którego sierżant kojarzył z akt prowadzonego dochodzenia. Facet obrzucił leżącego szybkim spojrzeniem, złapał Rikiego za przedramię, jakby chciał wymusić na nim opuszczenie broni.

– Musimy uciekać, psy za nami jadą.

Riki wymierzył ponownie, ale kolega mocniej przytrzymał mu rękę.

– Daj spokój...

– Wiesz, jakie są zasady! Żadnych świadków!

– I tak już cię widzieli! Wiesz, ile dostaniesz za zabójstwo gliniarza? Nie warto! Zostaw go!

Berg nie myślał, że bandyta odpuści. Jego kumpel był dość przekonujący, ale nie wystarczająco, by rozjuszony i zmęczony długotrwałym biegiem Riki zrezygnował. Bandzior odetchnął i opuścił broń.

– Dobra, dobra... – Pokiwał głową na zgodę.

Jednak był to tylko gest mający uspić czujność zbyt miękkiego towarzysza. Zrobił krok, a potem obrócił się gwałtownie, by wykończyć leżącego.

Nim oddał strzał, kolega złapał za zamek pistoletu, drugą ręką uderzył go w nadgarstek, a potem łokciem w szyję i pięścią w twarz. Riki padł na ziemię, zamroczony i skołowany nagłym obrotem sytuacji. Kolega, któremu ufał, z którym współpracował od tygodni, porywając ludzi i ściągając okup, teraz wykręcił mu rękę, po czym uspił go ostatnim zdecydowanym ciosem.

Berg patrzył na to wszystko biernie. Wolał nie mieszać się w konflikt między bandziorami, a z przestrzeloną ręką, która paliła go niczym podpiekana pochodnią, nie mógł zrobić zbyt wiele.

Facet spojrział na niego jakoś wyjątkowo spokojnie i zapytał:

– Masz kajdanki?

Berg z trudem sięgnął za plecy. Rzucił mu kajdanki, a kiedy mężczyzna zacisnął je

na nadgarstkach przestępcy, opanowało go niebywałe poczucie zmieszania. Spotęgowało się ono jeszcze bardziej, gdy mężczyzna ściągnął koszulę i zawiązał ją na zakrwawionym bicepsie. Spojrzał na Berga przenikliwie i zapytał:

– Nowy?

– Co?

– Jesteś nowy? Pracujesz z Tyszką?

– Tak – odparł sierżant, próbując znaleźć w swojej głowie odpowiedzi na szereg pojawiających się pytań.

– Czyli Stary powiększa ekipę... Wstawaj! – Podał Bergowi dłoń i pomógł mu się podnieść.

W powietrzu rozległo się wycie policyjnych syren. Sierżant patrzył na swojego wybawcę i czekał, aż ten poderwie się do ucieczki. Nie miał zamiaru mu w tym przeszkadzać, w końcu zawdzięczał mu życie. Jednak mężczyzna stał, niewzruszony przyjazdem policji. Oparł ręce na biodrach i czekał. Kiedy zza zakrętu wyłoniła się grupa funkcjonariuszy, na której czele biegł nadkomisarz Filip Tyszka, na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech. Spojrzał na Berga i powiedział:

– Umówmy się, że to ty go zatrzymałeś...

– Że co?

Facet klepnął sierżanta w plecy, po czym zrobił kilka kroków w kierunku policjantów, którzy zwolnili już znacznie, widząc, że sytuacja została opanowana.

Z twarzy Filipa Tyszki promieniował wyraz ulgi oraz satysfakcji. Mocno uścisnął dłoń dziwnemu przestępcy i razem z nim podszedł do rannego Berga.

– Na Boga! Alan, co się stało?!

– Widziałem z ukrycia, jak Riki wywinął się chłopakom – wyprzedził odpowiedź nieznajomy. – Młody w pojedynkę wyrwał za nim jak z procy! Pobiegłem za nimi. Riki wpadł w ślepy zaułek i go postrzelił, ale młody go obezwładnił.

Nadkomisarz zerkał to na nieznajomego, to na rannego i po krótkiej chwili zapytał:

– Poznaliście się już?

– Nie – odparł bandzior nie bandzior, mierząc rannego uważnym spojrzeniem – ale rozumiem, że to twój nowy nabytek w zespole.

– W rzeczy samej... sierżant Alan Berg, bardzo obiecujący policjant, choć jego zachowanie przyprawia mnie czasami o zawał serca.

Berg wlepił spojrzenie w swojego wybawcę i w końcu zdobył się na komentarz:

– Widziałem twoje zdjęcie w aktach... Jesteś Darek Rogalski, porywacz, złodziej... dlaczego...

– Nie wierz we wszystko, co widzisz... Proca. A już na pewno nie wierz we wszystko, co zostało napisane w aktach – odparł nieznajomy z uśmiechem i podał sierżantowi rękę. – Nadkomisarz Tomek Wodziński. Dla znajomych Wódz.

Berg uściśnął mu dłoń, mając świadomość, jak głupio musiał teraz wyglądać, jak durny musiał mieć wyraz twarzy. Spojrzał na nadkomisarza Tyszkę i powiedział:

– To jest twój informator... tajniak...

Tyszka uśmiechnął się lekko, otoczył Berga ramieniem i poprowadził do radiowozu. Proca obejrzał się jeszcze przez ramię na nowo poznanego nadkomisarza Wodzińskiego. Nagle zrozumiał, do czego zmierza jego przyszłość. Zrozumiał, co chce w życiu osiągnąć.

Od tego spotkania minęło już pięć lat, a Berg nadal darzył Wodzińskiego należnym mu szacunkiem. Chciał mu dorównać, zaimponować mu, bardziej niż komukolwiek innemu. Nie było to łatwe zadanie, bo Wodziński wymagał od niego więcej niż od innych. Mieli też różne temperamenty, więc nierzadko dochodziło między nimi do starć. Zawsze jednak wracali na wspólną ścieżkę, wiedząc, że mogą nawzajem na sobie polegać.

Wodziński podrapał się po krótko ostrzyżonych włosach i powiedział:

– Jak wiecie, dwa tygodnie temu chłopakom udało się podsłuchać rozmowę Jakuba Jankowskiego z Marcinem Laczykiem. Umówili się na spotkanie i razem pojechali do mieszkania przy Trockiej. Od tego czasu nasi obserwowali budynek. Mamy już pewność, że mieści się tam skład grupy i stamtąd wychodzą wszystkie narkotyki. Panuje tam spory ruch. Dilerzy przychodzą po towar i odstawiają zarobioną kasę. Raz w tygodniu, w poniedziałki, spotykają się większą ekipą. Są tam wtedy wszystkie grube ryby, a co chyba dla nas najważniejsze: Szymon Walicki i Marcin Laczyk.

– Dorwiemy ich, Wodzu! – zabrzmiał spomiędzy zebranych mocny głos Dzikiego.
– A jak się czuje nadkomisarz Tyszka?

– Teraz już podinspektor. Czuje się lepiej. Wybudzono go ze śpiączki farmakologicznej i powoli dochodzi do siebie.

– Laczyk odpowie za to, co zrobił. – W słowach funkcjonariusza dało się słyszeć zaangażowanie, jakie przejawiali w tej sprawie wszyscy zgromadzeni funkcjonariusze.

Proca zerknął na tego dobrze zbudowanego mężczyznę, któremu młodszy koledzy z pracy ufali bezgranicznie. Wyglądał groźnie przez swoją masywną posturę i chmurne, jakby wiecznie niezadowolone oblicze. Często patrzył na ludzi spode łba, ale był łagodny jak baranek; chyba że chodziło o bandziorów, dla których nie przejawiał ułamka łagodności. Odwagą dorównywał Procy, jednak nie był tak

zwinny i szybki jak młodszy kolega.

Wódz przytaknął na zapewnienie Dzikiego, ale po chwili powiedział:

– Trzymajcie nerwy na wodzy. Nie możemy pozwolić sobie na błędy, a już na pewno nie na kolejnego rannego policjanta. Podinspektor Tyszka ledwie uszedł z życiem, a podinspektora Szuwarckiego niestety nie ma już wśród nas. To pokazuje, z kim mamy do czynienia. Wiadomo, że bandyci są zdeterminowani. Nie było jeszcze zatrzymania członków tej grupy, podczas którego nie padłby choć jeden strzał. Na Trocką wchodzimy w poniedziałek wieczorem. Obserwacja potwierdzi jeszcze, kiedy wszyscy figuranci dotrą pod ten adres, więc musimy być w pogotowiu. Zrobimy jeszcze krótką odprawę w poniedziałek rano... To w sumie wszystko na razie.

– A kupiłeś już garnitur na sobotę? – zapytał aspirant Rafał Marecki z kąśliwym uśmiechem na twarzy.

Był to wysoki, szczupły blondyn o krótko ściętych włosach i wytatuowanych przedramionach. Dusza towarzystwa oraz najbliższy przyjaciel Wodza. Zawsze dobrze poinformowany, bo mający dobre kontakty z ludźmi z rozmaitych środowisk. Często organizował domówki i zwykle najlepiej wiedział, jak rozładować napiętą atmosferę. Rzadko się zdarzało, żeby na jego twarzy nie gościł chociaż lekki wyraz zadowolenia. Również oblicze Wodzińskiego przecięła teraz iskra krótkiego uśmiechu.

– Kupiłem garnitur. A ty, Marecki, nie zapomnij obrączek! Dobrze byłoby mieć robotę z głowy przed weselem, ale nic na to nie poradzę, więc w sobotę... no sorry, że to mówię... nie schlajcie się do oporu! A teraz... rozejść się. – Wódz objął wzrokiem nagłe poruszenie na sali. Ze spokojem uniósł do ust kubek z kawą, upił parę łyków, a po krótkiej chwili zawołał: – Proca i Adaś do mnie!

Policjanci liczyli na to, że uda im się wtopić w tłum i wymknąć niepostrzeżenie razem z całą resztą, jednak niełatwo było przechytrzyć Wodza.

– Miło, żeście wpadli – rzucił dowódca, gdy podeszli bliżej. Lustrował ich spokojnym, choć niepozabawionym pretensji spojrzeniem.

– Byliśmy na próbie... – zaczął Adam, ale Wódz wszedł mu w słowo.

– Nie waż się tego robić, Adaś! To, że ćwiczycie...

– Chodziło mi tylko o to, że próbę mieliśmy na Białolące. Zajęło nam trochę, żeby dojechać. Korki były...

Proca sprzedał mu szturchańca, a Wódz podjął:

– Wymówki, zawsze wymówki... – Uśmiechnął się półgębkiem, dając im do zrozumienia, że reprimenda, jaką dostają, nie jest aż taka poważna. Przez moment

potrzymał ich w niepewności o ich los, po czym dodał: – Marecki wam powie, co przegapiliście. W sumie niewiele... Znacie profile bandziorów. Wiecie, jaka jest presja. Ale postarajcie się więcej nie spóźniać, to bardzo źle wygląda.

Proca dostrzegł stres na twarzy przyjaciela, który przejął dowodzenie, od kiedy ich przełożeni wzięli udział w nieudanym zatrzymaniu Marcina Laczyka. Podinspektor Filip Tyszka nadal leżał w szpitalu, a podinspektor Aleksander Szuwarski w dębowej trumnie. Wiele spoczywało teraz na barkach Tomasza Wodzińskiego, czującego wewnętrzną i zewnętrzną presję, bo oprócz własnej motywacji do sfinalizowania sprawy miał też nad sobą przełożonych, którzy sukcesywnie mu o jej randze przypominali. Każdego dnia stawiał się w biurze naczelnika, by informować go o postępach w dochodzeniu. Chciał udowodnić, że jest dobrym liderem, że sprostą wszystkim oczekiwaniom. Chociaż tacy jak Proca i Adam weszliby za nim w ogień, byli też policjanci, którzy mieli wątpliwości, czy Wódz jest odpowiednim człowiekiem na tym stanowisku. Tacy tylko czekali, aż powinie mu się noga.

Wodziński zgarniał właśnie ze stolika dokumenty i układał je w równy stos.

– Dostaliśmy nowy sprzęt. Trzeba go przetestować – powiedział jakby od niechcena.

– Co to takiego? – dopytał Berg. – W końcu coś, o co prosiliśmy?

– Pewnie znowu nowe buty, bo szwagier komendanta wkręcił się w przemysł obuwniczy – rzucił Adaś.

Proca się roześmiał, jednak Wódz pozwolił sobie tylko na spontaniczny półuśmiech i szybko spoważniał.

– Nowe tarcze. Weźcie jedną jutro rano i nie oszczędzajcie jej – odparł Wodziński, przeskakując spojrzeniem z Procy na Adasia i z powrotem.

– Tarcze? Nie mówiliśmy, że potrzebujemy tarczy... – zauważył Adaś. – Wnioskowaliśmy o nowe hełmy, rękawice, klamki, kamuflaż zimowy...

– Jakbym nie wiedział! Niestety góra zawsze wie lepiej.

– Zajmiemy się tym z samego rana, Wodzu – zapewnił Berg. Nie zamierzał dolewać oliwy do ognia, ciągnąc ten wyjątkowo drażliwy temat.

Odmeldowali się i już mieli wychodzić, kiedy nadkomisarz Wodziński dodał:

– Proca! Tyszka o ciebie pytał.

– Zajrzę dzisiaj do szpitala.

– Słusznie.

– Powiedział ci, kim był ten drugi?

– Tak. Laczyk jechał tamtego dnia z Walickim. Bądź tak miły i nie gadaj Tyszcze

o żadnych problemach, jakie mamy.

– O jakich problemach, Wodzu?! Przecież wszystko idzie śpiewająco! – rzucił Adaś lekko, choć widział, że Berg nagle sposepniał.

Wodziński uśmiechnął się pod nosem.

– Chłopaki, a próby jak idą? Będzie dobrze?

– Będzie świetnie! – odparł Dukowski z entuzjazmem.

– Tylko żadnego disco polo!

– Disco-czego? Nie znam w ogóle czegoś takiego, a ty, Proca?

– Ja też nie.

Adam klepnął kolegę w ramię i razem wyszli z sali odpraw. Chyba próbował rozluźnić atmosferę, bo na twarzy Berga nieustannie malowała się troska, której źródłem był przebywający w szpitalu Filip Tyszka. Ten doświadczony funkcjonariusz był dla młodego sierżanta przewodnikiem po zawodowych ścieżkach i powiernikiem prywatnych spraw. Zawsze gotowy, by radzić, uczyć i strofować. Oferował mu wszystko to, czego Berg nigdy nie otrzymywał od własnego ojca.

W ostatnich dniach strach przed utratą przyjaciela i opiekuna potęgował w Bergu frustrację, a dodatkowo motywował do dołożenia wszelkich starań, by winni ponieśli konsekwencje. Wierzył, że niedługo wyrównają rachunki i całe to pasmo nieszczęść, które ciągnie się za nimi już nazbyt długo, zostanie przerwane.

5

„Jesteś dla mnie jak ojciec”

W szpitalu panowała cisza. Był już wieczór, a za oknem tańczyły smagane wiatrem bezlistne gałęzie wysokich drzew. Na łóżku leżał czterdziestopięcioletni podinspektor Filip Tyszka. Nie liczył, że ten dzień przyniesie mu jeszcze jakiegokolwiek wrażenia. Czuł rwanie w podbrzuszu. Godzinę temu obiecał sobie, że wytrzyma noc bez środków przeciwbólowych. Wystarczająco faszzerowano go ostatnio lekami. Utkwił spojrzenie za oknem i pomyślał, że wolałby być gdzie indziej. Niespodziewane pukanie wyrwało go z zamyślenia.

– Dostawa kwiatów! – rzucił Proca, wchodząc do szpitalnej sali.

– Wszyscy święci! Tu już pachnie jak w kwiaciarni!

Rzeczywiście. Tyszka leżał otoczony bukietami. Sierżant sztabowy wszedł do środka pewnym krokiem. Miał ochotę uściskać przebudzonego ze zbyt długiego snu Filipa, ale powstrzymał się od nadmiernej wylewności.

– Ludzie troszczą się o ciebie – powiedział. – Ciesz się, że nie zginąłeś. Wtedy dostałbyś jeszcze więcej kwiatów! – Zaczął przeglądać bukiety. Wyciągnął z wazonu jeden najbardziej zwiędnięty i na jego miejsce wstawił przyniesione margerytki. – Jak się czujesz? – zapytał, przysuwając sobie krzesło bliżej łóżka.

– Przecież wiesz... – odparł podinspektor i uśmiechnął się smutno. – Ze znanych mi policjantów jesteś najmłodszym, który sam był postrzelony! A wszystko przez twój narwany charakter! Zawsze wrywasz do przodu. Nie myślisz.

– Myślę. Tylko myślę szybko! To nie brawura, tylko refleks. A ty co? Porwaliście się z Szuwarem na zatrzymanie po głębokim przemyśleniu, konsultacji z górą i jak to się dla was skończyło? – Berg zrozumiał, że powiedział o jedno słowo za dużo, bo Tyszka sposepniał.

Po chwili milczenia podinspektor odparł:

– Byliśmy z Alkiem już po służbie. Odwoził mnie do domu, bo w moim samochodzie padł akumulator. Wypatrzyliśmy golfa Laczyka i zajechaliśmy mu drogę. Zatrzymał się na poboczu. Wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że był tam też Walicki. Obaj z Alkiem mieliśmy przy sobie broń. – Tyszka odetchnął głęboko. – Wyszliśmy z samochodu, ale kiedy ruszyliśmy w ich stronę, zaczęli strzelać.

– Przez przednią szybę...

– Tak. Laczyk do Alka, Walicki do mnie. Posłali kilka pestek i odjechali.

– Widziałeś, jak odjeżdżają?

– Widziałem. Dostałem dwa razy w brzuch i upadłem, ale nie straciłem przytomności od razu. Doczołgałem się do Alka. Leżał nieruchomo. Zobaczyłem, że dostał w głowę. Zginął na miejscu.

Sztabowy milczał, myśląc o własnych podobnych doświadczeniach. Do tej pory brał udział w kilkunastu zatrzymaniach. Niektóre z nich przebiegały w miarę spokojnie, wręcz podręcznikowo. Podczas paru był zmuszony do otwarcia ognia. Raz do niego strzelano. Po akcji trafił do szpitala z pociskiem w ramieniu, który pogruchotał mu kość. Jego młode ciało szybko poradziło sobie z rekonwalescencją i nim koledzy zaplanowali kolejną akcję, Berg wrócił na służbę. Nigdy nie doświadczył czegoś takiego jak Tyszka, ale doskonale wiedział, czym jest adrenalina, strach przed śmiercią i utrata bliskiej osoby.

– Jak radzi sobie Wódz? – zapytał Filip, wrywając Berga z doliny bolesnych wspomnień.

– Świetnie! Stresuje się trochę, ale dobrze mu idzie. Ludzie go słuchają, ufają mu. W poniedziałek jedziemy na akcję. Zgarniemy Walickiego i Laczyka! Jak dojdiesz do siebie, to będzie już po wszystkim i pewnie zajmiemy się jakąś nową sprawą.

– Znaleźliście ich norę?

– Tak, tak, w pracy wszystko dobrze. A ty nie myśl już o tym, tylko odpoczywaj.

– Odpoczywam... i dużo myślę. Takie otarcie się o śmierć jakoś człowieka porusza.

– I co wymyśliłeś?

Tyszka cmoknął, po czym oznajmił:

– Chciałem cię przeprosić.

– Co?! – Proca uśmiechnął się, marszcząc czoło. Poczul się zmieszany. – Niby za co

przeprosić?

– Ciągłe cię krytykuję, Alan. Nawet jak przyszedłeś, to zacząłem...

– Daj spokój! Jesteś dla mnie jak ojciec, masz prawo krytykować, ile chcesz! Dzięki tobie staję się lepszym człowiekiem, a przynajmniej mam taką nadzieję.

Łagodny uśmiech na twarzy podinspektora zdradzał, że miał do powiedzenia coś jeszcze. Berg czekał cierpliwie na odsłonięcie tej tajemniczej karty.

– Jak dojdę do siebie – wyjawiał w końcu Tyszka – nie wrócę już do pracy w wydziale.

Berga zamurowało. Nie wyobrażał sobie roboty w Wydziale do Walki z Terrorem Kryminalnym bez Filipa! Do tej pory mógł zwrócić się do niego z każdym problemem lub wątpliwościami bez obawy, że wyleci z hukiem za drzwi.

– Odchodzisz?! – zapytał, patrząc na swojego mentora wielkimi oczami.

– Nie całkiem. Rozmawiałem o tym z dowództwem jeszcze przed tym wszystkim. Teraz nabrałem pewności. Przechodzę do narkotyków.

Berg zamyslił się przez moment. Nie miał tu zbyt wiele do gadania. Najwyraźniej przełożony podjął już decyzję. Po chwili refleksji ocenił tylko:

– To będzie równie popaprana robota...

– Tak. Teraz handlarze stają się terrorystami. Mają coraz więcej kasy, którą nierzadko inwestują w uzbrojenie. Wydział uznał, że przyda im się moja wiedza. Może...

– Co takiego?

– Jakbyś miał dosyć pracy w terrorze, to zawsze możesz liczyć na miejsce w narkotykach.

Uwagę Berga przykuło jakieś poruszenie przy drzwiach. Do sali wszedł wysoki, szczupły chłopak w dobrze dopasowanym garniturze. Był zaledwie rok młodszy od Alana, a już mógł mówić, że odnosi w życiu zawodowe sukcesy. Różnili się prawie wszystkim i nie darzyli szczególną sympatią.

– Mateusz! Synek, przyszedłeś! – Niespodziewane odwiedziny pierwородnego wyraźnie poruszyły Filipa Tyszkę.

Syn podszedł do ojca i ucałował go w czoło, a następnie przywitał Berga oszczędnym skinieniem, po którym sztabowy zaczął wycofywać się z pokoju.

– Zajrzę do ciebie we wtorek – rzucił, będąc już przy drzwiach.

– Alan! Uważajcie na siebie.

– Jasne! Jak zawsze.

Sierżant sztabowy opuszczał szpitalny oddział z dziwnym samopoczuciem. Czy była to zazdrość? Zazdrość o syna, który pojawiał się tylko wtedy, gdy działo się coś

ważnego? Filip Tyszka często żalił się na Mateusza, na jego nieroztropne i niemoralne życie, na zbyt rzadki kontakt i ignorowanie wszelkich rodzicielskich rad. Proca z kolei brał sobie do serca każde słowo przełożonego. Wiele by dał za takiego tatę. W relacjach ze swoim nie doświadczył uczuciowości ani troski, ani nawet cienia tych cech. Nie miał też możliwości, by cokolwiek odbudować, bo jego ojciec zmarł piętnaście lat temu, zostawiając syna z mieszanymi uczuciami żalu oraz ulgi.

Berg odsunął od siebie przygnębiające myśli i skoncentrował uwagę na sobotnim weselu. Nie martwił się niedopracowanymi przez amatorski zespół utworami, nie stresował się świadomością, że po raz pierwszy będą mieli tak liczną publiczność. Oczami wyobraźni zobaczył śliczną dwudziestodwuletnią siostrę Wodza, Ewę. Jego serce przyspieszyło, a we krwi nagle pojawiła się adrenalina. Poczul się bezsilny. Jak ma poznać i poderwać dziewczynę, o której sama myśl paraliżuje jego ciało?

Odetchnął głęboko, rozmasował spiętą troskami twarz, po czym wsiadł do swojego czarnego civic i wyjechał ze szpitalnego parkingu.

6

„Widzisz, jaki szmelc nam wciskają?”

PIĄTEK

Budynek komendy stołecznej policji otaczała jedwabista mgła. Przed godziną siódmą rano drzwi otwierano jedynie od zewnątrz. Senni pracownicy pokonywali kilka stopni i jakby w zwolnionym tempie naciskali na klamkę, by wejść do środka, gdzie pachniało kawą oraz tuszem drukarskim, niczym w redakcji jakiejś gazety.

Wyjątkowo rozbudzeni Proca i Adaś stali przed okienkiem magazynu, czekając na wydanie im nowej tarczy do przetestowania. Magazynier nie spodziewał się tego dnia tak wczesnej wizyty policjantów. Przywitał ich cichym „cześć” i przymkniętymi sennie oczami. Niechętnie zostawił na kontuarze kubek ze świeżo zaparzoną kawą, której aromat rozchodził się w powietrzu, robiąc smaczek policjantom.

Po chwili otworzyły się drzwi obok okienka i wytoczył się z nich blady jak papier mężczyzna trzymający w rękach wielką, ciężką kuloodporną tarczę.

– To na pewno ta? – zapytał Adaś ze sceptycznym wyrazem twarzy.

– Chłopaki, nie męczcie mnie tak z samego rana. Piątek jest... To przywieźli wczoraj i pięć takich samych. Nówki nieśmigane.

– Nówki powiadasz? – rzucił Proca, odbierając od niego tarczę. – To, że to coś stało w jakiejś piwnicy, nieużywane od ćwierćwiecza, nie oznacza, że to nówka.

– Nie no, Proca, to nówka jest. Jeszcze farbą zalatuje – zapewnił magazynier.

Adaś przejechał dłonią po powierzchni tarczy i puścił do Berga oko.

– Przemalowali, to i farbą capi. Jak kiedyś dostaniemy coś, o co faktycznie prosiliśmy, to zacznę wierzyć w cuda. Od miesięcy czekamy na granatnik, a o nowej

broni krótkiej to chyba możemy pomarzyć!

– No, przydałyby się takie glocki... – rzucił tęsknie Proca.

– Glocki? Przecież to szpetne klocki!

– Sam jesteś szpetny klocek! Glocka nie zajedziesz! Przejedziesz po nim czołgiem, wysmarujesz błotem, utopisz w bagnie i nadal będzie strzelał! Piękno w swojej prostocie.

– Dobra, zaniosę tarczę do samochodu, a ty weź resztę zabawek – urwał dyskusję Adaś, po czym powoli oddalił się z ciężką tarczą.

Magazynier upił zachłanny łyk kawy.

– Wejdz, Proca. Pozbieraj, co potrzebujecie, a ja to pospisuję.

Berg wszedł do magazynu wypełnionego sprzętem, bronią oraz amunicją. Przez kawowy aromat przebijał się zapach metalu oraz smaru. Z początku nie wiedział, na czym skupić uwagę. Po chwili skoncentrował się na tym, co najważniejsze.

– Dokąd z tym jedziecie? – zapytał sennie magazynier, obserwując, jak Berg pakuje sprzęt do dużej czarnej torby.

– Na poligon.

– Jesteś pewien, że to wszystko, czego potrzebujecie?

Sztabowy zamyślił się nad postawionym pytaniem, po czym spojrzał na kolegę z ukosa i rzucił:

– Wziąłbym jeszcze Stefana. Pomożesz mi go zanieść?

Z płuc magazyniera wydobyło się ciężkie westchnienie. Mimo tego podniósł się ze stołka i upiwszy jeszcze jeden łyk kawy, jakby miała dodać mu sił niczym paliwo, ruszył z Bergiem do magazynu.

Dojechanie na poligon zajęło policjantom prawie godzinę, jednak tam mogli mieć pewność, że nikomu nie będą przeszkadzać i nikt nie będzie się ich czepiał. Wyładowali rzeczy z samochodu. Na końcu Proca wyciągnął tarczę, sapnąwszy przy tym z wysiłku.

– Pamiętasz, Adaś, jak byliśmy na szkoleniu w Niemczech? Pamiętasz ich tarcze?

– Były raczej lżejsze.

– Raczej! Nie mogli nam takich zamówić? Tego klocka to ledwo utrzymam w jednej ręce, a żeby z tym chodzić bardziej dynamicznie, to zapomnij!

– No, to który trzyma, który strzela?

Berg wyciągnął z torby okulary ochronne i nauszники i zaczął je zakładać.

– Ja potrzymam...

– To wskakuj też w kamizelkę. Nigdy nie wiadomo...

Proca poszedł za sugestią przyjaciela. Ubrał się w kamizelkę, a zanim założył

ochraniacze słuchu, wcisnął sobie jeszcze do uszu stopery. Na głowę wsadził hełm.

– Dziesięć metrów, nie dalej – powiedział Adaś.

– Co?

– Dziesięć metrów!

Uzbrojony w tarczę sierżant sztabowy stanął przed wałem. Od Adasia dzieliło go około dziesięciu metrów. Skulił się za osłoną i krzyknął, że jest gotowy.

Adaś przeładował karabinek i wymierzył w czarny prostokąt tarczy. Zgrał przyrządy celownicze, położył palec na spuście, ale nie nacisnął go. Po chwili opuścił broń.

– Proca!

– Mówiłeś coś?! – odkrzyknął Berg, zerkając przez wizjer znajdujący się pośrodku tarczy.

Adaś podszedł do niego, by nie zdzierać gardła. Dopiero gdy Proca nieco odchylił nausznik, powiedział:

– Zróbmy to najpierw bez ciebie za tarczą, co?

– Boisz się, że nie wytrzyma?

– Kto wie, jaki bubel przysłali nam tym razem...

– Wygląda solidnie, ale dobra. Użyjemy Stefana.

– A mamy go?

– Wziąłem na wszelki wypadek – odparł Berg i razem ruszyli do samochodu.

Stefan był manekinem ćwiczebnym płci męskiej, średniego wzrostu, o wadze siedemdziesięciu kilogramów, więc nieśli go we dwóch. Zazwyczaj używano go do ćwiczenia ewakuacji oraz odbijania zakładników.

Oparli Stefana o słupek do zawieszania celów strzeleckich i zasłonili tarczą kuloodporną. Adaś ponownie przymierzył się do strzału, po czym puścił z karabinka oszczędną serię. Po chwili sprawdzili rezultat. Okazało się, że tarcza zatrzymała wszystkie strzały, a Stefan przeżył, niedrażniony.

Berg uparł się, że i tak chce stanąć za tarczą. Twierdził, że ćwiczenia i testy powinny być jak najbardziej zbliżone do rzeczywistych warunków bojowych. Ustawił się piętnaście metrów od Adasia i uprzedził go, że zamierza się przemieszczać. Dukowski nie był zwolennikiem jego planu, ale ustąpił. Na okrzyk Berga: „Gotów” oddał parę strzałów do tarczy, ale szybko przestał i wokół zapanowała cisza.

Berg wziął głęboki wdech. Lubił mieć pewność, przećwiczyć wszystko, rozważyć możliwości, dojechać sprzęt do granic wytrzymałości, żeby wiedzieć, czego się spodziewać w sytuacji rzeczywistego zagrożenia. Przez cały czas myślał

o zdesperowanych bandziorach, z jakimi przyjdzie się im zmierzyć. Kiedy dojdzie do starcia, będą strzelali tak, żeby zabić. Bez zahamowań i oszczędzania pestek.

– Dukowski, wal porządnie! – zawołał Berg.

Po chwili poczuł serię mocnych uderzeń. Słyszał ich stłumiony huk. Stawały się coraz silniejsze, bo krok za krokiem przybliżał się do ich źródła.

Po dłuższej serii Adaś opuścił karabinek i zdecydowanym tonem oznajmił, że tyle wystarczy. Berg ocenił stan osłony.

– No i wytrzymała. Nadal żyję – powiedział z satysfakcją.

Potem rzucili tarczę na ziemię. Przejechali po niej samochodem dziesięć razy. Wytrzymała i to. Następnie ponownie oparli ją o słupek. Adaś wyciągnął z samochodu butelkę denaturatu, na której zawiązał kawałek szmaty. Podpalił ją, po czym rzucił w tarczę, za którą i tym razem ukrywał się niczego nieświadomy Stefan. Butelka roztrzaskała się w drobny mak, a tarcza stanęła w płomieniach. Ostrzeliwali ją z pistoletów przez chwilę, a gdy w ich magazynkach skończyła się amunicja, Proca oznajmił, że przyniesie gaśnicę.

– To by było na tyle... – powiedział Adaś, oczyszczając tarczę z gaśniczej pianki. – Zbieramy się?

– Zostawiłem coś jeszcze na koniec – odparł Berg z uśmiechem.

Przyjaciel znał ten uśmiech doskonale i nie miał serca przerywać sierżantowi pożytecznej zabawy. Nie wydawał się zbyt zaskoczony faktem, że sztabowy przywiózł ze sobą granat ręczny. Zdziwił się jednak, że magazynier wyraził na to zgodę.

– Ty to masz dobre układy ze wszystkimi, co? – skomentował młodszy aspirant, kucając za betonową osłoną.

Proca odpowiedział uśmiechem, po czym zapewnił:

– Uczę się od najlepszych. Wódz zawsze stawia na relacje ze współpracownikami, to mu dobrze służy.

– Dorzucisz? – zapytał Adaś, oceniając odległość dzielącą ich od tarczy.

– Z palcem w nosie – odparł Proca. – Gotowy?

Dukowski przytaknął.

Berg wyciągnął zawleczkę, rzucił granat w stronę tarczy i skulił się za zasłoną. Po chwili usłyszeli potężny huk. Kiedy wyszli zza betonowego kłosa, wzbity w powietrze pył jeszcze opadał. Zobaczyli dziurę w ziemi oraz tarczę leżącą w całkiem innym niż przed chwilą miejscu. Podeszli bliżej, by ocenić zniszczenia. Osłona była mocno zdezelowana, ale nadal stanowiła spójną całość.

– Skubana wytrzymała, a granat huknął tuż przed nią – powiedział Adaś

z niemałym podziwem.

Proca podzielał jego zdumienie. Złapał tarczę za uchwyt i podniósł ją, jednak po kilku krokach uchwyt puścił, a tarcza runęła na ziemię.

– No i chuj! Widzisz, jaki szmelc nam wciskają? – wypalił poważnie Berg. Był mocno rozczarowany.

– Widocznie nity poszły. Trzeba będzie to zgłosić i naprawić.

– A jak znowu puści?

– Wytrzymała raczej sporo. Nie oszczędzaliśmy jej, Proca. Przecież nikt nie będzie rzucał w nas granatami!

– A dasz mi na to stuprocentową gwarancję? – zapytał sztabowy, podnosząc z ziemi resztę ciężkiej osłony.

Powaga malująca się na jego twarzy zbiła Dukowskiego z tropu.

– Ty pytasz poważnie? – dociękał, próbując dostrzec u Berga jakiś cień humoru.

– Mówię całkiem serio! Przecież wiesz, z kim mamy do czynienia! Zobacz, jak się potoczyła próba zatrzymania ich przez Tyszkę i Szuwarskiego. Nawet się nie zawahali! Następnym razem może być podobnie, i lepiej, żebyś o tym pamiętał.

– Nie unosź się tak, Proca. Wiem, że to nie przelewki – odparł młodszy aspirant, pomagając Bergowi przenieść pozbawioną uchwytu tarczę do samochodu.

– Nie unoszę się. Tylko nie chcę, żeby ktoś oberwał przez głupi błąd czy niedopatrzenie. Wódz sam powiedział: „Nie oszczędzajcie jej”. Wie, że przy zatrzymaniach może być gorąco.

Wrzucili wybrakowaną osłonę do bagażnika, po czym wrócili po leżącego na ziemi Stefana. Testowanie sprzętu wprawdzie przyniosło im trochę przyjemności, ale nie była to praca, za którą należało im się poklepanie po ramieniu od naczelnika lub medal za wyjątkowe zasługi. Były to czynności niedostrzegalne, lecz cenniejsze od wielu innych. Takie, które podczas akcji mogły niejednemu uratować życie.

– Przyznaj, że lubisz to robić – rzucił Adaś, gdy wracali z przyciężkim manekinem.

– Co lubię robić?

– Strzelać do rzeczy. Wysadzać coś w powietrze...

– Tak, Adaś, lubię strzelać do rzeczy! – odparł Berg, podkreślając ostatnie słowo. – Lubię strzelać do rzeczy, bo one nie strzelają do mnie.

7

„Bądź sobą”

SOBOTA

Sala weselna, na której jeszcze kilka dni temu amatorski czteroosobowy zespół muzyczny urządzał sobie próbę, wyglądała teraz nie do poznania. Efektowne ozdoby z balonów i kwiatów przyciągały uwagę najmłodszych gości. Ci starsi zwracali uwagę raczej na bogactwo stołów. Upewniwszy się, że będzie co zjeść i co wypić, weselnicy mogli ze spokojem przystąpić do pierwszych obowiązkowych rozmów z dawno niewidzianymi członkami rodziny.

Berg poprawił kołnierzyk białej koszuli. Zaczęło mu się robić gorąco, więc odpiął dwa górne guziki i ściągnął marynarkę. Rzucił okiem na stojącego gitarę Adama, po czym przebiegł spojrzeniem po zbierających się na sali gościach. Dostrzegł Ewę Wodzińską, gdy tylko przekroczyła próg przestronnego pomieszczenia. Nie była sama. Obok niej siedł jakiś całkiem przystojny mężczyzna w lekkich okularach i z miłym wyrazem twarzy. Typ bankiera. Albo prawnika. Pewnie taki, który nikomu nie zachodzi za skórę, który zawsze wie, co, ile i do kogo powiedzieć. Berg przełknął gorzką ślinę. Z chwilowego zamroczenia wyrwało go szturchnięcie w bok.

- Nie gap się tak – szepnął mu do ucha Adaś. – Zachowuj się normalnie.
- Normalnie?
- Bądź sobą, no!
- Jestem sobą.
- Nie jesteś. Uwierz mi, że teraz nie jesteś.
- Przyszła z kimś.
- Czego się dziwisz?! To wesele! Każdy z kimś przychodzi. To nie znaczy, że to jej

facet. Poczekaj, pogadam z Mareckim. On ją lepiej zna, wybada sytuację. – Adaś wcisnął przyjacielowi gitarę do rąk, po czym zeskoczył ze sceny.

Proca patrzył za nim, kiedy opuszczał salę w poszukiwaniu Mareckiego.

Goście schodzili się powoli. Czekali na przyjazd młodej pary z kościoła, a kelnerzy zaczęli rozdawać wszystkim szampana.

– Chcesz kieliszek dla rozluźnienia? – zapytał cicho pianista i dyskretnie wyciągnął z plecaka litr wódki.

– Jeden łyk! – odparł Proca.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebował z dziesięciu.

Berg wiedział, że nie może pozwolić sobie na wiele. Wódz ich ostrzegwał: „Macie się godnie prezentować. Jak się upijecie, to odeślę was na miesiąc do polerowania powierzchni płaskich!”, a on nie miał wątpliwości, że szef dotrzymałby słowa.

Pospiesznie wychylił porządny łyk, podziękował pianiście, po czym usiadł na stołku na skraju sceny i zaczął cicho podgrywać na gitarze Adasia. Próbował skupić uwagę na muzyce, by oderwać ją od myśli o dziewczynie, która krążyła gdzieś po sali. Patrzył na swoje palce, lekko szarpiące poszczególne struny. Nuta po nucie, kolejne dźwięki pomagały wyciszyć niepotrzebne mu teraz emocje.

– Ty jesteś Proca, prawda? – zapytał jakiś dźwięczny głos.

Berg podniósł spojrzenie i zobaczył parę błyszczących błękitnych oczu, które wyrażały radość i zaintrygowanie. Przytaknął, nie mogąc wydusić słowa.

– Jestem Ewa, siostra Tomka...

– No wiem, wiem... – Zreflektował się, odłożył gitarę i zszedł ze sceny, by stanąć naprzeciwko dziewczyny.

Ta założyła kosmyk jasnych włosów za ucho i powiedziała:

– Pewnie macie przygotowany cały program i nie chcę być tą, która zwraca zespołowi głowę prośbami o kawałki podczas imprezy...

– To nic, to nic...

– Dlatego przychodzę teraz.

– Co tylko chcesz – dodał pośpiesznie i zdał sobie sprawę, że znowu zachowuje się dziwnie.

– Jak byliśmy mali – kontynuowała – Tomek miał fazę na Dżem i w kółko leciał w domu *Sen o Victorii*. Wtedy mieliśmy już dosyć tej piosenki, ale dzisiaj jest chyba dobra okazja, żeby ją sobie przypomnieć... Znacie ją?

– Znam, pewnie.

– To spokojny utwór, więc może jakoś później, jak trochę emocje wszystkim opadną.

Przyznał, że to bardzo dobry pomysł. Ona podziękowała, obdarowała go uśmiechem, po czym zniknęła gdzieś między gośćmi, a Proca stał przez chwilę jak kołek. Nie zauważył nawet powrotu Adama. Ten spojrzął na przyjaciela przenikliwie. Mocno klepnął go w plecy i powiedział:

– Marecki mówi, że ten facet to tylko jej kolega ze studiów. Żadna z nich para, więc masz szansę, stary.

– Wódz mnie zabije.

– To całkiem możliwe. Czego od ciebie chciała?

– Co?

– Czego chciała?! Gadaliście!

– Tak! Prosiła, żebyśmy później zagrali *Sen o Victorii*.

– Nie zagram.

– Przecież to znasz! Graliśmy tę piosenkę na próbach! Prosta jak drut!

– Sam to zagrasz. Zagrasz dla niej i zaśpiewasz. A potem zapytasz, czy za ciebie wyjdzie.

– Mógłbym, stary!

– Żartowałem, wiesz?

– Wiem. Ale na serio... ja się z nią ożenię.

– Spokojnie, Proca! Wszystko po kolei. Rozmawialiście dopiero minutę. Jeszcze nawet nie ugrałeś numeru telefonu. A jak będziesz śpiewał szybciej niż grał, to nawet na niego nie licz.

Tym razem Berg nie podłapał zaczepki. Uśmiechnął się tylko do swojej wyobrażonej wizji przyszłości i podekscytowany wrócił na scenę.

8

„Teraz albo nigdy!”

Upłynęły dwie godziny, nim zespół zarządził sobie pierwszą przerwę. Wykorzystali moment, gdy kelnerzy zaczęli przynosić do stolików gorącą zupę, a wielu weselników oprócz głodu poczuło też potrzebę wychylenia kieliszka lub dwóch.

Berg otarł spocone czoło rękawem koszuli.

– Idę na fajkę. Ktoś chętny? – zapytał, lecz żaden z członków zespołu nie chciał mu towarzyszyć.

Zarzucił kurtkę i wyszedł z budynku.

Powietrze było ostre, lodowate, ale nie przeszkadzało mu to zupełnie. Był rozgrzany kilkoma wypitymi kieliszkami i ciągnął aktywnością na scenie. Chociaż nie zabawiał gości przyśpiewkami do kieliszka, a wodzirejskie zapędy realizowali raczej Adaś i krążący między weselnikami Marecki, Proca, śpiewając, dawał z siebie wszystko. Wkładał w muzykę całą swoją energię oraz serce.

Odszedł kawałek od wejścia i parę razy zaciągnął się chesterfieldem, gdy jego uwagę przykuły otwierające się drzwi i wychodząca z budynku Ewa. Serce zabiło mu szybciej i nie myśląc zbyt wiele, zrobił krok w kierunku dziewczyny. Wtedy ktoś ponownie otworzył drzwi, więc Berg przystanął gwałtownie i spojrzał gdzieś w nieokreśloną dal, udając, że wcale nie miał zamiaru podchodzić. Z budynku wychylił się towarzyszący Ewie okularnik, jednak nie wyszedł na zewnątrz, tylko podał jej szal. Podziękowała mu, po czym dość szczelnie owinęła sobie tkaninę wokół szyi. Spojrzała w stronę Berga, a gdy złapali kontakt wzrokowy, uśmiechnęła

się zapraszająco.

„Dobra! – pomyślał Proca. „Teraz albo nigdy!” I podszedł bliżej.

– Papierosa? – zapytał. Dziewczyna wcisnęła dłonie do kieszeni płaszcza.

– Nie, dzięki. Nie palę.

– Nie? To co robisz na dworze?

– Oddycham świeżym powietrzem – odparła z uśmiechem. – Przynieśli z kuchni flaczki, więc cała sala nabrała aromatu, za którym nie przepadam.

Berg parsknął z rozbawieniem. Zaciągnął się papierosem i przyznał:

– Doskonale cię rozumiem. Też nie jestem miłośnikiem flaczków...

– Dziękuję ci za tamtą piosenkę. Sprawiles Tomkowi dużą radość. Ożyło trochę wspomnień.

– Cała przyjemność po mojej stronie!

Wymienili uśmiechy, co mogło być jedynie życzliwym gestem, ale Bergowi wydawało się, że za delikatną zasłoną uprzejmości dostrzegał coś więcej. Opanowało go wrażenie jakiegoś ponadwzrostnego porozumienia, jakby Ewa zawarła w swoim spojrzeniu cały szereg słów, emocji i komunikatów, których sens potrafił odczytać bez najmniejszego problemu.

Po krótkiej chwili wiary w cuda przyszło zawahanie i surowa rzeczywistość. Nie żyli przecież ani w bajce, ani we śnie, gdzie wzajemna miłość od pierwszego wejrzenia zdarza się nagminnie, a kierowane emocjami zachowania przechodzą bez najmniejszych konsekwencji. Toteż Berg powstrzymał swoje zapędy, by nie powiedzieć lub nie zrobić czegoś głupiego.

Nagle za nimi otworzyły się drzwi. Gwałtowność tego ruchu sprawiła, że instynktownie osłonił Ewę ramieniem i odciągnął na bok, by uchronić ją od uderzenia.

Z budynku wytoczyło się kilku rozbawionych weselników. Śpiewali donośnie jakiś discopolowy przebój i zapalali papierosy.

Bergowi zdawało się, że dziewczyna nie od razu odsunęła się od niego. Ta krótka chwila, w której trzymał ją w objęciach, była najprzyjemniejszym, co spotkało go od dłuższego czasu. Z pozoru tak nieznaczny gest, a dla niego tak szczególny...

W końcu jednak się cofnęła, podziękowała za ratunek i przyznała:

– Widziałam cię kiedyś u Mareckiego.

– Tak? – odparł jakby obojętnym tonem. Udawał, że próbuje sobie przypomnieć, kiedy to mogło być, ale potem powiedział: – Ja ciebie też widziałem. Chciałem zagadać, ale jakoś nie było okazji. – Nie odpowiedziała, więc szybko dodał: – Chciałbym to nadrobić. Możemy się umówić na kawę?

W jej oczach pojawił się błysk. Przyglądała mu się przez moment, jakby chciała przytrzymać go w niepewności. Dręczyła go!

– Zgoda – powiedziała w końcu. – Zadzwoń do mnie, to się umówimy.

Obmacał kieszenie kurtki w poszukiwaniu czegoś do pisania. Znalazł notatnik służbowy oraz ołówek, które nosił przy sobie rutynowo, jak dokumenty czy kluczyki do samochodu.

– Zawsze na służbie – rzucił z uśmiechem i podał dziewczynie notes.

Kiedy zapisywała w nim swój numer, jeden ze stojących obok gości zagwizdał donośnie.

– Ej! Panie muzyk!

Dobre samopoczucie Berga prysnęło nagle jak bańka mydlana. Źle znosił prostactwo i brak szacunku dla drugiego człowieka. Przejął od Ewy notatnik i dopiero potem spojrzał w kierunku grupy.

– Zagracie ten... no, jak to było?! – Facet zwrócił się do stojących obok dziewczyn, a one chórkami zaśpiewały:

– Miała matka syna, syna jedyne...² – Na szczęście dość szybko pomyliły słowa i przerwały nieudany spontaniczny występ.

– Zagracie to! – powtórzył porządnie już podchmielony weselnik.

Berg zdusił papierosa w stojącej obok popielnicy i odparł:

– Sorry, chłopie. Pan młody wyraźnie zakazał disco polo. – Otworzył drzwi i wpuścił Ewę do środka budynku, jednak nim sam zdołał wejść, facet złapał go za ramię.

Przysunął się na tyle blisko, że Proca poczuł od niego ostry zapach alkoholu i flaków.

– Weź nie odstawiaj waźniaka, kurwa, tylko zrób, jak się ładnie prosi.

– Jakbyś ładnie poprosił, to może był zrobił, ale chuj jesteś, więc nie zrobię.

Mężczyzna spojrzał na Berga wrogo. Wyraźnie rozjuszało go, że ktoś stawia mu się na oczach kobiet.

– Ja jestem chuj?! – krzyknął.

Berg stanowczo uniósł dłoń, żeby facet stonował. Zaskoczyło go jego własne opanowanie. Był po prostu zirytowany nachalnością i brakiem kultury awanturnika, ale daleko było mu do odpowiedzenia agresją na agresję. Spojrzał tylko surowo w rozbiegane oczy mężczyzny i ostrzegł:

– Puść mnie, człowieku, bo za chwilę glebniesz...

Nim sytuacja uległa zaognieniu, dopadł do nich rozanielony pan młody. Złapał impulsywnego weselnika za rękę, by ten puścił sztabowego, i z uśmiechem na twarzy

zapytał, o co ta cała awantura.

- Bo facet nazwał mnie chujem! – pożałił się czerwony ze złości mężczyzna.
- Gwizdał na mnie... – wyjaśnił spokojnie sztabowy.
- Okej... – Wodziński przytaknął i kazał Bergowi wracać na scenę. Potem objął ramieniem wzburzonego gościa i łagodnie, z uśmiechem wytłumaczył: – Nie gwizdź się na ludzi, Olku, a szczególnie na moich ludzi.
- Chciałem tylko, żeby zagrali dziewczynom ten kawałek Boysów!
- Żadnego disco polo na moim weselu, stary. A jak jeszcze raz zagwizdziesz na gliniarza, to ci osobiście urwę jaja.

Weselnik tłumaczył się jeszcze przez chwilę, aż w końcu wrócił uspokojony do zabawiania kilku pań. Wódz odetchnął z ulgą, że nie doszło do poważniejszego konfliktu. Nie życzył sobie żadnych burd tego wieczoru i był wdzięczny Bergowi, że ten zachował jednak zimną krew. Przechodząc obok sceny, spojrzał jeszcze na sztabowego, pokazał mu kciuk do góry, po czym mocno objął swoją piękną żonę.

Proca czuł, jakby umieszczony w kieszeni notatnik promieniował niewytłumaczalnym ciepłem. Wyjątkowo spokojny i jak zazwyczaj pewny siebie dał chłopakom znać, że pora zakończyć przerwę. Nim zabrzmiały pierwsze dźwięki, napotkał uważne spojrzenie dziewczyny i jej delikatny uśmiech, które sprawiały, że już nie mógł się doczekać zrobienia użytku z otrzymanego numeru telefonu. Wiedząc, że najbliższe dwa dni spędzi jednak głównie na przygotowaniach do policyjnej realizacji, przypomniał sam sobie, że jest uważany za człowieka cierpliwego. Czymże jednak jest cierpliwość, jeżeli nie przetestuje się jej w obliczu najbardziej palących pragnień?

9

„Proca, stój!”

PONIEDZIAŁEK

Zegarek na nadgarstku sztabowego Alana Berga wskazywał dwudziestą trzydzieści. Było ciemno, a z nieba prószył lekki śnieg. Smagane wiatrem gałęzie drzew rzucały na ścianę Pałacu Mostowskich cienie, które wyglądały jak kościste łapy próbujące dosięgnąć czekających pod nimi policjantów. Na parkingu stały dwa fordysy transit i kilku funkcjonariuszy w pełnej gotowości bojowej. Palili papierosy, rozmawiali. Zachowywali się, jakby wcale nie planowali wyjazdu realizacyjnego, co najwyżej wyjazd integracyjny.

Do rozgadanej grupy podszedł młodszy aspirant Adam Dukowski. Uśmiechał się pod nosem i zagadał:

– Mam nowy dowcip!

– Dawaj, Dukowski – zachęcił go Marecki, puszczając dymek.

Adaś parsknął, złapał się za kamizelkę taktyczną i zaczął:

– Policjant przesłuchuje staruszkę: „Niech pani opowie, co tu się wydarzyło”. „Siedziałam sobie na ławce – mówi ona – i nagle przysiadł się do mnie młodzieniec”. „Zrobił coś?” – dopytuje policjant. „Po chwili zaczął pocierać moje udo!” „I co pani zrobiła?” „Nic! Czułam się fantastycznie, bo od śmierci męża nikt mnie tak nie dotykał!” „I co było potem?” „Potem zaczął macać moje piersi!” „Jak pani zareagowała?” „Pozwoliłam mu na to, bo było to bardzo przyjemne” „A potem?” „Potem rozgrzał mnie do czerwoności, więc krzyknęłam: Bierz mnie!, a on odsunął się i wrzasnął: Prima aprilis! No to zastrzeliłam żartownisia!”

Przez podjazd przeszła salwa śmiechu.

– Sam bym go zastrzelił! Biedna staruszka – skomentował Marecki i zaciągnął się papierosem.

Chwilę potem z budynku wyszedł poważny nadkomisarz Wodziński i oznajmił, że pora jechać. Podszedł do nadal uśmiechniętego przyjaciela i uderzył go pięścią w klatkę piersiową.

– Chcesz pomacać? – zapytał Marecki. Jak zwykle próbował rozładować napięcie, z jakim zmagał się dowódca.

– Wszyscy mają twarde wkłady? – zapytał poważnie Wodziński, przeskakując wzrokiem z jednego funkcjonariusza na drugiego.

– Tak, jak kazałeś. Ciężkie to cholerstwo.

– I może komuś uratować życie. Pakuj się do samochodu.

Pojazdy szybko sunęły przez miasto, a na twarzach funkcjonariuszy malowało się wyczekiwanie. Berg zaplótł przed sobą dłonie i spojrzał na poważną twarz dowódcy.

– Byłeś u Tyszki? – zapytał Wodziński.

– Kilka dni temu – potwierdził Berg. – Wyglądał nieźle. Pewnie długo w tym szpitalu nie poleży.

Wódz przytaknął bez słowa, ale Proca domyślał się, co chodziło mu po głowie. Moment, w którym dowiedzieli się o strzelaninie i zranionych policjantach, zdemaskował przywiązanie Berga do Filipa Tyszki. Dowódca zrozumiał wtedy, że łączyła ich synowsko-ojcowska relacja, i obawiał się, czy Proca udźwignie ten ładunek emocjonalny, zachowując pełen profesjonalizm. Jechali jednak na akcję razem, co oznaczało, że obdarzył sztabowego kredytem zaufania.

Dziesięć minut później wysiedli z transitów przy ulicy Trockiej. Świeży śnieg skrzypiał pod ich ciężkimi butami. W szyku bojowym wkroczyli do wskazanego budynku. Na klatce schodowej panowała cisza, tylko szuranie butów niosło się nieśmiałym echem na wyższe piętra. Ostrożnie podeszli pod jedno z mieszkań na parterze, z którego dochodziły dźwięki muzyki i ożywionych rozmów. Byli gotowi do wejścia. Wystarczył jeden, oszczędny gest dowódcy.

Policjant z taranem w okamgnieniu wyważył drzwi. Do środka wrzucili flashbanga, po którego hucznym rozbłysku weszli szturmem do wewnątrz. Rozległy się wykrzykiwane stanowcze komendy i pierwszy strzał, który padł, gdy tylko przekroczyli próg mieszkania. Marecki przyjął go w sam środek kamizelki i szybko odpowiedział ogniem. Napastnik padł na ziemię, raniony dwoma pociskami.

– Nie strzelać! – odezwały się krzyki.

W pierwszym pomieszczeniu stało pięciu mężczyzn z rękami w górze. Poddali się bez walki, pozwalając, by funkcjonariusze sprawnie ich obezwładnili.

Gdy część zespołu kładła zatrzymanych na podłogę, reszta ruszyła w głąb mieszkania. Wódz wyjrzał zza futryny do kolejnego pokoju i zobaczył otwarty balkon z rozwianą franką. Berg, stojący po przeciwnej stronie otworu drzwiowego, na wprost dowódcy, dostrzegł kolejnego podejrzanego. Był to Marcin Laczyk.

W tym samym momencie huknął strzał, a pocisk przeleciał tuż nad głową Procy. Ten skulił się instynktownie i przywarł na krótką chwilę do ściany, podczas gdy Laczyk wybiegł już na balkon. Berg zaklął pod nosem i poderwał się, by rozpocząć pościg. Wódz zdążył złapać go za rękaw, ale materiał wyslizgnął mu się z dłoni.

– Proca, stój! – wrzasnął za funkcjonariuszem, jednak on skakał już przez balustradę. – Stój, kurwa!

Wściekły głos Wodza cichł z każdą sekundą, a Proca pędził za Laczykiem, nie szzczędząc sił. Musiał go dopaść! Dla Tyszki i Szuwarckiego! Dla całego zespołu. Bo przecież dziś wszystko miało się zakończyć. Biegł, czując, że osiągnął już maksimum swoich możliwości. Jego oddech był coraz cięższy, podobnie jak uwieszone na ciele oporządzenie. Utrzymywał stały dystans względem uciekiniera, nie mogąc go zmniejszyć. Jedyłą nadzieję pokładał w tym, że facet pierwszy opadnie z sił i zwolni. Ale Laczyk biegł i biegł, pokonywał kolejne metry, przebiegał przez skrzyżowania, zręcznie brał zakręty, aż całkiem zniknął policjantowi z oczu.

W końcu Proca się zatrzymał. Dyszał ciężko, próbując złapać oddech. Odkasznął parokrotnie. Ociekał potem i czuł, że drżą mu kolana. Zaklął, wściekły na gangstera... wściekły na siebie. Był już tak blisko, a jednak przegapił okazję!

Oparł się o ścianę, by odetchnąć, i po chwili odpoczynku zawrócił. Wtedy do głosu doszedł rozsądek. Zrozumiał, że zrobił to ponownie – wyrwał za uzbrojonym uciekinierem w pojedynek. Spodziewał się, że tym razem nie zostanie przez Wodza poklepany po ramieniu.

Gdy tylko dotarł do budynku przy Trockiej, przywitało go ostre spojrzenie dowódcy.

– Odbiło ci już do reszty?! – wrzasnął Wodziński, nie zważając na obecność innych funkcjonariuszy oraz zatrzymanych. – Rozkazałem ci stać!

– Przepraszam. Nie słyszałem – wysapał Berg, ocierając pot z czoła.

– Gówno prawda! Doskonale słyszałeś i zignorowałeś rozkaz! Znowu pobiegłeś sam za uzbrojonym bandytą i nie odpowiadałeś na radio!

Proca sięgnął po krótkofalówkę.

– Wyłączyła mi się.

– Wyłączyła się?! Wyłączyła?! Trzymajcie mnie, kurwa! Jebany kamikadze!

Wódz odszedł od niego, jakby się powstrzymywał, żeby podwładnego nie uderzyć.

Krew burzyła się w nim ze złości i nie dało się tego nie zauważyć. Wszyscy przyglądali się tej scenie z przejęciem. Nieczęsto widywano Wodzińskiego tak wzburzonego. Nigdy nie słyszano, by kogoś zwyzywał.

Dowódca przełączył kanał na krótkofalówce i powiedział:

– Już wrócił. Pokręćcie się jeszcze trochę, może wpadniecie na Laczyka... Gdzie go zgubiłeś?! – zapytał sierżanta ostrzejszym tonem.

– Przy Lusińskiej. Skręcił w prawo.

– Szukajcie w okolicy Lusińskiej. Jak za pół godziny nikogo nie namierzycie, wracajcie tutaj. A ty, Proca, wypad do bazy. Potem do aresztu i najmłodszego na przesłuchanie.

– Dlaczego nie Jankowskiego?

– Nie dyskutuj ze mną! Jankowski nie sypnie... – dodał Wódz po krótkiej chwili, nieco spokojniej, po czym wszedł z powrotem do budynku, rzucając Bergowi ostatnie wściekłe spojrzenie.

Czekało ich jeszcze mnóstwo pracy tego wieczoru. Przetrząsnięcie mieszkania było kluczowe, ale poza tym kierownictwo oczekiwało na raport. Kwity, kwity, kwity... Wszystko musiało zostać udokumentowane i dokładnie opisane. Łącznie z wysokiem nieprzewidywalnego sierżanta sztabowego.

– Jeszcze nigdy nie widziałem go tak wściekłego – zagadnął Adam, podchodząc do przyjaciela. – Przesadziłeś tym razem, Proca. Wszyscy słyszeli, że kazał ci zostać.

– Myślałem, że złapię Laczyka. Był szybszy – odparł Berg bez cienia troski o swój los w szeregach wydziału. W oczach przyjaciela dostrzegł coś na kształt podziwu, co sprawiło, że poczuł się niezręcznie.

W końcu Adam wydusił:

– Przebiegłeś kilometr w pełnym osprzęcie...

– Muszę poprawić kondycję.

– Czasami się ciebie boję, wiesz?

Berg nie był w nastroju do rozmów. Odburknął coś, po czym załadował się do samochodu i wrócił na komendę z częścią funkcjonariuszy. Zdał w magazynie sprzęt oraz pistolet maszynowy. Niezadowolony, w podminowanym nastroju wsiadł do swojej hondy civic i pojechał do aresztu, gdzie miał przeprowadzić rozmowę z najmłodszym zatrzymanym. Nie robił sobie wielkich nadziei, szczególnie dlatego, że ucieczka Laczyka wytrąciła go z równowagi, i skupienie na maglowaniu jakiegoś początkującego gangusa wydawało się wyjątkowo wymagającym wyzwaniem. Rozkaz był jednak rozkazem i Berg nie miał zamiaru zawalić kolejnego zadania.

10

„Zazwyczaj jestem dupkiem”

Silne światło jarzeniówki oblewało obskurny, przejmujący surowością korytarz. Okna pozostawały czarne, a tylko gdzieś gdzie można było dostrzec migoczące na zewnątrz słabe uliczne oświetlenie. Berg wziął głęboki wdech i zdało mu się, że poczuł w nozdrzach chłód bijący od zimnych, niewzruszonych ścian aresztu. Gdzieś w głębi budynku toczyły się burzliwe rozmowy, ale sztabowy nie brał w nich udziału. Nie był również zainteresowany ich podsłuchiowaniem, miał własne sprawy na głowie.

Otworzył cieniutką kartonową teczkę zawierającą jedną stronę wydruku oraz dowód osobisty młodego mężczyzny zatrzymanego w mieszkaniu przy Trockiej. Przyjrzał się dokumentowi i cały gniew nagle go opuścił. Na krótką chwilę zapomniał o wzburzeniu wywołanym bezowocnym pościgiem oraz zawodzie, jaki sprawił swojemu przełożonemu. Całą jego uwagę pochłonął niewielki plastikowy prostokąt trzymany w dłoni, który niespodziewanie wymalował mu w umyśle szereg odległych w czasie wspomnień.

Znał zatrzymanego i wiedział, że wcale nie był on początkujący w bandyckim fachu. Wychowywali się na jednym podwórku. Choć nie widzieli się od lat, Berg doskonale go pamiętał. Chłopak miał wtedy fryzurę na jeża, chodził w podrabianych adidasach i przynosił do szkoły papierosy, które podkradał ojcu. Nigdy się nie przyjaźnili, ale spędzali razem sporo czasu, grając w piłkę lub obsiadując osiedlowy trzepak. Od dziecięcego kumplostwa minęło kilkanaście lat i dawni, podążający rozbieżnymi ścieżkami koledzy spotkali się na skrzyżowaniu życiowych dróg.

Berg powoli wkroczył do pomieszczenia, gdzie od godziny czekał zakuty w kajdanki młody mężczyzna. Położył na stoliku notes z długopisem, kilka dokumentów i usiadł na wolnym krześle. Niespiesznie zapisał w rubryce datę oraz godzinę, po czym odchylił się na oparcie, splótł dłonie przed sobą i zaczął:

– Pamiętasz mnie, Jacek?

Jacek Fota patrzył najpierw na swoje dłonie, potem na podłogę, jednak po chwili ciekawość zwyciężyła. Zerknął na sierżanta sztabowego i jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

– Nie mów mi, kurwa, że zostałeś psem...

– Nie mów mi, kurwa, że zostałeś handlarzem...

Jacek pokręcił głową zdegustowany.

– Nie gadam z psami – oznajmił.

- To pogadaj z kolegą z blokowiska.
- Nadal jesteś psem...
- I dawnym kolegą z blokowiska. Daj spokój, Jacek. Ile godzin spędziliśmy razem na trzepaku pod blokiem? Ile razy rznąłeś ode mnie na klasówkach z matmy?
- Dawne dzieje.
- Tak, ale ty nadal jesteś Fotą, a ja Bergiem.
- I dlatego przyszedłeś grać dobrego gline?
- Nie. Zazwyczaj jestem dupkiem.
- Wyglądasz na dupka, wiesz? Nigdy cię specjalnie nie lubiłem.
- Ja ciebie też, ale szanuję naszą wspólną historię.
- Psy wygrzebały cię z za jakiegoś biurka, bo się znamy? Ściągnęli cię z drogówki?
- Nie. Brałem udział w zatrzymaniu przy Trockiej.
- Ty chuju.
- Taka praca...
- Tak jak i moja.
- Nie do końca, wiesz. To, co robisz, jest nielegalne.
- Ja niczego nie robię...
- Serio? Mieszkanie przy Trockiej to skład narkotykowy. Siedziba grupy.
- Nie znam tych ludzi. Przyszedłem tam z kolegą.
- Którym?
- Nie pamiętam.
- Tak chcesz rozmawiać?
- W ogóle nie chcę rozmawiać.
Siedzieli przez chwilę w całkowitej ciszy. Zatrzymany wpatrzony w podłogę, a Berg w zatrzymanego. Policjant dostrzegł coś kuriozalnego w tym, jak rozeszły się ich ścieżki. W końcu przyznał:
- Chcę ci pomóc, Fota. Nie musisz iść na lata do pudła.
Odpowiedziało mu milczenie.
- Opowiesz mi, co robiłeś w tym mieszkaniu?
Ponownie milczenie.
- Z mieszkania uciekł Marcin Laczyk. Wiesz, gdzie może teraz przebywać?
Tylko milczenie. Po chwili Berg wstał od stołu. Spokojnie powiedział, że idzie porozmawiać z innymi zatrzymanymi, którzy może będą bardziej skorzy do współpracy. Zapewnił, że jeszcze wróci, i wyszedł z pokoju. Tak naprawdę nie planował przeprowadzić żadnych innych rozmów. Udał się na korytarz, gdzie znajdowała się maszyna vendingowa. Miał dwa wyjścia: walnąć łbem zatrzymanego

o stół albo pogadać z nim jak z człowiekiem. Jedni lepiej reagowali na kij, inni na marchewkę. Po chwili namysłu kupił dwie puszki coli. Usiadł z nimi na parapecie przed drzwiami pokoju przesłuchań i spojrzął na zegarek. Była dwudziesta druga. Mieli całą noc.

11

„Kogo udajesz?”

Było tuż przed jedenastą, kiedy Berg wychylił jedną puszkę coli do suchego dna. Niespiesznie wyrzucił ją do pobliskiego śmietnika, po czym wrócił do pokoju przesłuchań z drugim napojem w dłoni. Fota siedział, jakby w ogóle nie zmienił pozycji. Tkwił niczym wyrzeźbiona w kruchym materiale figura zasępionego myśliciela. Berg postawił przed nim napój i tak jak poprzednio zajął miejsce na krześle. Zatrzymany rzucił okiem na puszkę.

– To dla ciebie – zapewnił policjant. – Pij.

Fota otworzył colę skutymi rękami i przyssał się do ustnika jak spragniony pustelnik. Wypił duszkiem kilka łyków, po czym odetchnął głęboko. Beknął.

– Kiedy mnie puścicie?

– Nie puścimy cię. Będziesz miał zarzuty, Fota. Pytanie tylko jakie, bo albo handlowałeś, albo znalazłeś się w złym miejscu o złej porze... Inni zatrzymani twierdzą, że handlowałeś, więc w twoim interesie jest odpowiedzieć na kilka pytań. Wyjaśnij mi parę rzeczy... Ułatwisz tym życie sobie i mnie.

– Nie gadam z psami, stary.

– Rozumiem, ale ja chcę ci pomóc. Wyszliśmy z tego samego podwórka, mamy wspólnych kolegów, nasze matki nadal mieszkają po sąsiedzku...

– Więc teraz udajesz mojego przyjaciela.

– A ty? Kogo udajesz? Znam ludzi z tego środowiska. Handlarzy, dilerów... Miałem do czynienia już z niejednym. Większość z nich to parszywi goście z kłamką

lub nożem przy tyłku. Tępe i wulgarne typy bez przyszłości. Ty nie jesteś taki. Myślę więc, że jakieś drobne błędy, może złe wybory sprawiły, że znalazłeś się dzisiaj w tym mieszkaniu. Skumałeś się ze złymi ludźmi, Fota. Niektórzy są poszukiwani za zabójstwa. Kilka tygodni temu dwóch z nich, Walicki i Laczyk, zastrzelili policjanta, a drugiego poważnie zranili. To mordercy. Przecież ty taki nie jesteś. Wiem, bo cię znam.

Jacek milczał, ale Berg nie pozwolił, by cisza trwała zbyt długo. Jego dawny kolega miał już wystarczająco dużo czasu na myślenie.

– Zaczniemy może od pierwszego pytania. Często bywałeś w mieszkaniu przy Trockiej?

Zatrzymany zaczął rozmasowywać sobie dłonie.

– Fota... spójrz na mnie.

Po krótkiej chwili chłopak podniósł oczy.

– Często bywałeś w tym mieszkaniu?

– Byłem tylko kilka razy – odparł prawie niedosłyszalnie.

– Zacząłeś handlować?

– Jeszcze nie. Kolega powoli mnie wkręcał. Chodziliśmy razem do parku. On handlował, ja byłem na lookoucie.

– Jak nazywa się ten kolega? To jeden z zatrzymanych?

Fota upił łyk z puszki.

Berg nachylił się ku niemu.

– Jacek...

– Mów na mnie Fota – odparł zatrzymany i podrapał się nerwowo po głowie.

– Twój kolega to jeden z zatrzymanych?

– Nie, nie było go tam. Nie mogę ci powiedzieć, kto to. Nie wsypię kumpla.

– Rozumiem... Znałeś wszystkich, którzy byli dzisiaj w mieszkaniu?

– Paru. Kowal...

– Czyli Jakub Jankowski...

– Może i tak. Nie znam jego nazwiska. Wydawał towar i odbierał kasę. Wpadłem tam tylko na chwilę odrzucić dniówkę. Laczyk też tam był i ten Walicki...

– Jesteś pewny, że byli tam obaj? Laczyk i Walicki?

– Tak. Jak przyszedłem, była tam jakaś ciężka rozkmina, zaraz ktoś zadzwonił do Walickiego i wszyscy zaczęli panikować. Kowal zbierał towar i spuszczał go w kiblu, Walicki skakał przez okno, wtedy wyjebaliście drzwi...

Berg odetchnął głęboko. Nie podobało mu się to, co usłyszał. Po pierwsze, nie tylko Laczyk zwał im sprzed nosa, był jeszcze Walicki, którego ktoś najwyraźniej

uprzedził o planach policji.

– Wiesz, gdzie Walicki i Laczyk mogą się ukrywać? Padły jakieś adresy?

Fota zaprzeczył ruchem głowy.

– Mówili cokolwiek w tej panice? Umawiali się?

Przedłużająca się chwila ciszy była testem dla cierpliwości młodego sierżanta. Mimo wszystko milczał, bo widział, jak jego dawny kolega z podwórka toczy wewnętrzną walkę.

– Mówili – wydusił w końcu Fota – że policja nie weźmie ich żywcem. Laczyk rzucił jeszcze jakieś nazwisko... Procki, Pracki...

– Precki? – dopytał Berg, bo takie nazwisko dzwoniło mu w głowie. Jego myśli goniły jedna drugą.

– Możliwe, że Precki. Mówili, że on im pomoże.

– Pomoże z czym?

– Nie wiem. – Fota wzruszył ramionami.

Jacek nie wiedział też wielu innych rzeczy. Nie miał pojęcia, skąd w mieszkaniu wzięła się broń, od kogo grupa załatwiała towar ani gdzie mieszkali inni poszukiwani przez policję przestępcy.

Siedzieli w tym pokoju jeszcze długo, a im dłużej rozmawiali, tym wyraźniej Berg dostrzegał w zatrzymanym kilkuletniego chłopaka, który beztrudnie biegał za piłką, chodził z walkmanem (prawdopodobnie kradzionym) w kieszeni i wspinał się na rosnące na podwórku drzewo. Fota niewiele się zmienił, a jednocześnie zmienił się tak bardzo...

– Dlaczego zająłeś się handlem, Fota? – zapytał, naprawdę próbując zrozumieć powód, dla którego dawny kolega niszczył sobie życie.

Ten spojrzał na niego z ukosa i odparł:

– Powaga? Na serio nie wiesz?

– Chodzi o pieniądze?

– A o co innego?! Ile zarabiasz miesięcznie? Dwa, trzy tysiące?

– Coś takiego... – odparł Berg, przyglądając się koledze z uwagą.

Ten w odpowiedzi parsknął żalonym śmiechem i dodał:

– Na twoim miejscu zmieniłbym robotę albo poszukał dodatkowego źródła dochodu. Chyba że takie już masz. Wiem, że wielu gliniarzy dorabia na boku, robią na dwa fronty...

– Nie ci, z którymi pracuję – odparł Berg pewnym tonem. Przez chwilę próbował wyobrazić sobie współpracowników przyjmujących łapówkę za patrzenie w drugą stronę, ale ten obraz wydawał mu się absurdalnie śmieszny i nieprawdopodobny.

Fota się mylił. Pieniądze wcale nie były najważniejsze. Nie mogły determinować dokonywanych przez nich wyborów.

12

„Kret w policji?!”

Rozmowa w pokoju przesłuchań zakończyła się dopiero przed pierwszą w nocy. Na dworze panowały ciemność i mróz, a w głowie Berga kotłowały się myśli. Kiedy wsiadł do civica, niespodziewanie zadzwoniła jego komórka służbowa. Odebrał, powstrzymując ziewnięcie.

– Śpisz już? – Głos Adama Dukowskiego był wyjątkowo ożywiony jak na tak późną godzinę.

– Nie śpię. Dopiero wyszedłem z aresztu.

– Do tej pory maglowałeś chłopaka, czy coś się stało?

– Rozmawialiśmy dość długo. Znamy się z osiedla na Pradze.

– Życie potrafi zaskakiwać...

– A ty czemu dzwonisz tak późno?

– Zeszło długo w tym mieszkaniu. Wódz kazał nam praktycznie rozwalać ściany i zrywać podłogę. Szukaliśmy prochów, ale znaleźliśmy ich niewiele, za to sporo broni.

– To dlatego, że część towaru spuścili w kiblu, a resztę wynieśli.

– Strzelasz czy wiesz to od chłopaka?

Berg nie odpowiedział od razu. W jego głowie zapaliła się nagle czerwona lampka. Ktoś uprzedził przestępców o tym, że policja wyjechała na akcję. Nie wiedział, kto ich podkablował ani jak. Czy był to ktoś z dowództwa, z ekipy, a może nie było

żadnego zdrajcy, tylko podsłuch?

– Chcesz iść na piwo? – rzucił Adaś po chwili namysłu. Musiał wyczuć, że milczenie Berga nie jest jedynie efektem zmęczenia.

– Teraz? O pierwszej w nocy?

– Setka jest otwarta do trzeciej – odparł Dukowski zachęcająco.

Spotkali się w barze nieopodal komendy. Ruch w lokalu był spory, dzięki czemu mogli liczyć na przeprowadzenie dyskretnej, nieprzyciągającej oka i ucha rozmowy.

Adam jak zwykle nadawał jak najęty. Narzekał na dowódcę i jego napięte jak postronek nerwy, opisywał szczegółowo przebieg przeszukania mieszkania. Proca wysłuchiwał go w milczeniu, często odpływając w głąb własnych przemyśleń.

– Dlaczego zawsze są o krok przed nami? – wypowiedział w końcu to wiszące w powietrzu pytanie.

– Kto? Przecież ich dopadliśmy. To znaczy z wyjątkiem Laczyka. I Walickiego...

– No właśnie! Fota, to znaczy chłopak, którego przesłuchiwałem, powiedział, że w mieszkaniu był też Walicki.

Adam spojrzał na przyjaciela wytrzeszczonymi oczami. Odstawił butelkę piwa od ust, a Berg kontynuował:

– Walicki wyskoczył przez balkon tuż przed naszym wejściem. Jankowski zdążył spuścić w kiblu część towaru, ale większość Walicki zabrał ze sobą w sportowej torbie.

Młodszy aspirant wyglądał, jakby nie dowierzał. Jakby oglądał fragment wyjątkowo niepokojącego filmu sensacyjnego.

– Ale to znaczy... – wyjęczał.

Berg wszedł mu w słowo:

– To znaczy, że byliśmy spaleni. Fota mówił, że Walicki dostał telefon tuż przed naszym przyjazdem. Ktoś ich ostrzegł. Pamiętasz, że podobnie było kilka miesięcy temu, jak zgarnialiśmy Karolczaka? Weszliśmy do jego mieszkania o szóstej rano, a gość był całkiem ubrany! Zakładał buty w przedpokoju! Szykował się do wyjścia z plecakiem wypchanym kasą! Albo jak było z Laczykiem, zanim napatoczył się na niego Tyszka? Mieliśmy go zatrzymać, kiedy jechał taksówką, a kierowca zamienił się nagle w rajdowca i spierniczył!

– Może się skapnął, że był śledzony... Kierowca zeznał, że groził mu bronią i kazał uciekać patrolowi...

– Gówno prawda! Laczyk się nie skapnął, tylko wiedział, że ma ogon! Za wiele było takich przypadków! Mówię ci... ktoś go poinformował. Tak samo było dzisiaj. Ktoś ich o tych akcjach uprzedza.

- Kret w policji?! – zapytał Adam Dukowski jakby sam siebie.
 - Nie wiem, Adaś... ale pomyśl, co było dzisiaj. Weszliśmy, a Laczyk stał w pokoju przy otwartym na oścież balkonie, w pełni ubrany i gotowy do ucieczki z wypchanym plecakiem! Obserwatorzy mówili, że przyszedł godzinę wcześniej, więc miał raczej sporo czasu, żeby się rozebrać i zrelaksować. Ale nie! Stał przy otwartym na oścież balkonie w środku zimy!
 - Może mają podsłuch, Proca... – powiedział w końcu młodszy aspirant, rzucając przyjacielowi jakby błagalne spojrzenie. – Nie wierzę, żeby wśród nas był ktoś tak podły, żeby uprzedzać bandziorów o naszych ruchach! Zabili policjanta! Wszyscy chcą widzieć ich za kratami!
 - Widocznie nie wszyscy. Masz za dobre zdanie o ludziach, Adaś! Większość jest jak papugi. Płochliwe, powtarzające nie swoje opinie i lubiące błyskotki... – To mówiąc, wymownie potarł o siebie dwa palce, a potem dodał: – Co z tą bronią, którą znaleźliście?
 - Było tego sporo. Krótka i karabinki. Znalazł się nawet jeden granat. Pewnie chcieli to sprzedać... Tylko skąd to mieli?
 - Fota wspominał o Preckim.
 - O tym Rosjaninie?
 - Nie mam pojęcia. Nie był nawet pewny nazwiska, ale jeśli to ten, to broń muszą brać od niego.
- Berg odetchnął ciężko, na myśl o poszukiwanym od lat Iwanie Preckim. Był to niebezpieczny człowiek powiązany z rosyjskimi służbami specjalnymi. Specjalista od ładunków wybuchowych i broni. Krążyły plotki, że zastrzelił swojego pierwszego jelenia w wieku pięciu lat, po czym wraz z ojcem obdzierał zwierzę ze skóry. Miał nie rozstawać się z bronią, trzymać ją pod poduszką, a nawet wchodzić z nią pod prysznic. Jak wiadomo, w legendach tkwi choć ziarno prawdy. Walczyli z silnym przeciwnikiem. Świadomość, że oprócz oczywistych bandytów jakiś niby-sojusznik rzuca im kłody pod nogi, nie tylko denerwowała, ale też przerażała. Bo na ilu frontach jednocześnie będą w stanie prowadzić skuteczną walkę?
- Rozejrzał się po twarzach przesiadujących w lokalu gości. Kilku z nich rozpoznawał z komendy. Próbował wejść w skórę i umysł potencjalnego zdrajcy. Co musiałoby się stać, żeby stanął po drugiej stronie barykady? Ile kosztowałaby jego lojalność? Nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Pomyślał, że może ulepiono go z jakiejś innej gliny.

13

„Potwierdziły się moje najgorsze obawy”

WTOREK

Nieprzyjemne klucie w skroniach wybudziło Berga z płytkiego snu. Po chwili klucie przeistoczyło się w nieznośny ucisk i sztabowy już wiedział, że tego dnia będzie się zmagał z dręczącą go co jakiś czas migreną. W bólu czy nie, wyspany czy nie, do pracy musiał stawić się o czasie.

Korytarze przemierzał z przymkniętymi oczami, bo światło, choć zimowe, blade i płytkie, wzmagало ból za oczami.

– Co ty, kaca masz?! – wypalił Adaś na widok wykrzywionej twarzy przyjaciela.

– Jaki kac? Zgłupiałeś? To jest migrena. Marecki, masz te cudowne proszki?

Marecki kupował tabletki przeciwbólowe od Białorusina handlującego niemiecką chemią na rynku przy Bakalarskiej. Leki były silne, działały szybciej niż wszystko, co można było kupić bez recepty w aptekach.

Marecki przytaknął. Wyciągnął z szuflady biurka niewielką saszetkę i rzucił ją Bergowi. Sierżanta zawiódł z reguły dobry refleks i opakowanie upadło na podłogę. Berg przychylił się, a nagła zmiana ciśnienia sprawiła, że poczuł zawroty głowy. Wsparł się więc o szafkę i wyprostował powoli. Wysypał dwie rozpuszczalne tabletki do szklanki z wodą i usiadł przy biurku, patrząc na powstające w szklanym naczyniu burzyny. Nachylił się nad chłodnymi tryskającymi kropelkami i poczuł krótkotrwałą ulgę.

Wtedy agresywnie otwarto drzwi. Stanął w nich Wódz, a jego podniesiony głos zadziałał jak przekręcenie wajchy imadła, w którym znajdowała się głowa sztabowego.

– Gdzie twój raport?

Berg spojrział na niego spod mocno zmarszczonego czoła i odparł:

– Jeszcze nie napisałem. Do pierwszej przesłuchiwałem chłopaka...

– Co ty, kaca masz?!

– Nie... – odpowiedział, rozmasowując twarz rękoma. – To tylko migrena.

– Który to?! – zabrzmiał w progu gniewny głos naczelnika.

Wszyscy zerwali się ze swoich krzeseł i stanęli na baczność. Berg również, z tym że przy okazji przewrócił ręką szklankę i jej zawartość wylała się na jego spodnie oraz na biurko. Ledwo przytomnym odruchem ocalił od zamoczenia kilka leżących na blacie dokumentów.

Wódz skinął głową na sztabowego, więc naczelnik wkroczył agresywnie do środka i z twarzą wykrzywioną irytacją oraz palcem wycelowanym w Berga zagrzmiał:

– Widzę cię i zapamiętam! Naoglądaliście się Rambo, sztabowy?! Strugacie zasranych bohaterów, a macie słuchać rozkazów! Rozkazów, do cholery!

– Tak jest!

– Cały kraj śledzi tę sprawę! Tylko czekają na kolejny błąd policji! Koniec błędów!

– Tak jest!

– Jeszcze raz odwalisz taki numer, gnojku, to wylecisz! Na pysk!

– Tak jest!

– Czy on jest pijany? – zapytał naczelnik dowódcę.

– Nie, tylko ma migrenę.

Naczelnik obrzucił Berga ostatnim uważnym spojrzeniem, po czym wyszedł.

– Doprowadź się do porządku, Proca. Potem przyjdź do mnie – zarządził nadkomisarz Wodziński i wyszedł, zostawiając za sobą gęstą niczym smoła ciszę.

Berg ciężko opadł na krzesło, a obraz przed jego oczami zaczął dziwnie migotać. Rozmasowywał czoło, gdy stanęła przed nim kolejna szklanka z musującymi tabletkami.

– Nie wylej, bo to ostatnie – ostrzegł Marecki z wyrazem współczucia na twarzy.

Sztabowy podziękował. Czuł się tak, jakby przyjaciel dosłownie uratował mu życie. Po piętnastu minutach ból zaczął ustępować, a spodnie trochę przeschły.

Sierżant niepewnie wsunął się do pokoju nadkomisarza Wodzińskiego.

– Oberwałem przez ciebie, Proca – powitał go Wódz, wstając zza biurka.

Kiedy Berg usiadł na krześle, nadkomisarz podszedł bliżej i oparł się o blat. Patrzył na podwładnego z góry, jednak w jego spojrzeniu nie było wyższości.

– Przepraszam za tamto – odparł sztabowy. – To się nie powtórzy.

– Jeśli się powtórzy, oberwiemy obaj, rozumiesz? Może nie wylecimy tak od razu, ale z pewnością kierownik uprzykrzy nam życie. Odpowiadam za was, a nie mam

tak ugruntowanej pozycji jak Tyszka.

– Tak. Jeszcze raz przepraszam.

– Chłopak coś powiedział?

Berg podrapał się po brodzie. Wiedział, że to, co za chwilę oznajmi, nie poprawi dowódcy humoru.

– Tak, coś tam powiedział. Zaraz przysiadę spisać wszystkie notatki – zapewnił, po czym w skrócie opowiedział Wodzowi o przebiegu rozmowy z zatrzymanym. Z każdą kolejną informacją widział, jak w przełożonym wzrasta strach, irytacja oraz zaskoczenie.

– Potwierdziły się moje najgorsze obawy – przyznał Wodziński po chwili milczenia. – Od tej pory zawężamy jeszcze bardziej krąg wtajemniczonych.

– Co, jeżeli ich informatorem jest ktoś z góry?

– Na to nie mam wpływu, Proca. Każda akcja wymaga zgody naczelnika albo prokuratora. Zatrzymania przy Trockiej to za mało, żeby zadowolić górę. Spodziewają się większych sukcesów. Potrzebujemy Laczyka i Walickiego, a ich wyjątkowo dobre poinformowanie nie ułatwia nam zadania. Tym bardziej musimy uważać podczas realizacji, zawsze mając na uwadze, że mogą się nas spodziewać. Nie robimy niedopracowanych akcji, nie rzucamy się w pogoń za uzbrojonym mordercą. – Wodziński spojrzał na Berga wymownie i po chwili dodał: – Dobra robota z tym przesłuchaniem. Może powinieneś robić to częściej. Znasz się na ludziach...

– Wolę wyjazdy na miasto.

– Nieważne, co wolisz, ważne, w czym jesteś dobry. Twoje wyjazdy na miasto nie zawsze dobrze się kończą...

– Przesłuchania też...

Wodziński uśmiechnął się smutno.

– W naszym zawodzie „dobre zakończenie” to pojęcie względne. Za niektóre sukcesy płacimy wysoką cenę.

Zamknęli ten temat jeszcze jednym przypomnieniem o wzmożonej dyskrecji. Berg miał już wychodzić, kiedy Wodziński dorzucił:

– Widziałem, że na weselu gadałeś z moją siostrą.

– Tak? – zapytał sztabowy, udając głupiego. – A, no, może rzeczywiście... Przez chwilę, jak wyszedłem zapalić.

– Dała ci coś...

– Dała...

– Numer telefonu?

Berg chciał odpowiedzieć, ale Wódz go uprzedził:

– Nie zadzwonisz.

– Słucham?

– Nie zadzwonisz, Proca. A jeśli zadzwonisz, to uprzykrzę ci życie. Rozumiemy się?

– Tak – odparł z ociąganiem. – Wszystko jasne.

Zmusił się do lekkiego uśmiechu, jednak swoje pomyślał. Wkurzył się na dowódcę i całą wypracowaną wcześniej dobrą relację diabli wzięli. „Niech sobie gada, co chce. Niech wydaje rozkazy w robocie, ale od życia prywatnego wara. Zadzwonię. Jasne, że do niej zadzwonię!”

14

„Rzeczywistość zawiodła moje oczekiwania”

Berg wcisnął zmarznięte dłonie do głębokich kieszeni kurtki. Zastanawiał się, czy wejść do kawiarni, by nie sterczeć na mrozie, jednak postanowił poczekać. Spojrzał na zegarek. Dziewczyna spóźniała się zaledwie pięć minut, za to on przyszedł piętnaście minut przed czasem. W końcu zobaczył, jak wyszła zza zakrętu. Od razu zrobiło mu się cieplej. Pomyślał, że jakiegokolwiek spotkają go konsekwencje za zaaranżowanie tego spotkania, nie będzie żałował. Choćby mu nawet dowódca dał po mordzie i odesłał do szorowania toalet.

Ewa przywitała go uśmiechem i całusem w zmarznięty policzek. Weszli do ciepłego wnętrza kawiarni i zajęli stolik przy oknie. Po krótkiej chwili podeszła do nich młodziutka kelnerka, zapewne studentka którejś z państwowych uczelni.

Ewa od razu zamówiła mokrą z podwójną czekoladą.

Berg również był zdecydowany.

- Podwójne espresso z małą ilością mleka poproszę.
- Czyli duże cappuccino czy flat white’a? – dopytała nieco zbity z tropu dziewczyna w fartuszku z naszytym logo kawiarni.
- Nie, podwójne espresso z małą ilością mleka – powtórzył cierpliwie, choć na twarzy kelnerki dostrzegął zmieszanie.
- Ewa uśmiechnęła się pod nosem.
- Wszystko musi być takie skomplikowane... – rzucił sztabowy, gdy dziewczyna oddaliła się z przyjętym zamówieniem.

– Z jej punktu widzenia to ty skomplikowałeś sprawę. Żyjemy w czasach, kiedy wszystko musi być skatalogowane i mieć konkretną zamerykanizowaną nazwę. Ty wiesz dokładnie, co lubisz. Ale to jest coś, czego nie przewidzieli w szablonie. Przez to muszą pomyśleć, jak tę kawę skatalogować.

– Widzę, że znasz się na branży kawowej.

– Bo to nasza rodzinna kawiarnia.

– Naprawdę?! – Berg rozejrzał się po wnętrzu. Momentalnie wydało mu się dużo bardziej przyjemne i bliskie.

– Tak – potwierdziła Ewa. – Rodzice są właścicielami. Czasami tutaj pracuję, wdrażam się.

– Pracujesz i studiujesz. Co dokładnie?

– Marketing. Ale było to małżeństwo z rozsądku – odpowiedziała z uśmiechem, którym próbowała ukryć zawstydzenie. – Jakbym miała pójść za pasją, studiowałabym polonistykę. Uwielbiam książki.

– Dlaczego nie poszłaś za głosem serca? – zapytał, patrząc na nią przenikliwie.

– Bałam się, że rzeczywistość zrujnuje moje wyobrażenie. Czasami tak bywa...

Berg oparł podbródek na dłoniach i po chwili refleksji odparł:

– Tak też było ze mną. Oczywiście nie liczyłem na to, że nosząc mundur, zostanę nagle bohaterem narodowym, ale rzeczywistość zawiodła moje oczekiwania.

– Z Tomkiem było podobnie. Wyobrażał sobie wiele, jednak nie przewidział chyba aż takiej presji i utarczek z kierownictwem. No i społeczeństwo też czasami nie ułatwia wam roboty.

– O tak! Nie wiem, ile już razy słyszałem, że mam pracę, bo obywatel płaci podatki i jest moim suwerenem. Odpowiadam, że ja też płacę podatki, ale to dla nich żadne tłumaczenie.

Na stoliku przed nimi z cichym brzdęknięciem spoczęły dwie filiżanki kawy. Ewa mieszała łyżeczką w mokce, podczas gdy Berg upił łyk swojej nieszablonowej kawy. Dziewczyna patrzyła na niego wyczekująco.

– I?

Odchrząknął.

– Mocna.

Roześmiała się, a na jej twarz wystąpił rumieniec.

– Wpadnij kiedyś w sobotę. Zrobię ci taką, jaką lubisz, i dodam ją do specjalnej karty kaw.

– Taka karta istnieje?

– Oczywiście! Zdarzają się wyjątkowi goście jak ty, którzy mają swoje nietypowe

zachcianki. Przyszedł kiedyś taki stały klient. Przyprowadził swojego tatę, który przez całe życie pił jedynie fusiare. Chciał, żeby staruszek spróbował prawdziwego espresso. Postawiłam przed nim filiżankę, a on spojrzał i powiedział: „Więc to jest to słynne ekspreso? Tyle kawy to ja zostawiam”. Miało być przyjemne popołudnie w kawiarni, a było rodzinne spięcie. Na szczęście udało się w końcu zadowolić pana tatę i teraz czasami przychodzi. Ale tylko w soboty, kiedy ja pracuję.

– Nie jestem pewien, czy przychodzi tylko ze względu na kawę.

Uśmiechnęła się, przez chwilę pokazując zęby. W policzkach miała symetrycznie rozmieszczone dołeczki, a z jej spojrzenia biła najprostszą radość. Taka przypominająca, że życie składa się z momentów, ulotnych chwil, które definiują nasze szczęście.

– Nie jest łatwo zadowolić rodziców... – skwitował po chwili Berg i momentalnie poczuł, że wkroczył na niebezpieczny dla siebie grunt. Nie był gotowy, by dzielić się z nią rodzinnymi opowieściami, które nie należały do najpiękniejszych.

– Wiesz coś na ten temat? – podłapała swobodnie Ewa. Chyba wyczuła jego zmieszanie, które nieskutecznie ukrywał za maską lekkiego uśmiechu.

– Pewnie każdy przechodzi przez coś takiego... – odparł niepewnie i zbyt oszczędnie. Wiedział, że teraz powinien opowiedzieć jej coś o sobie, o swoich bliskich, których miał, i o tych, których nie miał, ale opowieść jakby grzęzła mu w gardle.

– Tak, wiem, o czym mówisz – powiedziała dziewczyna, a on poczuł wdzięczność, że nie drążyła tematu. Upiła łyk kawy, po czym dodała: – Utarczki Tomka z tatą to u nas codzienność. Tata wolałby pewnie, żeby jego jedyny syn znalazł sobie inne zajęcie. Bezpieczniejsze. Szczególnie teraz, kiedy sam zakłada rodzinę. Ale Tomek zawsze szedł własną drogą i był w tym konsekwentny. Podziwiam go za to.

– Ja również. Nie wyobrażam sobie teraz pracy pod innym dowództwem.

– A on nie wyobraża sobie pracy z innym zespołem. Bardzo was wszystkich chwali, chociaż wspominał, że czasami sprawiasz mu problemy – przyznała zaczepnie, świdrując go spojrzeniem.

Berg odwzajemnił uśmiech, nachylił się nad stołem i odparł:

– Jakbym zawsze słuchał jego rozkazów, nie byłoby mnie tu teraz.

15

„Musimy być dyskretni”

Pięciu mężczyzn stłoczyło się w jednym niewielkim pomieszczeniu, będącym biurem w komendzie stołecznej. Nadkomisarz Tomasz Wodziński usiadł na metalowej szafce z dokumentami i próbował wymyślić sposób na odnalezienie poszukiwanych Laczyka oraz Walickiego. Do tego samego motywował swoich współpracowników. Rozważali rozmaite warianty. Wiedzieli, że podsłuchiwanie nie przynosiło wystarczających efektów, na wprowadzenie tajniaka w szeregi gangu było już za późno, a dotychczas zatrzymani przestępcy konsekwentnie odmawiali współpracy. Paradoksalnie ostatnie aresztowania ludzi stojących wysoko w strukturach grupy nieco ograniczyły możliwości funkcjonariuszy. Ci, którzy zostali na wolności, nabrali rozwagi, nie przemierzali się po mieście bez większej potrzeby, unikali spotkań z bliskimi, nie bywali w swoich ulubionych miejscach. Stali się trudnymi do uchwycenia duchami.

Policjanci dyskutowali nad ostatecznością, czyli wypuszczeniem jednego z zatrzymanych i śledzeniem jego kroków po wyjściu na wolność, ale nie mogli przecież wierzyć, że wypuszczony będzie aż takim idiotą, by nie przejrzeć podstępного planu. Berg nie angażował się w ożywioną dyskusję. Siedział na krześle w pobliżu okna i obserwował skaczące po gałęziach drzewa wróble. Z zamyślenia wyrwał go huk uderzonej butem metalowej szafki. Spojrzał na Wodza i zobaczył jego przesycone pretensjami spojrzenie.

– A ty masz jakiś pomysł, czy przekierować cię do pracy w logistyce?

– Temu to tylko kobieta w głowie – rzucił bezmyślnie Marecki, za co otrzymał karcące spojrzenie od Adasia.

Nim Wódz zdążył podłapać temat, Proca skoncentrował myśli i zdecydowanym tonem powiedział:

– Właśnie, możemy spróbować dotrzeć do Laczyka przez jego dziewczynę.

– Jest ostrożna. Nie zaryzykuje spotkania z nim z byle jakiego powodu – odparł Adaś.

– No, to dajmy jej powód! Jankowski siedzi w więzieniu i odwiedza go żona. Dajmy jej gryps od męża dla Laczyka. Ona przekaże go osobiście albo właśnie jego dziewczynie.

Nadkomisarz zamyślił się nad propozycją Procy i po chwili odparł:

– To może być totalna strata czasu, ale że nie mamy innego pomysłu, możemy spróbować.

Adaś niezdecydowanie pokiwał głową i skomentował:

– Tylko jakie mamy szanse, że Jankowski akurat taki gryps przekaże?

Wodziński i Berg wymienili spojrzenia.

– Nie da go sam Jankowski. Jak tam znajomości w areszcie, Proca? – zapytał dowódca.

Berg wyprostował się na krześle i założył ręce na piersiach.

– Mam tam zaufanego kolegę. Myślę, że przekaże Jankowskiej stosowny gryps dla Laczyka.

– Co będzie w tym grypsie? – dopytywał Marecki sceptycznie.

Wodziński wzruszył ramionami i po chwili zastanowienia odparł:

– Może zapewnienie o lojalności i przestroga, żeby nikomu nie ufać?

– Pójdźmy o krok dalej – wtrącił Proca. – Napiszmy, żeby nie ufał nikomu prócz Preckiego. Fota wspominał podczas przesłuchania, że nazwisko Preckiego padło tuż przed zatrzymaniem. To trochę uwiarygodni wiadomość.

– Zajmę się tym grypsem. Żeby wyglądał autentycznie, poproszę o pomoc znajomego, który podrobi pismo Jankowskiego, wzorując się na jego pisemnym zeznaniu. Ty, Proca, ogarnij areszt i strażnika. Dziki i Marecki, będziecie mieli oko na Jankowską. Jak wyjdzie z grypsem z więzienia, nie odstępujcie jej na krok! Będziemy się zmieniać.

Marecki skrzywił się niechętnie.

– Może na obserwację wyślemy jakichś młodzików?

– Zaangażuję jeszcze paru zaufanych ludzi – odparł Wódz i zerknął porozumiewawczo w kierunku Berga. – Jednak musimy być dyskretni. Im mniej

osób wie o naszym planie, tym lepiej.

Przez biuro przetoczyło się wymowne westchnienie. Marecki nie był zwolennikiem planu, w którym przypadła mu rola cienia żony Jankowskiego. Kobieta spędzała życie w salonach urody, kawiarniach i galeriach handlowych, wydając tam brudną kasę swojego męża. Domyślał się, że większość czasu przyjdzie mu spędzić w samochodzie na parkingu, czekając, aż pani Jankowska przemieści się z miejsca na miejsce. Był to najmniej lubiany przez niego element policyjnej roboty, choć z drugiej strony obarczony niewielkim ryzykiem zawodowym.

16

„Umrzeć można w każdej sytuacji”

NIEDZIELA

Jedna z najbrzydszych ulic w Warszawie. Jedno z najbrzydszych osiedli... podwórek... kamienic. Berg czułby wyłącznie wstręt, gdyby nie wyrósł z tego zepsutego kawałka ziemi. Odczuwał więc również jakiś rodzaj sentymentu, ale był to sentyment mocno zaprawiony bólem. Przechodził przez podwórze, rzucając okiem na poszczególne elementy otoczenia. Trzepak, metalowe wiadro, kubek na śmieci, wybita szyba, obdrapane drzwi z poodpryskiwaną farbą. Wolałby, żeby jego mama wyprowadziła się z tego miejsca. Z chęcią wynajęłby jej mieszkanie. Nawet mniejsze niż to, w którym teraz żyła, byłoby lepsze od codziennego przebywania w miejscu tak bardzo związanym z najgorszymi wspomnieniami. Przynajmniej tak uważał Berg. Jego pierwszym najgorszym wspomnieniem był opresyjny, pijany ojciec. Drugim – naćpany do nieprzytomności młodszy brat. Tyle wystarczyło, by ukształtować silny, choć na swój sposób wrażliwy charakter młodego sierżanta. Niespiesznie wspinał się na czwarte piętro. To również było minusem w jego oczach. Joanna Berg nie była jeszcze starą kobietą. Dobijała sześćdziesiątki, ale syn nie wyobrażał sobie, żeby jako zgarbiona, pomarszczona staruszka musiała wdrapywać się schodami na czwarte piętro kilka razy dziennie. Schody były dość strome, kamień, z których zostały zbudowane, mocno wytarty czasem, śliski, a poręcz wąska, metalowa, zimna.

Nim zapukał do drzwi, przystanął, jakby się wahał. Nie była to jednak niepewność, ale kolejne atakujące go wspomnienie, którego nie potrafił zignorować. Ostatni dzień życia jego brata. Zawsze ten sam dzień. Ten jeden, który tak wiele zmienił.

Nie zdążył zapukać, gdy dynamicznie otwarto drzwi. Stała w nich kobieta o siwych włosach i jasnym uśmiechu. Przekroczył próg zaledwie jedną nogą, a już został wyściskany, wycelowany, a do ręki wciśnięto mu worek ze śmieciami.

– Pójdiesz wyrzucić – powiedziała Joanna Berg.

– Nie mogę później?

– Śmierdzą.

Alan wziął głęboki wdech i ruszył schodami w dół.

Joanna była pielęgniarką. Kiedyś pracowała w szpitalu, teraz zatrudniała się prywatnie, by pomagać tym, którzy mieli mniej sprawności od niej. Zawsze skora do pomocy, dynamiczna, zdecydowana, rozkazująca. Prawie nigdy nie używała słów „proszę” i „czy mógłbyś”. „Czy mógłbyś wyrzucić śmieci?” – takie pytanie nigdy nie padłoby z jej ust. „Pójdiesz wyrzucić” i już, bez dyskusji. Może była właśnie taka, dlatego że sama wychowywała dwóch synów, a może uważała, że stanowczość lepiej motywowała pacjentów do powrotu do zdrowia, więc stosowała tę metodę również w innych sferach życia.

Pokrywa kosza na śmieci zamknęła się z łoskotem. Proca otrzepał ręce, a gdy się obrócił, zobaczył zbliżającą się do kubła starszą kobietę. Rozpoznał ją. Była mamą niedawno aresztowanego Jacka Foty.

– Dzień dobry – powiedział uprzejmie i otworzył kobiecie śmietnik. Zmierzyła go uważnym spojrzeniem od stóp po czubek głowy.

– Dzień dobry. Syn Asi, tak?

– Zgadza się. A pani jest mamą Jacka. Co u niego? – zapytał niby mimochodem. Liczył, że usłyszy od niej coś na pozór błahego, co może okazać się pomocne.

– Ach! – Jedno westchnienie matki wystarczyło za milion słów. Jednak gwoli wyjaśnienia dodała: – Żebym to ja wiedziała, co z tym chłopakiem się dzieje... Włóczy się tu i tam, Bóg jeden wie w jakim celu.

Nie była skora do rozmowy. Oddaliła się do sąsiedniego budynku bez pożegnania.

Proca wrócił na czwarte piętro, wyszorował ręce, po czym zajrzał do kuchni, gdzie mama wykładała obiad na talerze.

Spotkałem na dole mamę Jacka Foty.

– Ach! – westchnęła Joanna, dokładnie tak samo, jak wcześniej zatroskana sąsiadka.

– Coś z nim nie tak?

– Nie wiem – odparła, zerkając na niego z ukosa. – Baśka nie opowiada mi za wiele, pewnie dlatego, że wie, że pracujesz w policji. Jacek chyba wpłatał się w jakieś przestępstwa. Zanieś talerze na stół.

Alan Berg starał się odwiedzać mamę przynajmniej raz na dwa tygodnie. Zawsze w niedzielę i zawsze w porze obiadowej. U niej zmieniało się niewiele, u niego – podobnie. Zazwyczaj rozmawiali o tym samym lub wspominali nieliczne przyjemne chwile z przeszłości.

Złapał dwa wypełnione obiadem talerze i ruszył do dużego pokoju. Zatrzymał się w korytarzu, przechodząc obok łazienki. Nigdy nie potrafił przejść obojętnie obok pomieszczenia, w którym umarł jego brat. Nie rozumiał, jak matka mogła codziennie spoglądać na to miejsce, nie popadając w depresję. Jak mogła to znosić?! Wrócił do kuchni i rzucił:

– Skoro nie chcesz się przeprowadzać, może chociaż zrobimy jakiś mały remont? Przydałoby się odmalować ściany, zmienić wykładzinę... kafelki w łazience.

Joanna wyraźnie przełknęła ślinę i po chwili odparła:

– Nie trzeba niczego zmieniać. Tak jest mi dobrze.

Syn pokręcił głową, wyrzucając z siebie powietrze. Nie chciał znowu poruszać tego tematu. Nie chciał znowu rozmawiać o tamtym dniu. Miał w zanadru coś znacznie lepszego. Temat, o którym wiedział, że poprawi nastrój im obojgu. Gdy siedzieli już przy stole, zerknął na mamę znad talerza i oznajmił:

– Poznałem dziewczynę.

– Tak? – zapytała Joanna niby obojętnie, jednak całkiem straciła zainteresowanie wszystkimi innymi sprawami.

Proca wiedział, jak bardzo pragnęła, by założył rodzinę, by chociaż on jeden ułożył sobie przykładowe, szczęśliwe życie. Milczał przez chwilę, bo lubił się z nią droczyć. Ona z kolei traciła cierpliwość, by nadal grać obojętną.

– To coś poważnego?

– A jednak cię to interesuje! – powiedział z entuzjazmem, jakby przyłapał ją na kłamstwie.

– Bądź tak miły i nie testuj na mnie swoich policyjnych metod.

– To są taktyki prowadzenia przesłuchań...

– Teraz to ja powinnam przesłuchiwać ciebie, nie odwrotnie.

– No, to co chcesz wiedzieć?

– Znam ją?

– Widzisz, to jest bardzo złe pytanie! W ogóle nieistotne dla sprawy.

Joanna westchnęła głęboko, po czym odłożyła sztućce, spojrzała synowi w oczy i zapytała:

– Jak ma na imię?

– Ewa.

- Gdzie się poznaliście?
- Na imprezie u kolegi, ale tak naprawdę to dopiero na weselu...
- Na tym, na którym graliście z Adasiem?
- Tak.
- Czyli poderwałeś ją na gitarę. Wie, czym się zajmujesz?

Proca wykrzywił twarz w grymasie, jakby właśnie wgrzyźł się w wyjątkowo gorzki orzech.

- To zabrzmiało, jakbym uprawiał jakąś gangsterkę albo pracował w domu pogrzebowym lub prosektorium...

- Masz dość specyficzny zawód. Dziewczyna powinna wiedzieć, w co się pakuje.

- Wie doskonale. Pracuję z jej bratem.

- Który to?

- Wodziński.

- Twój szef?

- Przełożony. Zresztą od niedawna...

- Na jedno wychodzi. Ładna jest?

- A jak myślisz? - zapytał, uśmiechając się pod nosem.

- Znając ciebie, to nie będzie przeciętna. Byliście na randce?

- Jeśli można tak nazwać popołudniową kawę...

- Zaproś ją do siebie. Ugotuj jej coś. Dobrze gotujesz, a dziewczyny to lubią. Kiedy ją poznam?

- Nie wiem, mam. Jeszcze nie teraz. Jak będę miał pewność, że spróbujemy...

- To jeszcze nie wiesz? Skoro tak, to dlaczego mi o niej opowiadasz? To do ciebie niepodobne.

Ponownie się uśmiechnął.

- O mój Boże... - wyrzuciła z siebie na ciężkim wydechu.

Proca spojrział na nią zmieszany, lecz rozpromieniony wyraz jej twarzy szybko go uspokoił.

- Ty się zakochałeś.

- Może i tak.

- Niecierpliwie czekam na rozwój wypadków - oznajmiła radośnie. Połknęła kilka łyków i po chwili zapytała: - A jak w pracy?

- Dobrze.

- Jak zawsze...

- A co mam mówić? Zawsze to samo. Ktoś psoci, my łapiemy, ktoś inny sędzi...

- Myślałeś o tym, co powiedziałam ostatnio?

- O tym, żebym zmienił robotę? To się nie stanie, mamó.
- Jeśli chcesz założyć rodzinę, to mógłbyś pomyśleć o jakimś mniej niebezpiecznym zajęciu. O drogówce albo...
- Nawet w drogówce zdarzają się tragedie. Miałem kolegę, który próbował zatrzymać gościa za prędkość. Gonił go po autostradzie. Mieli kolizję, wjechali na rampę, a ta puściła. Metal przeciął go na pół...
- Alan! Na miłość boską! Ty nie masz dla mnie litości!
- Przepraszam, mamó, ale takie są realia. Umrzeć można w każdej sytuacji, ale uwierz mi, że zawsze robię, co w mojej mocy, żeby zostać przy życiu. Czy za każdym razem nasza rozmowa musi schodzić na temat śmierci?
- Masz rację... Przepraszam. - Zasepiła się pod jego oskarżeniem. Upiła łyk kompotu i po chwili refleksji powiedziała: - No to opowiedz, jak było na tej kawie z Ewą. Jaka ona jest? Czym się zajmuje? Ile ma lat?
- Proca odetchnął z ulgą. Widział nadzieję, że uda im się przeprowadzić lekkostrawną rozmowę.

17

„Proca prześcignie nas obu”

PONIEDZIAŁEK

Na poboczu w pobliżu aresztu stał srebrny opel astra. Siedzący za kierownicą Rafał Marecki przeklinał wyjątkowo mroźną, przedłużającą się tego roku zimę. Naciągnął czapkę na uszy i zerknął na stojącego przy samochodzie Dzikiego.

Dziki miał rozpiętą kurtkę, gołą głowę i palił papierosa.

Ciszę w samochodzie wypełnił dyskretny dźwięk komórki. Marecki niechętnie zdjął rękawiczkę, by odczytać wiadomość tekstową. Nachylił się nad fotelem pasażera i uchylił drzwi.

– Wsiadaj, Dziki!

Dziki burknął coś pod nosem, przydepnął papierosa, po czym niespiesznie wsiadł do samochodu.

– Zamykaj, no, zamykaj – ponaglił go trzęsący się z zimna Marecki, za co kolega obdarzył go niepochlebnym spojrzeniem.

– Wyhoduj sobie trochę tłuszczu, to przestaniesz się wreszcie trząść jak glizda na lodzie – powiedział z zaczepnym uśmiechem.

– Za to ty mógłbyś trochę zrzucić!

– Nic nie będę zrzucał. Zdrowo jest mieć trochę tłuszczu. Reszta to mięśnie. Co ci tak śpieszno? Nawet fajki nie dopaliłem...

– Proca pisał, że strażnik przekazał Jankowskiej wiadomość. Pewnie zaraz będzie wychodziła.

Rzeczywiście, nie upłynęła minuta, kiedy z aresztu wyszła żona Jankowskiego. Wsiadła do zaparkowanego w pobliżu czarnego bmw i przyłożyła do ucha telefon.

Chwilę potem zadzwoniła komórka Mareckiego. Odebrał.

- Co jest, Proca? Widzimy Jankowską.
 - A my ją słyszymy. Rozmawia z dziewczyną Laczyka. Umawiają się na kawę w Klifie. Pojedźcie od razu na miejsce.
 - Przyjąłem – odparł Marecki i rozłączył się.
 - I co? – zapytał Dziki tonem tak spokojnym, jakby otaczający mróz zamroził jego zdolność okazywania emocji.
 - Jedziemy do Klifu. Rozgrzeję tam trochę swój odmrożony tyłek.
 - Odmrożony? Nawet nie wyszedłeś z samochodu, mięczaku!
 - Jest cholernie zimno!
 - I dlatego nazywamy ten czas zimą – odparł Dziki pedagogicznym tonem.
 - Nie pozwalaj sobie! Wystarczy, że ja tu marznę, a sierżant, siedząc w ciepełku, wydaje mi rozkazy.
 - Przyzwyczajaj się – odparł Dziki z uśmiechem. – Znam się na ludziach i mówię ci, że Proca prześcignie nas obu. Będzie z chłopaka gliniarz...
- Marecki prychnął pod nosem i odpalił silnik.

W tygodniu, w środku dnia, w centrum handlowym Klif nie było dużo ludzi. W kawiarni również stało wiele pustych stolików. Marecki zamówił dwie herbaty z cytryną, choć rozważał, czy Dziki nie wolałby lodów, i po chwili przyniósł parujące szklanki. Pięć minut później w kawiarni pojawiła się żona Jankowskiego. Zamówiła kawę i usiadła kilka stolików dalej. Nie zdążyła upić łyka, gdy dosiadła się do niej wysoka, dość młoda blondynka w miniówce i czarnych kozakach na wysokim obcasie.

Kobiety wyściskały się i wycalowały sobie policzki, po czym przeszły do ploteczek. Funkcjonariusze nie byli w stanie słyszeć szczegółów ich rozmowy, ale wyraźnie dostrzegali zatroskanie na twarzach obu pań oraz moment, gdy jedna przekazała drugiej złożoną parokrotnie kartkę.

Blondynka rozłożyła ją na kolanach i odczytała wiadomość. Przytaknęła, po czym schowała ją do torebki. Złapała przynętę. Nie zdawała sobie sprawy, że każde jej kolejne posunięcie będzie monitorowane przez funkcjonariuszy i przybliży ich do poszukiwanego Marcina Laczyka.

18

„To, że facet milczy, wcale nie oznacza,
że nie ma nic do powiedzenia”

WTOREK

Nieświadoma zagrożenia dziewczyna Laczyka pozostawała pod stałą obserwacją policji. W nocy Dzikiego z Mareckim zmienili Proca z Adasiem. Ci z kolei zostali zmienieni przez wtajemniczonych w działania operacyjne zaufanych funkcjonariuszy. Śledzono każdy krok kobiety.

Berg i Dukowski wrócili spod obserwowanego bloku na komendę wcześniej rano. Zasiedli przy swoich biurkach, by przerobić pobieżne notatki na raporty. Byli zmęczeni i zmarznięci. Niespodziewana nocka rozstroiła ich system nerwowy i zaburzyła poczucie łaknienia. Chcieli tylko załatwić swoje, skończyć dyżur i utonąć w ciepłych łóżkach. Nie planowali niczego i niczego nie oczekiwali.

Marecki spojrzał na nich współczująco. Zebrał z biurka kilka dokumentów i nim wyszedł, rzucił entuzjastycznie:

– Dzisiaj mamy wolny wieczór i noc. Jak się wyśpicie, wpadnijcie do mnie o dwudziestej.

Berg nie odpowiedział, za to na twarzy Adasia pojawił się uśmiech.

– Idziemy? – zapytał, odrywając się na chwilę od raportu.

– Jak chcesz, to idź. Ja tym razem spasuję.

Adaś odchylił się na obrotowym krześle, przekręcił się z lewej na prawą i z powrotem, po czym zachęcająco dodał:

– Powiem Mareckiemu, żeby zaprosił Ewę.

W końcu otrzymał spojrzenie od przyjaciela.

– To zmienia postać rzeczy.
– Powinienem się obrazić, wiesz? Ze mną byś nie poszedł, ale jak ona się pojawi, to co innego.

– Z tobą randkowałem przecież całą noc!

Adaś jęknął coś pod nosem i wrócił do spisywania raportu. Skończyli szybko, bo w nocy niewiele się działo pod blokiem dziewczyny Laczyka. Rozeszli się do swoich mieszkań, a wieczorem spotkali się ponownie u Rafała Mareckiego.

Gdy weszli, muzyka grała umiarkowanie głośno. Ludzie krzątali się między pokojami. Gości było sporo, a każdy z nich przypominał wolny elektron, podążający w sobie tylko znanym kierunku. Rozmawiali, pili, a jedyną siedzącą samotnie osobą był Dzik. Przysiadł na krześle w kącie pokoju, pił piwo z butelki i przeglądał jakiś magazyn o sprzęcie strzeleckim znaleziony na stosie makulatury w przedpokoju. Berg przypatrywał się roślemu policjantowi z pewnej odległości i po chwili rzucił do stojącego obok Adama:

– On zawsze taki był?

– Jaki?

– No... taki dziki. Małomówny.

– Raczej tak. Ja mówię dużo, on prawie wcale. Dobrze się dogadujemy.

Proca parsknął pod nosem.

– Myślisz, że przyjdzie? – zapytał, zerkając przez okno na ciemne podwórko.

– Ewa? Marecki mówił, że ją zaprosił, więc jak będzie chciała cię zobaczyć, to przyjdzie.

– A Wódz?

Adam zaprzeczył ruchem głowy.

– Proca, w końcu będziesz musiał mu powiedzieć, że lecisz na jego siostrę.

– Na razie nie trzeba. Nie wiadomo, czy coś z tego wyjdzie.

– Na weselu dała ci swój numer...

– Tak...

– Spotkałeś się z nią na kawie...

– No i...?

– Powinieneś już wiedzieć, czy w ogóle jest zainteresowana!

– Chyba jest, nie wiem. Może...

– Jak dzisiaj przyjdzie, zachowuj się normalnie i zrób jakiś krok naprzód! Twoja bierność wyśle jej zły sygnał. Pomijam już fakt, że wkurza to wszystkich wokoło.

– Jak to „wszystkich”?! Kim są „wszyscy”?

– No... ja, Marecki, Dzik, Krystek i pani Bronia...

– Pani Bronia?! Woźna na komendzie?! A co ona ma z tym wspólnego?!

– Proca, po prostu takie rzeczy szybko się rozchodzą. Miłość, dramat i zdrady to chwytliwe tematy. Jak się ludzie nudzą, to o czym mają rozmawiać?

Berg poruszył się podekscytowany, dostrzegając smukłą figurę przemykającą przez podwórko.

– Więc przyszła – rzucił Adam z lekkim podziwem. – Teraz twój ruch. Daj dziewczynie do zrozumienia, że ci się podoba i przestań zachowywać się jak wystraszony szczeniak.

Było już tłoczno i głośno, kiedy Ewa Wodzińska weszła do mieszkania. Miała płaszcz pokryty płatkami śniegu, które szybko zaczęły się topić. Marecki nawet nie usłyszał dzwonka, więc Proca otworzył jej drzwi. Pocałował ją w lodowaty policzek, powiesił jej płaszcz przy kaloryferze i podał butelkę piwa. Porozmawiali przez chwilę, po czym ona dostrzegła w tłumie dziewczynę Mareckiego i odeszła, żeby się przywitać. Potem już nie wróciła. Jej uwagę pochłonęły rozmowy z innymi ludźmi.

Po dwóch godzinach Bergowi zaszumiało w głowie, może wypił o jedno piwo za dużo albo odczuwał efekty zaburzonego ostatnio snu. Postanowił zwolnić ze spożywaniem alkoholu. Jeszcze powie czy zrobi coś głupiego albo przyśnie w kącie jak Dziki. Odnalazł wzrokiem Ewę. Śmiała się, zabawiana rozmową przez Mareckiego. Jednak przez krótką chwilę spojrzała na Procę i posłała mu uśmiech. A może tylko mu się wydawało...

Adam miał rację! Od kilku tygodni wszystkie myśli Berga zbiegały się do tej jednej, jedynej. Do myśli o Ewie. Nosiło go, gdy była daleko, a kiedy znajdowała się na wyciągnięcie ręki, ogarniał go dziwny paraliż. Wyszedł na balkon, żeby ochłonić i zapalić. Zaraz za nim pojawił się również Dziki, który chyba potrzebował orzeźwienia. Puścił z ust chmurkę dymu i basowym głosem zaczął:

– Znałem kiedyś dziewczynę. Była śliczna i młodziutka, jak ta twoja. Wpadłem po uszy, ale jak stawałem przed nią, to traciłem język w gębie...

– Mówisz? – rzucił Berg z półuśmiechem.

– Wiesz, Proca, to że facet milczy, wcale nie oznacza, że nie ma nic do powiedzenia. Po prostu może nie wie, jak to powiedzieć. Boimy się, że wyaplamy za dużo, a w oczach kobiet, ile byśmy nie powiedzieli, to i tak zawsze będzie mało.

– Ona nie jest taka. Myślę, że rozumiemy się bez słów...

– Może i tak. A jednak ty jesteś tu, a ona tam. Jeżeli jest, jak mówisz, to znaczy, że pora na czyny, nie słowa.

Dalej palili już w milczeniu. Berg próbował nakręcić się na działanie, a Dziki trwał jak zawsze owładnięty swoją spokojną cichością.

Gdy wrócili do środka, przy stole w pokoju siedziało sześć osób, w tym Marecki z dziewczyną, Adaś oraz Ewa. Pośrodku stołu znajdowała się pusta butelka.

„Kto wpadł na tak durny, dziecinny pomysł?!” – pomyślał Proca i przysiadł obok na parapecie. Sceptycznie przyglądał się przebiegowi studenckiej gry, która jak sądził, pozostanie już tylko w jego wspomnieniach! Widocznie alkohol podziałał nie tylko na niego.

Butelka poszła w ruch. Zakręcił Marecki, wypadło na Adama.

– Prawda czy wyzwanie?! – krzyknęli chórem grający.

Gra wyraźnie przypadła wszystkim do gustu. Może właśnie dlatego, że byli już na nią za starzy.

– Wyzwanie! – odparł Adaś, na co wszyscy wydali z siebie dźwięk wyrażający podziw.

– Jesteś pewny?

– Tak, Marecki. Dawaj!

– Dobra. Rozbieraj się do slipów i zasuwasz pięć okrążeń po podwórku.

– Odbiło ci, stary?! Jest zero stopni na dworze!

– Zasuwasz, Dukowski! Pięć okrążeń.

Adaś wstał i mrucząc coś pod nosem, zaczął rozpinąć koszulę.

– Jesteś dziecinny, Marecki!

– Ja jestem dziecinny?! A kto zaproponował grę w butelkę?

– Myślałem, że będziemy się całować!

– Później pocałujesz mnie w dupę, a teraz zasuwasz na podwórko!

Wielu gości Mareckiego wyglądało przez okna, by widzieć, jak młodszy aspirant Adam Dukowski, ubrany wyłącznie w bieliznę, biega w kółko bez celu po zaśnieżonym podwórzu. Tym niecodziennym zjawiskiem zainteresowało się też paru sąsiadów.

– Co pan tam wyprawia?! Jest zero stopni! – krzyknął ktoś z trzeciego piętra.

– Zdrowie hartuję, sąsiedzie!

Mężczyzna wyraził jęknięciem swoją dezaprobatę, po czym schował się z powrotem do mieszkania.

Kiedy Adaś wrócił, ociekał roztopionym śniegiem. Trząsał się z zimna i próbował opanować dzwonienie zębami. Proca rzucił mu ręcznik oraz sceptyczne spojrzenie.

– Widzisz, ile ja dla ciebie cierpię? – wyszeptał Adam.

Przyjaciel zaśmiał się szczerze.

– Dla mnie?! Co bieganie po śniegu ma wspólnego ze mną?

Dukowski ubrał się pospiesznie, po czym ponownie zasiadł do stołu. Pociągnął

czerwonym nosem, a potem zakręcił butelką, która obracając się płynnie, w końcu zwolniła i wyraźnie wskazała na Ewę Wodzińską.

– Prawda czy wyzwanie?! – zapytał, świdrując dziewczynę spojrzeniem.

– Wyzwanie – odparła, patrząc na niego zadziornie.

Proca omal nie zakrztusił się piwem.

– No i masz! – rzucił Marecki. – Będzie miał swoje całowanie!

– Nie ja, tylko ona.

Ewa posłała mu niepewne spojrzenie, tracąc nieco pewności siebie.

– A tak! Masz pocałować Procę.

– Proca przecież nie gra – wtrącił Marecki.

– A zaśnieżone podwórko jest poza twoim mieszkaniem – odparł pośpiesznie Adaś.

Nim Ewa odpowiedziała cokolwiek, Berg zsunął się z parapetu, złapał dziewczynę za rękę i pociągnął ją w kierunku kuchni. Zrobił to spontanicznie, zagłuszając krzyżące w jego umyśle głosy, nakazujące wycofanie i ostrożność. „Teraz albo nigdy” – pomyślał, zmęczony czekaniem i swoją nieśmiałością.

– Z języczkiem! – krzyknął jeszcze Dukowski, kiedy wchodzili już do kuchni.

Tam, przy lodówce, kręcił się jeden ze znajomych policjantów. Wyglądało na to, że właśnie przyrządzał sobie kanapkę.

– Spadaj stąd, Mikulski – rzucił Berg do obojętnego na ich pojawienie się chłopaka.

– Chciałem coś zjeść.

– To zjedz w pokoju. Spadaj stąd – powtórzył sztabowy, a gdy chłopak wyszedł z pełnym talerzem, spojrzał w błękitne, roześmiane oczy Ewy.

– Co teraz? – zapytała, unosząc brwi. Cofnęła się nieco i usiadła na kuchennym kontuarze.

– Teraz mi powiesz, dlaczego ze mną nie rozmawiasz. Zrobiłem coś nie tak?

– Myślałam, że nie chcesz rozmawiać. Wydawałeś się raczej... milczący.

Podszedł bliżej, szukając w głowie odpowiednich słów. W tym momencie tylko jedno przychodziło mu do głowy.

– Wiesz, to, że facet nic nie mówi, wcale nie znaczy, że nie ma nic do powiedzenia.

– A masz mi coś do powiedzenia? – zapytała z błyskiem w oczach.

Berg uśmiechnął się szeroko, a jego spojrzenie powędrowało w górę, jakby na suficie wypisano wszystkie najwłaściwsze odpowiedzi.

– Mam ci do powiedzenia bardzo dużo – zapewnił i przysunął się tak, że poczuł delikatny zapach jej perfum. Ostrożnie złapał ją za rękę, po czym cicho zaczął: –

Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką spotkałem w życiu...

– Tak?

– Cały czas o tobie myślę. Chciałbym spędzać z tobą każdą chwilę... – Czuł, że prawi jej banały.

– Nie jesteś w tym dobry, prawda?

– Nie, w ogóle... – odpowiedział na ciężkim wydechu. Uśmiechnął się nerwowo i dodał: – Ale prawda jest taka, że rzadko brakuje mi słów, a przy tobie... po prostu nie poznaję samego siebie. I naprawdę ciągle o tobie myślę – rzucił już swobodnie.

– No, to jestem. Zamierzasz mnie pocałować, jak kazał ci kolega?

– Nie. Jeżeli mi pozwolisz, to cię pocałuję, bo cholernie bardzo tego chcę.

Ewa wyraźnie się zarumieniła, kiedy Berg dotknął dłonią jej policzka. Nie odwróciła głowy, nie spuściła wzroku. Czekala, a on przysunął się tak blisko, że poczuł bijące od niej ciepło. Musnął delikatnie jej wargi, a potem pewniej przywarł do jej ust. Wszystko wokół jakby znikło. Na bardzo krótką chwilę.

– Proca! – Ostre warknięcie sprawiło, że nastrój pękł jak delikatny kieliszek wina roztrzaskany o podłogę.

Berg oderwał się od gorących ust dziewczyny i wzrokiem podążył za głosem. W progu kuchni stał rozgniewany Tomasz Wodziński.

19

„Bądź mężczyzną”

Wódz oznajmił, że czeka na Berga na zewnątrz, po czym trzasnął za sobą drzwiami. Proca wiedział, że nie ma już odwrotu. Nadszedł czas na konfrontację z nadkomisarzem i mógł jedynie liczyć, że prawda sama się obroni, a kochający siostrę brat zrozumie, iż ze strony jego młodszego kolegi nie spotka jej żadna krzywda.

Berg zagryzł wargi, jeszcze raz spojrzął na dziewczynę i powiedział:

– Było warto.

Odpowiedziała uśmiechem, który szybko zgasł, kiedy sztabowy ruszył w kierunku drzwi.

Złapał wiszącą w przedpokoju kurtkę i ubierając się, ruszył na parter. Po drodze układał w głowie słowa z nadzieją, że w ogóle będzie miał okazję, by je wypowiedzieć.

Wodziński chodził nerwowo po podwórku. Nie miał chyba zamiaru ukrywać wzburzenia, a Proca podejrzewał, że szykuje się coś wymowniejszego od karcącej rozmowy.

– Nie wkurzaj się, Wodzu – zaczął ostrożnie.

– Czułem, że coś jest na rzeczy! Kurwa, tak czułem!

– Miałem ci powiedzieć, ale jakoś nie było okazji...

– Powiedzieć mi co?! Co to miało, kurwa, być!

– A na co wyglądało?

– Nie pyskuj mi, Proca!

– Posłuchaj mnie przez chwilę. To nie było jakieś puste całowanie na imprezie. Ewa jest dla mnie ważna...

– Nie idź tą drogą, dobrze ci radzę! Szanuję cię jako policjanta, ale tutaj, cholera, przegiąłeś. To jest moja siostra! – Wódz wrzasnął mu prosto w twarz, jednak Berg nie poruszył się ani o milimetr. Rozłożył bezradnie ręce.

– Zakochałem się w niej, no, co mam zrobić?

– Co, kurwa?!

– Zakochałem się w niej. Pół wydziału już o tym wie...

Wódz zaklął i bez ostrzeżenia uderzył go otwartymi dłońmi w klatkę piersiową. Sztabowy cofnął się dwa kroki, utrzymał jednak równowagę i uniósł do góry ręce w geście kapitulacji. Nie miał zamiaru oddawać Wodzińskiemu, choć jego cierpliwość też miała granice. Nie chcąc się do niej zbliżyć, kiedy nadkomisarz ponownie na niego natarł, Berg poderwał się do ucieczki. Z początku pomyślał, że szybki unik wystarczy, ale niespodziewanie spostrzegł, że przełożony nie miał zamiaru odpuścić i zwyczajnie zaczął sztabowego gonić.

Proca przeskoczył stojącą na podwórzu ławkę, jednak Wodziński podążył za nim. Potem przebiegli dwa okrążenia wokół samotnie zaparkowanego malucha, a gdy zdali sobie sprawę, że takie gonienie się nie ma najmniejszego sensu, stanęli po przeciwnych stronach samochodu.

– Bądź mężczyzną, Berg! – wrzasnął Wodziński, nawet nie zauważając, że z budynku wybiegła Ewa i kilku gości.

Dziewczyna podeszła do brata i mocno walnęła go w ramię.

– Nie pajacuj, Tomek! Chodźcie do środka, bo jest zimno!

– Nie skończyłem z nim jeszcze!

– Porozmawiajmy na spokojnie... – zaproponował Berg.

– Powiedziałeś za dużo, Proca! Masz się trzymać od niej z daleka!

Oburzenie rozpało Ewie policzki. Spojrzała gniewnie na brata.

– Tomasz!

– Nie wtrącaj się. Jesteś na to za młoda!

– Mam dwadzieścia dwa lata, człowieku!

– A on dwadzieścia sześć! Jest gliniarzem! Wariatem! Co zrobisz, jak zginie na służbie?!

– A co robi Hania, kiedy ty zginiesz?!

– To jest co innego! Ona jest moją żoną!

– Mam dosyć tej rozmowy! – warknęła Ewa.

Przeszła na drugą stronę samochodu, złapała Berga za rękę i pociągnęła go w kierunku drzwi, nie spuszczając uważnego oka ze swojego brata. Wiedziała, że jego nadopiekuńczość każe mu czasami przekraczać granice absurdu, i nie miała zamiaru dłużej tego tolerować.

Z kolei Proca nie chciał stawać między bratem a siostrą, szczególnie w momencie, kiedy obojgu puszczały nerwy. Uznał, że konfliktowanie się z Wódcem może jedynie zaognić sytuację, więc zatrzymał się, pocałował dłoń Ewy i wyszeptał, że do niej zadzwoni. Mimo że nie obszedł Wodzińskiego szerokim łukiem, zachował od niego bezpieczną odległość i spokojnym krokiem podążył w kierunku bramy.

Wódz odprowadził go spojrzeniem. Kochał siostrę i nie mógł pozwolić, by ktokolwiek łamał jej serce. Wokół nich kręciło się pełno młodych mężczyzn, którzy szukali przygód, lecz nie stałego związku. Marecki, choć był tuż po trzydziestce, zmieniał kobiety częściej, niż zmieniała się pora roku. Dziki, facet przed czterdziestką, miał na karku burzliwy rozwód. A Adam wiązał się wyłącznie z takimi, które nie wymagały od niego za wiele. Z nich wszystkich tylko Wódz zdecydował się na zobowiązujące „tak”, którego miał zamiar dotrzymać aż do śmierci.

Lata spędzone w policji nie pokazały mu zbyt wielu dobrych przykładów zdrowych związków małżeńskich. Nieprzerwanie słyszał historie o rozwodach, kryzysach i cichych dniach. Jednocześnie wielu kolegów pragnęło właśnie spokojnego azylu, do którego mogliby wracać po trudnym dniu. Ciepłych, otwartych ramion, gorącego obiadu i dzieciaków czekających na ich późny powrót. Były to pragnienia tak trudne do zrealizowania, że wielu uważało je za nierealne i po kilku nieudanych próbach całkiem rezygnowało z zamiaru zakładania rodziny, godząc się z przyszłością samotnego psa, ożenionego z własną pracą. Wódz oceniał Berga przez pryzmat tych wszystkich doświadczeń.

Otrzepał się ze śniegu oraz z gniewu, po czym podszedł do stojących w progu budynku Mareckiego i Adasia. Niemalże wciągnęli go do środka. Zarządzili, że potrzebuje kieliszka, dwóch, albo trzech. Zamierzali załagodzić sytuację. W końcu obaj ją sprowokowali.

20

„Marudzenie to strata czasu”

ŚRODA

W samochodzie było zimno, a Berga znowu męczyła migrena. Rozcierał skostniałe dłonie. Chuchnął na nie, a w powietrze wzbijała się gęsta para. Odrzucił na tylne siedzenie chłodny już termoфор i spojrzał z zazdrością na siedzącego obok Adasia, który wydawał się obojętny na temperaturę.

– Cholernie zimny dzień!

– Piękny zimowy dzień, Proca! Zobacz, jak wokoło biało! – odparł młodszy aspirant z przekornym uśmiechem. W jednym uchu miał słuchawkę. Kiedy nie mówił, kiwał głową i wybijał stopą rytm.

– Zawsze musisz być taki pozytywny?

– Marudzenie to strata czasu. Podobnie zresztą jak unikanie Wodza.

– Nie unikam go!

– Nie? A kto wymknął się do kibla, kiedy podjechał pod wydział? Zniknąłeś na całe dwadzieścia minut, więc albo dostałeś sraczki, albo chciałeś uniknąć spotkania po wczorajszym. Widziałem, jak wracałeś potem do pokoju. Najpierw zerknąłeś, czy teren czysty!

Berg milczał. Sięgnął po stojący między nimi termos. Nalał sobie nieco gorącej herbaty, lecz nim upił pierwszy łyk, Adaś wyciągnął rękę po kubek. Napił się z niego, po czym oddał koledze resztę i przyznał:

– Pogadaliśmy z nim wczoraj. Ja i Marecki...

– Tylko nie mów, że go przekonaliście do czegoś! Facet jest uparty jak osioł.

– I kto to mówi?! Trafiał swój na swego... Jesteście bardziej do siebie podobni, niż ci

się wydaje.

Berg wzruszył ramionami. Nie spuszczał oka z obserwowanego przez nich budynku, w którym mieszkała dziewczyna poszukiwanego Marcina Laczyka.

– Ani ja, ani Marecki nie będziemy za ciebie układać twojego życia, Proca, ale stało na tym, że Wódz wyluzuje.

W końcu Berg uraczył przyjaciela spojrzeniem.

– Powiedzieliśmy mu – ciągnął dalej Adaś – że żaden z ciebie casanova, raczej idealista...

– Idealista?

– Jak łąbędź, stary. Jak się zakochuje, to wiąże się z partnerem na całe życie.

– Porównałeś mnie do łąbędzia?

– Można tak powiedzieć.

– Uwierzył?

– Złagodniał. Tym bardziej wyluzował, kiedy Ewa powiedziała, że jeżeli nie da jej spokoju, to wyprowadzi się od rodziców i przestanie się do niego odzywać. Walczyła o ciebie jak lwica, więc głupio, że ty sam podkulasz ogon i unikasz rozmowy z jej bratem.

– Nie unikam rozmowy – wydusił sztabowy, patrząc przed siebie. – Po prostu nie wiem, jak zagadać.

– Powiedz mu... „Słuchaj, Wodzu, chcę przelecieć twoją siostrę”... – Otrzymał od Berga wcale nie lekkiego szturchańca. – „Chcę przelecieć twoją siostrę, ale nie martw się, bo potem się z nią ożenię i zrobimy dwoje dzieci”.

– Troje!

– Troje dzieci! – Adam zachichotał pod nosem, a kiedy się opanował, odetchnął głęboko i dodał: – Lubię ten twój prosty sposób myślenia, Proca. Tę dziecięcą naiwność.

– Jestem naiwny, bo wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia i że można kochać aż do śmierci?

– Jesteś naiwny, bo wierzysz, że człowiek może panować nad swoim losem.

Berg spoważniał.

– Nigdy tak nie twierdziłem, stary. Życie już nieraz kopnęło mnie w dupę. Wiem, że trafiamy czasami na ostre zakręty... Ale to, czy na nich wyrobimy, zależy między innymi od nas samych, nie?

– Między innymi...

Ostry ból przeszył głowę sierżanta sztabowego i zmusił go do mocnego zaciśnięcia powiek. Proca nie miał już siły, by z nim walczyć, więc nachylił się do schowka

samochodowego.

– Podać ci coś? – zapytał Adaś.

– Gdzieś tam mam proszki przeciwbólowe.

– Co ty z tymi prochami, Proca? Znowu głowa?

– Ta cholerna migrena. Nie jest dzisiaj tak źle, jak ostatnio, ale wolałbym skupić się na robocie, a nie na bólu.

Adaś podał mu listek tabletek. Chwilę przyglądał się pobliskiemu budynkowi w zamyśleniu i w końcu zdecydował się na kontrowersyjną poradę.

– Mam kuzyna, którego okropnie męczyły migreny. Lekarze badali go na wszelkie sposoby i nie mogli mu pomóc. Żarł tabletki, a w końcu rzuciło mu się to na żołądek. Wiesz, jak bolą wrzody?

– Widziałem raz czy dwa.

– Biedak czasami wił się z bólu. Potem rypało go i w głowie, i w żołądku.

– Ta historia ma jakiś happy end?

– Chyba tak. Pomogło mu zioło.

– Które?

– Zioło, Proca – powtórzył Adaś przyciszonym głosem, jakby się bał, że ktoś niepożądany może usłyszeć ich rozmowę.

Berg spojrzał na niego niepewnie. Naprawdę policjant polecił mu nielegalny w kraju specyfik na uciążliwe bóle głowy? Odetchnął głęboko i zaczął zastanawiać się nad słowami przyjaciela, który po chwili dodał:

– Wiesz, te białoruskie proszki od Mareckiego też nie są do końca legalne...

Wtedy uwagę Berga przykuły otwierające się drzwi budynku. Ze środka wyszła kobieta, ponętna blondynka o wydatnych kształtach i bujnej fryzurze.

– To ona, Magdalena, dziewczyna Laczyka – powiedział Proca i odpalił silnik samochodu.

Adam wyciągnął z ucha słuchawkę.

Gdy kobieta wsiadła do stojącej przed blokiem taksówki, Berg ruszył za nimi, zachowując bezpieczną odległość. Przejechali przez miasto, potem przez kilka wsi, aż dotarli do Lesznowoli. Coraz trudniej było im pozostać niezauważonymi, bo ruch pod Warszawą był znikomy, a ulice wąskie. Kiedy taksówka skręciła w utwardzoną boczną dróżkę, sierżant sztabowy zdecydował nie kontynuować śledzenia.

– Nie jedziemy dalej? – zapytał Adam, patrząc na przyjaciela badawczo.

– Za duże ryzyko. Taką drogą jeżdżą mieszkańcy, ewentualnie węsząca policja. Jeśli Magda wyczuje, że za nią jedziemy, powie o tym Laczykowi, a ten znowu ucieknie.

– Ta droga raczej nie prowadzi daleko. Jeżeli Laczyk wynajął przy niej dom, nie

będziemy mieli zbyt wielu budynków do typowania.

– Poczekamy, aż taksówka wyjedzie, zanotuj godzinę. Później się przejedziemy, żeby obejrzyć ulicę.

Adam zaczął notować informacje. Również Berg zapisał sobie kilka uwag. Wąska droga, zabudowa domków jednorodzinnych po prawej stronie. Las po lewej. Brak latarni.

Po krótkiej chwili taksówka wyjechała. W środku nie było już pasażerki.

– Ten dom nie może być daleko – skomentował Adam i ponownie zanotował godzinę.

Nie ruszyli od razu. Postanowili odczekać kilka minut, a decyzja ta okazała się trafna. Nie upłynęła minuta, gdy z drogi wyjechał kolejny samochód. Biały golf. W fotelu pasażera siedziała Magdalena, a za kierownicą poszukiwany Marcin Laczyk.

21

„Prawie nie mam wątpliwości”

– Widziałeś?! – rzucił podekscytowany Adaś.

Berg odpalił silnik.

– Dzwonź do Wodza. Zapytaj, czy mamy go zatrzymać – odparł.

– Dystans, Proca! Nie daj się zauważyć!

– Uspokój się, stary! Wiem, co robię...

Berg rzeczywiście jechał powoli, utrzymując spory dystans od śledzonego golfa. Siedział spokojnie, choć poczuł adrenalinę. Chłód przestał mu przeszkadzać, a w głowie pojawiła się myśl o tym, jak niewiarygodnie mało dzieliło go teraz od poszukiwanego.

Inaczej niż Proca, Adaś okazywał podekscytowanie każdym swoim gestem i słowem. Kręcił się w fotelu pasażera, jakby miał za chwilę wyskoczyć z samochodu, mówił szybko, dość podniesionym głosem.

– Wodzu! Wodzu, śledziliśmy dziewczynę Laczyka i teraz jadą razem w samochodzie przed nami! Zatrzymujemy?... Tak! Jesteśmy pewni, że to on. Zapuścił węża, ale to on! Jadą jego białym golfem.

Adam zamilkł na moment, co wywołało u Berga lekkie zniecierpliwienie. Zerknął na przyjaciela wyczekująco.

– I co?!

– Kazał czekać. Konsultuje się z górą – odparł młodszy aspirant, a po krótkiej chwili wrócił do rozmowy z dowódcą. Miał nietęgą minę, a kiedy się rozłączył,

wyjaśnił: – Powiedział, żeby ich nie zatrzymywać.

Berg uderzył kierownicę dłonią, a Dukowski kontynuował:

– Podejrzewają, że Laczyk nie ukrywa się sam. Drugim może być Walicki. Wolą zatrzymać obu jednocześnie. Poza tym nie chcą, żeby się powtórzyła tragedia z Tyszką i Szuwarem. Jak wytypujemy dom, zorganizujemy obserwację i zaplanujemy szturm. Zawracaj. Wódz kazał zachować szczególną ostrożność. Laczyk musi czuć się bezpiecznie, dopóki nie uderzymy.

Berg westchnął głęboko. Był rozczarowany decyzją przełożonego, ale znał swoje miejsce w szeregu. Skręcił w najbliższą ulicę, a następnie zawrócił.

Wjechał na obserwowaną wcześniej drogę. Mijali rząd pięknie urządzonych posiadłości. Zadbane ogrody, ładne domki oraz wille. Adaś lustrował każdy z nich po kolei, a gdy dotarli do rozwidlenia, zrozumieli, że stał przed nimi dom, którego szukali. Nie zatrzymując się, przejechali wolno, choć nie podejrzanie wolno – na tyle, by móc rzucić uważniejszym okiem na kilka szczegółów.

Niewielki, biały, piętrowy budynek otaczała dwumetrowa siatka. Do ściany frontowej przyklejony był garaż z szerokimi jednopłatowymi drzwiami. Działka, na której stał dom, miała około półtora hektara i niewiele się na niej znajdowało. Porastały ją drzewa oraz krzaki. Całość odstawała od posiadłości, jakie widzieli do tej pory. Dwa bulteriery wężące przy siatce czujnie spojrzały na przejeżdżający samochód.

– Obstawiam, że to ten, a ty? – zapytał młodszy aspirant.

– Prawie nie mam wątpliwości. Kraty w oknach na parterze, zaniedbany ogród. To nie jest urocze gniazdko szczęśliwej rodzinie.

– Raczej awaryjna nora. Strategicznie położona. Nie będzie łatwo tu podejść bez alarmowania okolicznych psów.

Skręcili w prawo, objeżdżając dom od drugiej strony. Nie mogli przyjrzeć się ścianie budynku dokładnie, bo widok z tej strony przysłaniały im krzaki i drzewa. Mieli jednak o czym opowiadać w siedzibie jednostki. Dowództwo szybko podjęło decyzję o zleceniu stałej obserwacji działki.

MARZEC

22

„Jak gram, to daję ludziom radość!”

Ktoś zapukał trzy razy. Młodszy aspirant Adam Dukowski, ociągając się nieco, otworzył drzwi swojego mieszkania. Miał w uszach słuchawki. Nie przywitał się, tylko spojrzał przelotnie na stojącego w progu sztabowego Berga, po czym wrócił w głąb mieszkania.

– Ciebie też miło widzieć – powiedział Proca i wprosił się do środka.

Adaś miał zawsze wiele do powiedzenia. Był gadułą z gatunku tych, którzy plotą, zanim pomyślą, więc zadając pytanie, uświadamiają sobie, że znają już odpowiedź, a mówiąc o swoich problemach, łapią się na myśli, że powiedzieli o wiele za dużo. Zamykał się tylko, kiedy brał do ręki gitarę. Nikomu z najbliższych współpracowników nie przeszkadzało jego gadulstwo ani wysypywane z rękawa ciągi pytań. Dla wszystkich najważniejszym było to, że mogli na nim polegać w trudnych sytuacjach. Młodszy aspirant mógłby zagadać człowieka na śmierć, ale gdyby faktycznie groziło komuś niebezpieczeństwo, osłoniłby ofiarę własną pierśią.

Nieprzerwanie nucił coś pod nosem. Był bardzo skupiony. Usiadł na brzegu kanapy, chwycił gitarę, zagrał kilka dźwięków, po czym poprawił zapiski w zeszycie. Dopiero gdy to zrobił, wyciągnął z uszu słuchawki, spojrzał na przyjaciela i odezwał się:

- Cześć! Skąd taka późna wizyta?
- Wracam z kina.

- Z Ewą? Jak było?
- Miło – odparł Berg z uśmiechem. – Powiedziałbym nawet, że bardzo miło, ale byłoby lepiej, gdyby nie zabrała ze sobą siostry... Wiesz, następnym razem może pójdziesz z nami, co? Odwrócisz uwagę Klary, a my będziemy mieli trochę więcej swobody?
- Nie, dziękuję! Miałem okazję poznać jej siostrę. To nie jest typ dziewczyny, który mnie kręci. I jej też raczej nie kręcą mundurowi.
- Raczej nie – przyznał Berg.
- Ona tak patrzy na ludzi... jak kot! Nie wiesz, czy chce wydrapać ci oczy, czy tylko cię obserwuje. Byłem kiedyś z laską, która miała dwa koty. Czasami człowiek nie mógł przejść swobodnie z pokoju do pokoju, bo siedziały przyczajone i się gapiły na ciebie właśnie tak jak ona. Czułem się jak intruz we własnym mieszkaniu! Będziesz miał pod górkę, stary. Jak zdobyłeś mur o nazwie: „brat”, to przyszedł czas na przeszkodę „siostra”, a nie poznałeś nawet rodziców!
- Nawet mi nie mów. Ewa zaprosiła mnie na jutro na rodzinną kolację.
- Rodzinną? Taką z Wodzem, Klarą i rodzicami?
- Pełny pakiet. Pięcioro Wodzińskich pod jednym dachem. Sześcioro... bo żona Wodza też przychodzi.
- Krzyż na drogę, Proca! Zadzwoń, jak będzie już po wszystkim.
- Berg otarł twarz dłońmi, po czym wyciągnął z plecaka butelkę whisky.
- O! To rozumiem! A jaka jest okazja? – zapytał Adaś, wychodząc do kuchni, by przynieść jakieś szkło.
- Okazja jest ogólna. Żyjemy. Namierzyliśmy kryjówkę Laczyka. Nasi leżą w śniegu, obserwując dom. Dowództwo planuje akcję. Pewnie będzie jeszcze w tym tygodniu.
- Już w tym?
- To źle?
- A dobrze? – zapytał Adaś, po czym odpowiedział sam sobie: – Chyba dobrze, bo ile można?! Wreszcie się to wszystko skończy. Jeszcze nie mieliśmy sprawy, która ciągnęłaby się tak długo. Wódz to już chyba ma dosyć tych z góry. Cały czas spotkania i sprawozdania, jak się sprawy mają. Co nowego? Kogo macie? Ilu macie? Na kiedy? I dlaczego tak długo? No i w końcu ty będziesz miał okazję dorwać Laczyka, Proca! Zwiął ci ostatnio...
- Drugi raz nie powtórzę błędu. Będę szybszy – zapewnił i wypełnił szklanki bursztynowym płynem.
- Wypili. Adam odchrząknął i po chwili refleksyjnego milczenia złapał za gitarę

i przyznał:

- Już od jakiegoś czasu myślę, żeby odejść.
 - Co?! Ze służby? Dlaczego?
 - Mam ci wymieniać powody? To zacznę może od tego, że po zaledwie kilku latach pracy mam już spory uszczerbek na zdrowiu! Tracę słuch, Proca! Ja! Przez te nieustanne hałasy, wystrzały, granaty, krzyki... Jak ogłuchnę, to jak będę grał? To znaczy, grać mogę, ale nie będę miał z tego żadnej przyjemności! Ogólnie widzę za mało plusów w stosunku do możliwych minusów. Może po tej sprawie z gangiem...
 - I co będziesz robił, jak odejdziesz? - zapytał Berg dość obojętnym tonem.
 - Chciałbym się załapać do jakiegoś porządnego zespołu - odparł Adam.
 - Czyli odejdziesz z policji i dodatkowo z naszego zespołu. Świetnie! - rzucił Proca pół żartem, pół serio. Nie wiedział jeszcze, jak rozumieć wyznanie przyjaciela. Nie sądził, żeby Adaś mówił poważnie, jednak ten popatrzył mu szczerze w oczy.
 - Myślę, że jeżeli Bóg daje jakiś talent, to szkoda go marnować. Nasz zespół jest spoko, ale żaden z was nie myśli o takiej karierze na serio...
 - Talent to nie wszystko, Adaś. Jaki jest pożytek z bycia artystą? Policja to co innego. Pomagasz ludziom...
 - Proca, proszę cię! Ty tak na serio? Jak gram, to daję ludziom radość! Uśmiechają się, jak wyciągam gitarę. A widziałeś kiedyś, żeby ktoś uśmiechał się na widok munduru?
 - Dzieciaki. Czasami.
 - Teraz dzieciakom mówi się: „bądź grzeczny, bo zabierze cię policja”. Słyszałem to już parę razy. Serce pęka.
- Berg wymusił uśmiech, a Adaś ciągnął dalej:
- Wstąpiłem do tej roboty, bo potrzebowałem kasy, miałem predyspozycje i poznałem fajną laskę, która leciała na mundurowych. Po tych kilku latach doszedłem do wniosku, że pieniądze nie są najważniejsze, predyspozycje mam coraz mniejsze, bo tracę zdrowie, a tamta dziewczyna już mnie nie kręci.
 - Znając ciebie, to przemyślisz to jeszcze. Dużo gadasz, ale wolno podejmujesz decyzje.
 - A może to ty podejmujesz decyzje zbyt szybko? Zresztą, już zrobiłem pierwsze kroki...
- Proca spojrział na przyjaciela badawczo. Dukowski nie miał sekretów, a już na pewno nie przed nim.
- Jakie kroki?
 - Byłem na przesłuchaniu. Jest taki zespół Rockersi. Szukają drugiego gitarzysty.

- „Rockersi”?!
- To bardzo dobra kapela! Grają rocka...
- Domyśliłem się...
- Robią jako support bardziej znanym zespołom, a za kilka dni mają pierwszy biletowany koncert! To już coś!
- Zostawiasz nas dla „Rockersów”? – zapytał ponownie Proca, akcentując nazwę zespołu.

Adaś popatrzył na niego z przejęciem.

- Wkurzasz się na mnie? Myślałem, że kto jak kto, ale ty mnie zrozumiesz... Nasza grupa nie ma nawet nazwy! – powiedział poważnie.

Berg zaczął się śmiać i polał im do szklanek.

- Jeśli ty się cieszysz, to ja też! Wiesz co? Nawet kupię bilet na ten koncert!
- Załatwię ci wejściówki! Dla ciebie i Ewy! Tylko dla was! Będziecie musieli przyjść sami! Bez Klary!
- Spokojnie. Chcę kupić te bilety, panie artysto. W tym miesiącu, tak? Którego dokładnie?

– Piątego. Piątego marca...

– Tylko mam nadzieję, że nie będziesz grał wolniej niż reszta zespołu.

Adam spojrział na Berga spod ściągniętych brwi i odparł:

- Założę się, że ich wokalista trzyma tempo jak należy.
- Sam powiedziałeś, że słuch ci leci! W końcu mamy przyczynę całego zamieszania!

– Kto przyszedł?! – rozległo się wołanie, dobiegające z sypialni.

– To tylko Proca – odparł Adaś.

– Cześć, Proca!

– Cześć, Marta! To jeszcze Marta, tak? – dopytał przyjaciela ściszonego głosem.

– Tak, Marta...

– Nie mówiłeś, że masz w mieszkaniu dziewczynę!

– Zapomniałem, że tu jest.

Proca złapał się za głowę.

– Mieszka z tobą?

– Czasami nocuje.

Sierżant sztabowy dopił alkohol ze swojej szklanki i zaczął zakładać kurtkę.

- Weź z powrotem tę butelkę – powiedział Adaś, głaszcząc struny gitary. – Dopijemy ją innym razem u ciebie. Oblejemy może zamknięcie sprawy.

– Jak chcesz – odparł Berg i spakował butelkę do plecaka. – A ty wracaj lepiej do

łóżka, do Marty. Jak nie będziesz jej zauważał, to zauważysz dopiero, że zniknęła.
Adaś przytaknął bez słowa i odprowadził przyjaciela do drzwi.

23

„Ty to masz szczęście pakować się w kłopoty”

Z nieba padał śnieg. Zimne, ostre powietrze uderzyło sztabowego Berga w twarz, gdy tylko wyszedł z budynku. Od razu zwrócił uwagę na dwóch mężczyzn stojących przy pobliskim samochodzie. Grzebali przy zamku, zachowywali się podejrzanie. Przeszedł obok nich, niby obojętnie, lecz po kilku krokach zawrócił na pięcie. Przecież na służbie jest się zawsze, a odwrócenie wzroku wydawało mu się równie złe jak współludział w przestępstwie.

– To panów samochód? Klucze się zgubiły? – zagadnął niewinnie.

– Nie wtrącaj się, koleś. Idź swoją drogą – burknął krępy mężczyzna w przymałej czapce i kontynuowali forsowanie zamka.

– Czy mogę zobaczyć panów dokumenty? Dowód rejestracyjny pojazdu?

– Powiedział, żebyś spierdalał, nie?! – rzucił groźnie drugi typ w skórzanej kurtce i ciężkich, czarnych traperach.

Jeżeli Berg miał możliwość wycofać się z tej mogącej przybrać niekorzystny dla niego obrót sytuacji, to powinien zrobić to właśnie w tym momencie. Nie był jednak typem człowieka, któremu poddawanie się przychodzi z łatwością. Wyznawał raczej zasadę, wedle której należy powiedzieć „B”, gdy powiedziało się „A”.

– Dobra, panowie – rzucił w końcu stanowczym tonem i wyciągnął z kieszeni legitymację służbową. – Policja, proszę odsunąć się od samochodu.

Gdy zrobił krok w ich kierunku, facet w mycce podniósł się gwałtownie i zamachnął na niego kijem bejsbolowym, którego Berg wcześniej nie dostrzegł.

Uchylił się od pierwszego ciosu, który ostatecznie spadł na tylne drzwi samochodu. Włączył się alarm. Drugie zamachnięcie kijem policjant przyjął już na bark. Poślizgnął się na oblodzonym chodniku i wyładował na kolanach. Otrzymał kopnięcie traperem w brzuch, a to odebrało mu dech. Masywne buty przez krótką chwilę krążyły obok jego głowy, gdy próbował przezwyciężyć bezsilność poturbowanego ciała.

– Mówilem, żebyś się nie wpierdalał?! Trzeba było zgrywać szeryfa? – burknął oprawca.

Berg widział jedynie te jego masywne buty przed swoją twarzą. Nieadekwatnie ocenił sytuację, powinien przewidzieć, że dwóch na jednego to raczej słaby układ. Przeklął w myślach swoją głupotę i już spodziewał się otrzymać kolejne kopnięcie, kiedy czarne buciory nagle gdzieś zniknęły. Ich właściciel został powalony na ziemię przez młodszego aspiranta Dukowskiego.

Kiedy Adaś obezwładniał jednego złodzieja, Berg poderwał się z ziemi i natarł na mężczyznę w mycce. Wyrwał mu kij, lecz facet nie garnął się do dalszej, bardziej wyrównanej konfrontacji. Pognął ulicą, która była mniej oblodzona od chodnika, a zaraz za nim ruszył jego towarzysz. Osiedle nadal rozbrzmiewało głośnym wyciem alarmu.

Proca wsparł się dłońmi na kolanach. Nie miał siły ani motywacji, by podejmować pościg.

– Ty to masz szczęście pakować się w kłopoty – wysapał Adaś, kiedy wyłączył się alarm w uszkodzonym samochodzie.

Berg chciał coś odpowiedzieć, ale z okna jednego z mieszkań rozległo się wołanie:

– A co wy grzebiecie przy moim samochodzie! Złodzieje jedne!

– Złodzieje to już uciekli! – odkrzyknął Berg, rozmasowując obolałe ramię.

– Policję zawołam!

– Policja już tu jest! – odparł Adaś. – Ale niech pan do ubezpieczeń zadzwoni, bo panu blachę wgnietli!

Właściciel samochodu wykrzyczał wiązkę wulgaryzmów.

– Pewnie nieubezpieczony – ocenił sztabowy, bo mężczyzna zakończył swój ostry poemat stwierdzeniem, że ma to wszystko w dupie. Nie był zainteresowany zgłaszaniem próby kradzieży.

Na pierwszym piętrze, gdzie mieszkał Adam Dukowski, otworzyło się okno. Wyrzała z niego młoda kobieta z rozczochranymi włosami.

– Adam! Co ty wyprawiasz w środku nocy?! Wracaj natychmiast, bo się przeziębisz!

– Dobra... – odparł i machnął ręką na jej uwagi. – W robocie rozkazy, w domu rozkazy... Na co mi to?

– Niektórzy potrzebują w życiu drogowskazu.

– Że niby ja takiego potrzebuję? Wiesz, czego potrzebuję? Swobody. Luźnego związku. Gitary... Dasz radę dojść do domu, Proca? Wszystko gra? Porządnie ci przywalił tym kijem, co?

– Tak, jest w porządku – odparł Berg. Oddalał się powoli, zabierając kij ze sobą. – Dzięki, że pomogłeś.

– Raz ja tobie, raz ty mnie... – powiedział Adaś z uśmiechem. – Zaczynaj lepiej spłacać te długi, stary, bo do końca życia się nie wypłacisz!

Sztabowy obrócił się do przyjaciela i paradnym gestem zasalutował mu z daleka. Pomyślał, że rzeczywiście z nich dwóch to właśnie on częściej pakował się w kłopoty. I chociaż ostatecznie wychodził cało z opresji, najczęstszą tego przyczyną była pomoc przyjaciół. Może więc to nie siła, odwaga czy spryt stanowiły jego mocną stronę, ale otaczający go dobrzy ludzie? Nie był jeszcze w stanie wyobrazić sobie pracy w policji bez Adasia. W głębi serca liczył chyba na to, że przyjaciel przemyśli sprawę i jednak zostanie na służbie. Gdyby jednak miało być inaczej, najwyższa pora zacząć spłacać te wytknięte mu długi.

24

„Dla mnie najważniejszym jest chronić tych,
których kocham”

NIEDZIELA

„Wszystko będzie dobrze” – powtarzał sobie, parkując pod domem Wodzińskich. „To tylko kolacja. Bądź sobą”. Zanim wysiadł z samochodu, odetchnął kilka razy, jakby każdy wdech miał mu zapewnić nieco więcej pewności siebie.

Dom był niewielki, otoczony siatką, wzdłuż której wznosił się imponujący rząd jałowców, osłaniających posiadłość od wścibskich spojrzeń przechodniów.

Ktoś otworzył furtkę bez pytania, kto tam. Proca wiedział, że jest gościem spodziewanym, liczył się jednak z tym, że nie wszyscy oczekiwali go z taką radością jak Ewa. Nim nacisnął dzwonek u drzwi, te otworzyły się, a w progu stanął nadkomisarz Tomasz Wodziński z marsową miną.

– Cześć, Wodzu – powiedział Berg, wymuszając uśmiech.

Nie rozmawiali swobodnie o prywatnych sprawach od incydentu u Mareckiego. Ich kontakt ograniczał się ostatnio do koniecznej wymiany informacji dotyczących pracy.

– Żeby była jasność – odparł Tomasz, odbierając od Berga kurtkę – jesteś tu tylko dlatego, że siostra postawiła mi ultimatum.

– Punkt dla niej – stwierdził Proca z zadowoleniem.

Do przedpokoju weszła uśmiechnięta od ucha do ucha starsza wersja Ewy. Była to jej mama – Maria Wodzińska. Podała mu rękę, przedstawiła się, a wszystko, co wypowiadała, brzmiało jak przekaz wyjątkowej ludzkiej życzliwości. Wdzięczny za to powitanie, Berg wręczył gospodyni opakowaną w papier roślinę doniczkową.

– Pomyślałem, że cięte kwiaty będą trochę oklepane, więc kupiłem coś trwalszego.
– Świetnie. Już zapuszczasz u nas korzenie – skomentował Wódz, mamrocząc pod nosem.

– Tomku! – zgałiła go matka. – W pracy mozesz być uszczypliwy, ale w naszym domu obowiązują pewne zasady.

W jadalni starsza wersja Tomasza kończyła właśnie rozstawiać talerze. Waldemar Wodziński był postawnym mężczyzną około sześćdziesiątki. Miał siwą brodę, a wokół jego oczu rozchodziły się równe niczym naszkicowane zmarszczki. Mocno uściskał dłoń, jak przystało na pewnego siebie, doświadczonego przez życie mężczyznę. Otrzymał od gościa butelkę whisky, co wywołało na jego twarzy jeszcze większy uśmiech.

– Tomek dużo o tobie opowiadał – przyznał pan Waldemar, zapraszając Berga do stołu. – Mówił, że jesteś jego najlepszym policjantem.

– Tata coś źle zrozumiał – zaprotestował Tomasz. – Mówiłem, że Proca to najlepszy strzelec w policji. Taki jest fakt.

– Taki celny?

– Celny i szybki – odparł Wódz. – W innych sprawach bywa tak samo szybki, ale już niekoniecznie celny... – dodał po chwili.

– Jak człowiek jest już czegoś pewien – podchwycił Berg – to szkoda czasu na zastanawianie. Przy dylemacie jest tak, że się wie w pierwszych kilku sekundach, jaką decyzję się podejmie, a zwlekanie i wahanie wynika często ze strachu.

– Albo z rozsądku... – mruknął posepnie Wódz.

Jego dość nietypowe zachowanie sprawiło, że Proca poczuł się jak intruz. Zrozumiał, że w oczach przełożonego był elementem całkiem innego świata – świata pracy: policji i przestępców. Prywatne życie Wodzińskich pozostawało sferą zakazaną, którą ważył się naruszyć.

– O, idą dziewczyny – zakończył słowną przepychankę pan Waldemar.

Proca poderwał się z krzesła.

Pierwsza do pokoju weszła Hania, nowo poślubiona żona Wodza. Przywitała Berga mocnym uściskiem i całusem w policzek. Była mu przychylna i bardzo wdzięczna, że wraz z zespołem zadbał, by goście dobrze bawili się na jej weselu. Drugą kobietą była Klara, starsza siostra Ewy. Była ładna, ale surowość jej charakteru, częste niezadowolenie i wyraźny dystans względem drugiego człowieka odejmowały jej sporo uroku. Kurtuazyjnie ucałowała gościa trzy razy, lecz w tym geście nie było cienia życzliwości.

Ostatnia weszła Ewa. Najpiękniejsza i najśłodsza. Przytuliła go niby subtelnie, ale

w jakiś sposób szczególnie. Na ułamek sekundy spojrzała mu głęboko w oczy. Jej spojrzenie promieniało radością, jak cała jej twarz oraz postać. Zrobiło mu się gorąco.

– Siadajcie, proszę – zachęciła pani Maria i z powrotem wyszła do kuchni, mówiąc:
– Wszystko jest już gotowe, zaraz przyniosę kolację.

Starsza córka wyszła za mamą, żeby pomóc w kuchennej krzątaninie. Po chwili wróciły z naręczem potraw.

Berg rozglądał się dyskretnie po mieszkaniu. Policyjnym nawykiem dostrzegał szczegóły, które zwykłym ludziom może niewiele mówiłyby o mieszkańcach. Jemu podsuwały listę cech, przekonań i doświadczeń domowników. Popatrzył na wiszące na ścianach fotografie. Przesunął spojrzeniem po grzbietach książek na regale. Jego uwagę przykuły liczne ikony oraz krzyże zdobiące nie tylko to pomieszczenie. Nie były to tandetne pamiątki z pielgrzymek, jakie czasami można spotkać w mieszkaniach starszych ludzi, ale gustowne, mniejsze i większe dzieła sztuki.

Kiedy kończyli kolację, mając już za sobą godzinę rozmów o zawodowym doświadczeniu i edukacji Alana Berga, pan Waldemar upił łyk wina i zapytał:

– Powiedz mi, Alan, jak widzisz swoją przyszłość? Teraz masz jaki stopień służbowy?

– Sierżant sztabowy.

– Zaczyna się... – burknął pod nosem Tomasz.

Berg spojrzał na niego przelotnie. Nie miał pojęcia, co takiego się zaczyna, więc wyteżył uwagę i zmarszczył czoło.

Pan Waldemar odstawił kieliszek z winem na stół, złożył przed sobą ręce jak do modlitwy i zaczął:

– W waszym zawodzie ścieżka kariery wydaje się dość jasno określona. Można tylko piąć się w górę albo tkwić w miejscu pod dyktandem innych przez całe życie.

– Szczerze przyznam, że się za wiele nad tym nie zastanawiałem – odparł zgodnie z prawdą Berg.

Nie dostrzegając na twarzy rozmówcy żadnej zmiany, żadnego zadowolenia z usłyszonej odpowiedzi ani oznak zawodu.

Waldemar ciągnął poważnym tonem:

– Do czegoś zawsze trzeba dążyć.

– Nie wiem jeszcze dokładnie, do czego dążę, ale na pewno nie brakuje mi ambicji. Wykonywanie poleceń to konieczność w mojej sytuacji, jednak nie jest to miejsce, w którym chciałbym tkwić przez całą służbę. Na pewno mogę powiedzieć, że dążę do tego, co do tej pory osiągnął Wódcz... to znaczy Tomek – przyznał Berg, chcąc

wykorzystać okazję do nabicia sobie punktów u nadkomisarza i jego bliskich, ale Wódz tylko przewrócił oczami, wiedząc, że był to chybiony strzał, dający okazję ojcu do rozpoczęcia dyskusji. Nieświadomy sztabowy ciągnął dalej: – Tomek ma wśród nas duży posłuch, ludzie go szanują, wszyscy liczą się z jego zdaniem nie dlatego, że muszą, ale dlatego, że mu ufają...

– Mój syn nie kieruje się ani ambicją, ani idealizmem i to niestety sprawi, że nie zajdzie wyżej niż jest – stanowczo odparł pan Waldemar.

Tomasz milczał, a Proca zrozumiał, że ojciec i syn musieli przerabiać ten temat już wielokrotnie.

Starszy mężczyzna nachylił się nad stołem, a po chwili ciszy kontynuował:

– Do policji wstępuje się z trzech powodów. Pierwszym jest dążenie do władzy. Ludzie chcą czuć, że coś mogą, ekscytuje ich myśl, że inni muszą ich słuchać. Drugim powodem jest to, że to praca w budżetówce. Stała, choć niska pensja, szybka emerytura. Trzecim jest powołanie, poczucie misji, patriotyzm. Szczytne cele, ale mało realne, które wypalają się dość szybko. Wystarczy parę lat pracy, a zostaje po nich jedynie rozczarowanie i frustracja.

Po tych słowach Tomek wstał od stołu, przeprosił cicho i zniknął na chwilę w głębi mieszkania. Waldemar wydawał się nie zauważyć reakcji syna. Czekał na odpowiedź Berga.

– Więc, Alan? Dlaczego ty pracujesz w policji? Co jest dla ciebie najważniejsze?

Proca nie odpowiedział od razu. Miał wrażenie, że cokolwiek powie, chybi. Nie znosił, kiedy ktoś przypierał go do muru. Nienawidził sytuacji bez wyjścia. W końcu zaczął:

– Czy mam dobre wrażenie, że nie za bardzo lubi pan policjantów?

Waldemar pokręcił głową. Kątem oka dostrzegł swojego syna, który stał teraz w progu pokoju, opierając się o futrynę.

– Przede wszystkim – odparł – odróżniam policję od policjantów. Widzę patologię w tym pierwszym. W strukturze, organizacji. Policjantów szanuję. Tych dobrych oczywiście, bo nie każdy, który trafia w wasze szeregi, do tego się nadaje. Tomek, którego widzę, że podziwiasz, niestety nadaje się do tego jak mało kto. I serce mi pęka, kiedy widzę, co „firma” z nim wyprawia.

– Przesadzasz... – odparł cicho Wódz, a jego ojciec tylko uśmiechnął się smutno.

– Więc, Alan, dlaczego pracujesz w policji?

To, co cisnęło się Bergowi na język, nie mogło zostać wypowiedziane. Nie w tym momencie. Wymusił uśmiech, po czym spojrzał na Ewę. Jej łagodny wyraz twarzy dodał mu odwagi i sprawił, że odpowiedź nasunęła się sama.

– Dla mnie najważniejszym jest chronić tych, których kocham. Bezpieczeństwo finansowe też za tym idzie. Nie wiem jeszcze, gdzie dokładnie mnie poniesie, ale nie mam zamiaru być sierżantem sztabowym przez całe życie.

Waldemar przyglądał mu się przez chwilę bez słowa. Potem skupił spojrzenie na czymś, co znajdowało się za plecami Berga.

– Wiesz, kto to jest? – zapytał.

Proca obejrzał się za siebie. Na ścianie wisiał portret. Było to czarno-białe zdjęcie charyzmatycznie wyglądającego mężczyzny w okrągłych okularach, z długą brodą mędrca.

– Maks Kolbe – odparł Berg bez chwili zwłoki.

– Wiesz, co osiągnął?

– Oddał życie za drugiego człowieka.

– Tak, to przede wszystkim. Ale co osiągnął przed tym? Wiedziałaś, że założył stację radiową, gazetę oraz miasteczko? Zrobił to, nie mając pieniędzy i często nie otrzymując też wsparcia przełożonych. Co jednak zdumiewa mnie najbardziej w tych jego osiągnięciach, to to, że w latach trzydziestych wyjechał do Japonii i tam też założył gazetę! Wydawaną po japońsku, a nie znał nawet języka! To się nazywa determinacja i wiara w niemożliwe! Wszystko zależy od tego, dla kogo robimy to wszystko. Co trzyma nas przy zmysłach i dodaje sił w najtrudniejszych momentach. Mówisz, że chcesz chronić tych, których kochasz... Liczę, że tak właśnie będzie. To, kim się stajemy, jest determinowane przez to, kogo kochamy i za kim idziemy. – W końcu na twarzy Waldemara pojawił się uśmiech. Może nieco zaprawiony goryczą, ale jednak uśmiech.

Stojący w progu Tomasz nie uśmiechał się wcale. Jednak w jego spojrzeniu też zaszła jakaś zmiana. Patrzył na Berga z nutą braterskiego porozumienia, co nigdy wcześniej nie miało miejsca.

Proca poczuł nagle ciepło na dłoni. Ewa, choć nie wtrącała się w rozmowę, zdawała sobie chyba sprawę z dyskomfortu, o jaki potrafił przyprowadzić jej ojciec. Ścisnęła mocniej dłoń Berga, jakby chciała mu dodać otuchy i zapewnić, że jest tu mile widziany. Zaraz potem obdarowała go uśmiechem, po którym opuściły go wszelkie wątpliwości.

Pan Waldemar odetchnął głęboko, po czym powoli, charakterystycznie dla osoby cierpiącej na bóle pleców, wstał od stołu, ze słowami:

– Zapraszam panów do ogrodu. Zamierzam dziś otworzyć paczkę cygar, którą dostałem od przyjaciela na sześćdziesiąte urodziny. Palisz, Alan?

Przytaknął. Palił, jak prawie wszyscy w jego pracy, choć nie tak często jak

większość. We trzech wyszli do ośnieżonego ogrodu. Chłód wydawał się nie za bardzo im przeszkadzać. Prowadzili ożywioną rozmowę, podczas gdy Ewa obserwowała ich z kuchennego okna. Pomagała w przygotowaniu kawy oraz deseru.

– Zakochujesz się, córcia – powiedziała Maria, nachylając się do ucha dziewczyny.

– To widać?

– Nie, wcale! – odparła Klara z ironicznym uśmieszkiem. – Wpatrujesz się w niego jak w święty obrazek.

– Nie przesadzaj, Klarka – ucięła matka.

Ewa wyglądała jednak na zaniepokojoną uwagą siostry.

– To naprawdę aż tak widać, mamó?

– Widać wcale nie bardziej niż jego zapatrzenie w ciebie. – Maria oparła się o kuchenny blat i podążając za wzrokiem córki, spojrzała na mężczyzn stojących na dworze. – Wygląda na porządnego chłopaka. Ma poukładane w głowie...

– Jasne – wtrąciła Klara. – Ma tak poukładane jak nasz braciszek! Facet, który idzie pracować do policji, nie może mieć poukładane w głowie!

– Klara!

– No co?! Ile stresu kosztowała cię już praca Tomka?

Do kuchni weszła Hania z naręczem brudnych talerzy.

– Hania najlepiej ci powie! – dodała Klara.

– Co mam powiedzieć? – zapytała Hania zdezorientowana.

– Powiedz jej, że związek z policjantem to nie bajka.

– Czy ja wiem? Nikt chyba bajki nie oczekuje... Jego praca to sprawa drugorzędna. Kocham Tomka i to jest ważne.

– Ale wychodząc za niego za mąż, związałaś się też z jego robotą. Z jego późnymi powrotami, ciągłymi wyjazdami, wiecznym stresem...

– Mam nadzieję, Klara, że ty znajdziesz swój chodzący ideał.

– Taki się jeszcze nie urodził! Jednego jestem pewna, że znajdę sobie męża z normalną pracą. Statecznego i przewidywalnego.

Maria ucałowała córkę w czoło.

– Więc tego ci życzę, córcia. A teraz zanieś, proszę, ciasto na stół.

Gdy Klara wyszła z kuchni, Maria zaczęła układać łyżeczki na spodkach. Jeszcze raz zerknęła przez okno i oceniła:

– A poza tym wszystkim przystojny z niego młody mężczyzna, choć nie za wysoki.

Ewa uśmiechnęła się, wlewając kawę do filiżanki.

– Jest w sam raz, mamó. W sam raz.

25

„Co ma być, to będzie!”

PONIEDZIAŁEK

Poranek był pochmurny i zimny. Z nieba znowu padał lekki śnieg i Berg z tęsknotą myślał o wiosnie. Zaparkował pod budynkiem komendy, po czym sięgnął po leżące na fotelu pasażera rękawiczki. Zakładał je niespiesznie. Nie palił się do wyjścia z rozgrzanego samochodu. Nagłe pukanie w boczną szybę sprawiło, że drgnął nerwowo. Przywitał go szeroki uśmiech Adasia.

– Mam pączki, więc ty parzysz kawę – rzucił Dukowski, prezentując ochoczo papierową torbę, kiedy tylko Berg wysiadł z samochodu.

– Widzę, że dopisuje ci humor – ocenił sztabowy.

Przemierzali parking żwawym krokiem, by jak najszybciej ogrzać się w budynku.

– Staram się nie dać ciągle zimowej chandrze. Wiesz, że słodkie poprawia nastrój?

– Tak? Myślałem, że tylko czekolada!

– Bo to są pączki z czekoladą, więc raczej nie dosładzaj kawy.

– Nigdy jej nie słodzę.

– Jak było u Wodzińskich? – zapytał Adaś, gdy zmierzali już korytarzem w stronę biura.

– Było w porządku – przyznał sztabowy z półuśmiechem. – Trochę jak na przesłuchaniu, albo na rozmowie o pracę. Ale rozumiem to. Martwią się o córkę.

– A Wódz? Dał ci odczuć, że będzie w porządku? Zaakceptował cię jako przyszłego szwagra?

– Nie powiedział tego wprost, ale myślę, że trochę wyluzuje z tymi zapędami nadopiekuńczego brata. Za to jego staruszek chyba nie jest do końca zadowolony, że

robimy w policji.

– Tak, słyszałem, że Wódz miał zostać prawnikiem. Nóż ojcu w ambicję, ale nie widzę Wodzińskiego na sali sądowej, a ty?

– Robi to, w czym jest najlepszy. Myślę, że jego stary to zrozumiał.

Nagle obaj poczuli silne uderzenie w plecy. To Marecki wepchnął się między nich, zarzucił im ręce na ramiona i zagadnął:

– Jak tam, papużki nierozłączki? Gotowi na zatrzymanie Laczyka z Walickim?

– Są jakieś wieści? – zapytał Berg, ściągając z ramienia ciężką rękę Mareckiego.

– A jak! – zawołał tamten, lecz szybko przyciszył głos do szeptu. – Chodzą słuchy, że za dzień lub dwa będzie odprawa. Może nawet wyjazd, chociaż to jeszcze nic pewnego.

– Dzień lub dwa?! – powtórzył Adaś, jakby nieco zdenerwowany. Po chwili dodał:

– Mam nadzieję, że nie piątego, bo mam ten koncert...

– Co ma być, to będzie, Dukowski! – rzucił Marecki, klasnąwszy w dłonie. Wyprzedził ich i oddalił się żwawym krokiem.

Berg spojrzał na idącego obok przyjaciela. Dostrzegł nerwowość w jego zachowaniu. Adasiowi naprawdę zależało na tym koncercie!

– Nie martw się! To jeszcze nic klepniętego, więc nie odwołuj niczego. Jak będzie odprawa, to pewnie się dowiemy w ostatnim momencie.

Dukowski przytaknął, mrucząc coś pod nosem, a Berg po chwili dodał:

– Też mam nadzieję, że to nie pokryje się z koncertem! Chcę usłyszeć, jak nie nadążasz za resztą zespołu!

– Spadaj, Proca! – odparł młodszy aspirant, trącąc przyjaciela łokciem.

Berg dostrzegł Wodzińskiego, stojącego w głębi korytarza. Rozmawiał z naczelnikiem wydziału i miał poważną, napiętą twarz. Zobaczył zbliżających się policjantów, nieznacznie skinął im na powitanie, po czym wraz z naczelnikiem wszedł do pomieszczenia.

Nie mogli wiedzieć, jak przebiegała rozmowa za zamkniętymi drzwiami, ale obaj wyczuwali rosnące napięcie. Coś się szykowało. Coś wisiało w powietrzu.

26

„Zawsze jest jakieś wyjście”

ŚRODA, 5 MARCA, 15.46

Adam Dukowski liczył na to, że ten zbliżający się wieczór wiele zmieni. Był umówiony z zespołem Rockersi na wpół do piątej. Mieli podłączyć sprzęt, zrobić próbę i o dwudziestej zagrać koncert dla liczącej sto osób publiczności. Podekscytowany, zadowolony z siebie młodszy aspirant zakładał już kurtkę, kiedy otrzymał telefon z informacją, że na późny wieczór przewidziana jest odprawa, a być może również wyjazd i realizacja. Zdegustowany odłożył telefon na szafkę w przedpokoju, a gitarę schowaną w futerale oparł o ścianę. Stał przez moment przy drzwiach, rozważając wszystkie możliwości. Nie miał ich zbyt wiele. Ponownie chwycił telefon i zadzwonił do lidera zespołu Rockersi.

- Prawdopodobnie jeszcze dzisiaj będę musiał iść do roboty – powiedział przybity.
- To znaczy, że nie zagrasz?
- Muszę być w gotowości na wieczór. Jeśli do was przyjadę, będę miał daleko do jednostki...
- Czyli nie zagrasz.
- Przepraszam. Nie mam wyjścia.
- Zawsze jest jakieś wyjście. Wiesz, potrzebujemy teraz ekipy, na której możemy polegać. Zaczynamy się rozkręcać i nie może być tak, że któryś z nas odpada tuż przed koncertem. Co by było, jakby zrobił tak perkusista albo wokalista? Wszyscy mamy życie poza zespołem, rodziny i te sprawy... Tak że jakbyś zdecydował w końcu zmienić pracę na bardziej przewidywalną, to się odezwij.

Adam jeszcze raz przeprosił. Był zdołowany, że okazja zagrania na biletowanym koncercie przeszła mu koło nosa, ale nie miał wątpliwości, że tak jak grupa Rockersi

chce polegać na członkach zespołu, tak samo polegają na nim koledzy z wydziału.
Jeżeli dojdzie dziś do realizacji, nie może odwrócić się od przyjaciół!

27

„Miało być o miłości”

ŚRODA, 5 MARCA, 20.30

Mieszkanie znajdowało się w szarym bloku z płyty na nieprzyciągającym wzroku mokotowskim osiedlu. Miało małą kuchnię, ciemny przedpokój, niewielki pokój dzienny oraz sypialnię mogącą pomieścić jedynie łóżko i niedużą szafę. Było jednak czyste, może tylko nieco zagracone książkami, bo te leżały wszędzie. Poczynając od kuchennego parapetu poprzez okazałych rozmiarów regał w tak zwanym salonie, a kończąc na niewielkiej półce w toalecie, która choć została zawieszona prawdopodobnie, by pomieścić zapasowy papier toaletowy oraz bakteriobójczy detergent, pokornie znosiła ciężar kilkunastu tomiszczy. W mieszkaniu znalazło się również parę fotografii, płyt winylowych, zdezelowany, choć nadal działający gramofon oraz telewizor, który nie wiadomo nawet czy działał, ponieważ nigdy nie był włączany. W tym całkiem przytulnym, ciepłym lokum nie było jednak żadnych roślin, ponieważ każda przyniesiona przez gospodarza prędzej czy później usychała z powodu zaniedbania.

Sierżant sztabowy Alan Berg siedział w swoim przetartym, kupionym z drugiej ręki fotelu i brzdękał na gitarze, czekając na wezwanie z wydziału. Dźwięki płynęły czyste, delikatne i ciche. Każdy z palców wzruszał pojedynczą strunę, a ich indywidualność harmonizowała się w płynny, spójny, malowany drzeniem powietrza obraz.

Zadzwoił telefon. Nie służbowa komórka, a prywatny telefon stacjonarny. Berg odłożył gitarę, by odebrać. Melodyjny głos po drugiej stronie wywołał na jego twarzy mimowolny uśmiech.

- Podobno jedziecie dzisiaj na akcję – powiedziała Ewa.
 - Ty już wiesz, że jedziemy? – odparł z rozbawieniem. – Ja nie mam jeszcze potwierdzenia!
 - Znam mojego brata. Jak przyjeżdża na niespodziewaną kawę, to znaczy, że coś się kroi.
 - Widocznie coś w tym jest. Czekam na telefon z wydziału.
 - To może powinnam zwolnić linię...
 - Nie! Zadzwoń na służbowy.
 - Pan sierżant zasłużył na służbowy telefon?
 - Taaak – odparł. – Dzięki temu mogą zawracać mi głowę o każdej porze dnia i nocy.
 - I w co ja się pakuję...
 - To znaczy?
 - Zakochuję się w facecie, który o każdej porze dnia i nocy może mnie nagle zostawić.
 - Ale zawsze do ciebie wróci.
 - Tak myślisz?
 - Ja to wiem! Szkoda, że dzisiaj nie wypalił ten koncert...
 - Nadrobimy to następnym razem.
 - Koniecznie! – powiedział, żałując, że nie jest teraz blisko niej. Wyściskałby ją i wycałował każdy centymetr jej ciała.
 - To co robisz, czekając na wezwanie?
 - Zabijam czas gitarą.
 - Zagrasz mi coś?
 - A co chciałabyś usłyszeć? – zapytał, siadając na brzegu fotela z telefonem wspartym na ramieniu.
 - No, nie wiem – odparła. – Coś o miłości poproszę.
 - O miłości jest dziewięćdziesiąt procent piosenek na świecie!
 - Widać temat chwytliwy.
- Proca zamyślił się i po chwili zaczął uderzać pojedyncze struny do utworu Leonarda Cohena. W słuchawce była cisza, a mimo tego czuł obecność dziewczyny. Jej równomierny, spokojny oddech pieścił jego ucho. Niemal czuł ciepło i zapach jej skóry, dotyk jedwabiście miękkich włosów.
- Stworzoną przez utwór spokojną atmosferę brutalnie przerwało dzwonienie do drzwi.
- Poczekasz chwilę? Ktoś się dobija...

– Poczekam – odparła z westchnieniem.

Przycisnął słuchawkę do serca i podejrzliwie podszedł do drzwi, bo nie zdarzały mu się niezapowiedziane wizyty. Pomyślał, że może któryś z sąsiadów ma do niego sprawę albo przyjechał wściekły na obrót wydarzeń Adaś. Zerknął przez wizjer.

Jego serce zabiło szybciej, gdy zobaczył, że po drugiej stronie drzwi stoi Ewa. Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

– Strasznie dzisiaj zimno! – powiedziała, wchodząc przez szeroko otwarte drzwi, i zatrzęsała się.

– Dobrze trafiłaś. Mówią, że mam gorący temperament.

– Kto tak mówi?

– Jedna z drugą... – odparł z uśmiechem.

Ewa parsknęła. Wiedziała już, że nie ma do czynienia z żadnym casanową.

Berg odwiesił jej płaszcz i zapytał:

– Napijesz się czegoś?

– Piwa, jeśli masz.

– Podgrzać ci?

– Bardzo proszę! – odparła ochoczo.

Powoli przeszła przez przedpokój. Minęła kuchnię i weszła do pokoju dziennego. Usiadła na kanapie, rozglądając się dyskretnie. Jej uwagę przykuło zdjęcie oparte o książki na jednym z regałów. Podeszła, by mu się przyjrzeć. Fotografie wykonano nad morzem. Dzień był słoneczny, bo niebo jaśniało mocnym błękitem przy górnej krawędzi. Ostre słońce oświetlało dwóch chłopców w kąpielówkach. Mniejszy okrywał się ręcznikiem i uśmiechał szeroko do obiektywu, pokazując wszystkie zęby. Mógł mieć około dwunastu lat. Obok niego stał niewiele wyższy, o łagodnych oczach i oszczędnym uśmiechu. Ewa od razu rozpoznała w nim Alana. Miał mokre, rozczochrane włosy, a ramieniem obejmował młodszego. Byli do siebie nieco podobni, choć już na pierwszy rzut oka różnili się temperamentem.

Dziewczyna wróciła na kanapę i zawiesiła wzrok na gitarze, która stała bez ruchu i brzmienia, oparta o fotel pośrodku pokoju.

– Dodałem ci miodu – rzucił Alan, wchodząc ze szklanką piwa w dłoni.

Podziękowała mu, ostrożnie upiła pierwszy łyk i powiedziała:

– Zaskoczyłeś mnie tą piosenką...

Berg usiadł bokiem blisko niej. Uśmiechał się, mierząc ją spojrzeniem.

– Miało być o miłości... Aha! To liczyłaś pewnie na coś o pocałunkach i trzymaniu się za ręce!

– Nie, to by było zbyt oczywiste.

- No właśnie!
 - To piękna piosenka.
- Odetchnął głęboko. Delikatnie gładząc jej włosy, przyznał:
- Cieszę się, że przyszłaś. Można powiedzieć, że ściągnąłem cię myślami.
 - Myślałeś o mnie?
 - Jak ci powiem, że myślę cały czas, powiesz, że mam obsesję!
- Zaśmiała się głośno.
- Wcale tak nie powiem! Ty też non stop chodzisz mi po głowie. Liczyłam na ten dzisiejszy koncert...
 - Wiem. Wynagrodzę ci to po akcji. Jak nie koncert, to coś innego, obiecuję. Moglibyśmy pojechać gdzieś sami na parę dni. Będę miał wolny weekend, dołożę jeden dzień chorobowego... Pojechalibyśmy w góry albo nad morze.
 - O tej porze roku?
 - Każda pora roku jest dobra. Wszędzie i zawsze, byle z tobą.
- Obróciła lekko głowę, przytulając policzek do jego dłoni. Potem przysunęła się i wtuliła w jego ramię. Objął ją, wciągając głęboko powietrze, jakby jej zapach odurzał go i uspokajał.
- Kto jest z tobą na tamtym zdjęciu? – zapytała, skinąwszy na fotografię.
 - To jest... mój brat – odparł mniej beztróskim tonem.
 - Nie wiedziałam, że masz brata! Jest tak przystojny jak ty? – Zerknęła na niego z uśmiechem.
 - Pewnie by był – powiedział, siląc się, by nie zabrzmiało to posępnie.
 - O Boże, przepraszam. Nie wiedziałam...
 - To nic. Skąd miałaś wiedzieć? Nawet Tomek o niczym nie wie! – Zmusił się do uśmiechu i przytulił ją mocniej, żeby nie uciekła. Potem ciężko westchnął i powiedział: – Miał na imię Maks. Był młodszy ode mnie o dwa lata. Mały wariat. Zawsze pierwszy do wszystkiego.
 - Brzmi to trochę tak, jakbyś mówił o sobie.
 - On był gorszy, uwierz mi! – odparł i w końcu roześmiał się swobodnie. – Wszystkiego musiał spróbować i ciągle pakował się w kłopoty. Bójki, drobne wykroczenia. Trudno było do niego przemówić. To był chłopak potrzebujący dyscypliny i miłości, a że u nas w domu bywało różnie, to wyzywał się chyba sam na sobie.
 - Jak zginął? – zapytała ostrożnie i szybko dodała: – Nie musisz mówić, jeżeli nie chcesz...
 - Chcę! – odparł bez zwłoki. – Tobie chcę powiedzieć, bo... to jest powód, dla

którego tak naprawdę wstąpiłem do policji.

– Mówiłeś mojemu tacie, że chcesz chronić tych, których kochasz.

– I taka jest prawda, ale zaczęło się od tego, że Maks przedawkował...

– Brał narkotyki?

– Kompot. Polską heroinę. Dostawał ją od naszego sąsiada. Też młodego. Ruska, który wkręcił się w narkobiznes. Kiedy Maks przedawkował, tamten zniknął bez śladu. Pomyślałem, że wstąpienie do policji to dobry sposób, żeby go odnaleźć.

– I znalazłeś?

– Jeszcze nie. Ale kiedyś znajdę.

Ewa odsunęła się od niego. Patrzyła łagodnie, ale z przejęciem.

– Przykro mi – wyszeptła.

– Mnie też – przyznał, ocierając twarz dłońmi.

Dziewczyna nie mogła mieć wątpliwości, że opowiadanie o tym wszystkim przychodziło mu z trudem. Wcale nie dziwiło jej, że nie wspomniał o bracie podczas wizyty w jej domu. Był to temat, z którym nie był do końca pogodzony, z którym sobie nie radził.

– To było dawno? – zapytała.

Proca zamyślił się przez chwilę.

– Osiem lat temu.

– To miałeś wtedy... osiemnaście lat.

– A on szesnaście. Byłem w mieszkaniu, kiedy to zrobił... kiedy wziął ostatnią działkę. Mogłem temu zapobiec, ale... – zawiesił głos i wzruszył bezradnie ramionami. – Przegapiłem odpowiedni moment.

– Ale wiesz, że to nie twoja wina, prawda? Nałóg to choroba, której nie da się wyleczyć bez woli chorego.

Przytaknął bez słowa.

– Chodź tutaj – powiedział po chwili i obejmując ją ramieniem, przyciągnął do siebie. – Dzisiaj nie jest najlepszy moment na taką rozmowę. Zaraz jedziemy na akcję, a ja mam przy sobie najpiękniejszą kobietę na świecie, którą muszę pocałować, zanim zadzwonią!

– A skąd wiesz, że ci na to pozwolę? – zapytała, wyraźnie się z nim drocząc.

Odsunęła go z uśmiechem, ale on nie odpuszczał. Łaskotał ją i podszczypywał, aż poddała się, nie mając szans w dalszej szarpaninie.

– Stawisz opór policji? – zapytał, nachylając się nad jej rumianymi ustami. Przysunął się bliżej, lecz nim ich usta się spotkały, głośno zadzwonił telefon. Berg opuścił ciężko głowę z westchnieniem zawodu, po czym szybko doskoczył do

aparatu. Rozmowa trwała krótko, a gdy się rozłączył, wyjaśnił: – Muszę uciekać, zwołali odprawę. Odwiozę cię do domu.

– Zdążysz?

– Spokojnie! – odpowiedział, zakładając buty.

Z kuchennego blatu zgarnął klucze, dokumenty oraz niewielki drewniany różaniec. Wszystko wrzucił do kieszeni kurtki. Piętnaście minut później zaparkował już samochód przed domem Wodzińskich.

– Będę się dzisiaj za was modlić. Za ciebie i Tomka – obiecała Ewa, przeciągając moment rozstania.

– Akcja jak każda inna, o nic się nie martw. Będę miał twojego brata na oku – zapewnił Berg z uśmiechem i szybko dodał: – A jutro zapraszam cię na kolację.

– Dokąd?

– Do mnie! Ja ugotuję!

– Może ugotujemy razem? – zapytała, nachylając się nad skrzynią biegów.

– To nawet bardziej mi się podoba! Przyjadę po ciebie o siódmej, dobrze? – zapytał, przysuwając się bliżej, a ona odpowiedziała mu pocałunkiem, który trwał dość długo, ale zdaniem ich obojga stanowczo za krótko.

– Do jutra – rzuciła jeszcze, otwierając drzwi.

Berg odprowadził ją spojrzeniem, aż zniknęła wewnątrz domu. Dopiero wtedy odpalił silnik. Po raz pierwszy w życiu czuł, że naprawdę się zakochał. Nie wiedział, co przyniesie im przyszłość, ale patrzył na nią z nadzieją i rosnącymi oczekiwaniami. Wiedział, że w jego życiu nadchodzą zmiany.

„Mam poważne wątpliwości”

ŚRODA, 5 MARCA, 21.55

Kiedy wszedł do sali odpraw, najpierw wyłowił w tłumie Adasia. Przyjaciel siedział ze zwieszoną głową i splecionymi przed sobą rękami. Nerwowo podrygiwał nogą. Wyglądał na złego.

– Koncert przeszedł ci bokiem, co? – zagadał Berg, siadając na skrzypiącym krześle obok niego. Obejrzał drewniane nogi, by nabrać pewności, że wiekowy mebel nie zawali się pod jego ciężarem.

– Wkurzony jestem! – przyznał Adaś. – Ale będą jeszcze inne koncerty. Na pewno będą! A taka akcja jak dziś jest jedna na całe życie! To będzie piękne zakończenie mojej policyjnej kariery!

– Jedna na całe życie? – powtórzył Proca, patrząc na przyjaciela sceptycznie. – No, nie wiem. Podobno mobilizują pokazną grupę i zlecają obezwładnienie atekom, ale pewnie będzie jak zawsze.

– Antyterrorysty jadą z nami?

– Dziwisz się? W mieszkaniu przy Trockiej znaleźliście karabinki i granaty, a z obserwacji budynku wynikało, że Laczyk nie ukrywa się tam z Walickim, tylko z Iwanem Preckim...

– Z tym Iwanem Preckim? – zdziwił się Adaś.

– Specem od broni, bomb, doskonałym strzelcem, wyszkolonym przez KGB lub inne cholerstwo ze Wschodu.

Adam głośno odchrząknął. Robiło się coraz ciekawiej.

– A skąd ty to wszystko wiesz? – zapytał.

– Rozmawiałem z Mareckim na korytarzu. Wódz miał wcześniej spotkanie z górą i rozważali różne warianty akcji. Nie było ponoć wielkich dylematów. Skryte podejście pod posesję nie wchodzi w grę...

Do pomieszczenia wszedł nadkomisarz Tomasz Wodziński i kilku innych funkcjonariuszy wyższego szczebla, między którymi Berg rozpoznał naczelnika WTK, zastępcę komendanta stołecznego policji, wicedyrektora Centralnego Biura Śledczego, dowódcę Zarządu Operacji Antyterrorystycznych, naczelnika Zarządu Wsparcia Bojowego CBS... Usłyszał, jak siedzący obok niego Adam wzdycha głęboko. Chyba do wszystkich dotarła już świadomość presji, z jaką podchodzono do najbliższej realizacji.

Na środku pomieszczenia stanął jednak Wódz i to on miał poprowadzić większą część odprawy.

– Mamy dużo do omówienia, więc proszę wszystkich o skupienie. Jeśli będą jakieś pytania, to wstrzymajcie się z nimi do końca – zaczął nadkomisarz na jednym wydechu. Odchrząknął nerwowo, po czym kontynuował: – Dzięki śledzeniu Magdaleny Górskiej udało się nam namierzyć poszukiwanego Marcina Laczyka. Ukrywa się on w wynajętym domu w Lesznowoli. Nasi fusze przejechali ulicą, przy której, jak podejrzewali, znajdował się dom, i wytypowali jeden na jej końcu. Udało się podejść pod rzeczony dom od strony lasu. Prowadzono stałą obserwację budynku. Późnym wieczorem obserwatorzy zauważyli, że ze wskazanego domu wyszedł poszukiwany od lat Iwan Precki. Poszedł na spacer z psem, po czym wrócił. Niestety jakiś czas później pobliską drogą przechadzał się ze swoim psem któryś z okolicznych mieszkańców. Zwierzak musiał wywąchać naszych, bo zaczął ujadać, a właściciel wyraźnie się nimi zainteresował. Prawdopodobnie podejrzewał, że ulicę obserwują złodzieje, jednak nie podjęto z nim rozmowy, by nie narażać akcji na dekonspirację. Nie wiemy bowiem, czy poszukiwani Laczyk i Precki nie mają w sąsiedztwie swoich ludzi, gotowych poinformować ich o podejrzanych osobach kręcących się po okolicy. Od wczoraj prowadzimy obserwację domu z sąsiadującej posiadłości. Mamy z naszymi stałą łączność i na razie potwierdzono, że Laczyk i Precki są w środku. Zdecydowaliśmy się na klasyczne przeprowadzenie szturm frontального. Dzisiejszej nocy.

Wszyscy słuchali słów Wodza w skupieniu. Gdy przedstawiono im pobieżny plan zagospodarowania przestrzennego terenu i szkic budynku, Proca podniósł rękę.

Wódz przerwał swój wywód, choć niechętnie.

– To nie może poczekać na koniec, Proca?

– Mam poważne wątpliwości dotyczące tego szkicu...

29

„Zawsze wchodziliśmy razem”

ŚRODA, 5 MARCA, 22.25

Proca siedział na krześle ze splecionymi przed sobą rękami. Wódz dał mu znak skinieniem głowy, by kontynuował.

– Przejeżdżaliśmy z Adamem obok tego domu. Nie mieliśmy może zbyt wiele czasu, żeby przyjrzeć się mu dokładnie, ale dwóch rzeczy jestem pewien. Po pierwsze, na frontowej ścianie od strony bramy nie ma drzwi wejściowych, jak przedstawiono na szkicu. Po drugie, obaj z kolegą zwróciliśmy uwagę na to, że okna na parterze były okratowane.

– Tak jak powiedziałem, mieliśmy kiepskie warunki do przeprowadzenia dokładnej obserwacji budynku. To, czy drzwi będą na tej ścianie czy na ścianie obok, nie zrobi większej różnicy. Grupa przemieści się kilka metrów dalej...

– Dlaczego nie załatwimy planów tej zabudowy od właściciela?

Wódz westchnął niecierpliwie i odparł:

– Nie możemy mieć pewności, czy właściciel nie współpracuje z poszukiwanymi. Prośba o plan zabudowy mogłaby zdekonspirować akcję. Co do krat w oknach, to rzeczywiście... wyklucza to na przykład możliwość wrzucenia do środka granatu. Można by wstrzelić taki na piętro, ale nie dostaliśmy jeszcze granatnika... – Nadkomisarz odchrząknął znacząco i po chwili kontynuował: – Jednak wątpię, czy kubatura pomieszczeń przekroczy dwieście metrów sześciennych, więc w sprawie granatów chemicznych ograniczają nas przepisy. Tak czy siak, granaty będą w wozie techniki operacyjnej, a każdy z was dostanie też flashbangi. Ewentualna walka odbędzie się w pomieszczeniach, więc z magazynu pobieramy pistolety maszynowe.

– Wolałbym karabinek – rzucił szeptem Adaś.

– A ja czołg – odparł Berg, ucinając rozmowę.

Spotkanie trwało dalej. Na koniec rozwiano wszelkie wątpliwości funkcjonariuszy i dokładnie przydzielono zadania, tak że każdy wiedział, co ma robić i kogo słuchać. Jedynym niezadowolonym z ustalonego planu wydawał się Adaś. Zaraz po odprawie podszedł do Wodzińskiego, by podzielić się przemyśleniami, których nie chciał wypowiadać przy wszystkich.

– Wolałbym iść razem z wami – rzucił ściszym tonem.

Wódz zerknął przelotnie na jego zmarszczone czoło i przyczajonego obok Procę.

– O co ci chodzi, Dukowski? Nie wytrzymasz bez kolegi trzydziestu minut?

Adam otworzył usta, ale nim zdołał coś powiedzieć, Berg wysunął się na przód i wszedł mu w słowo.

– Mówiłem mu, że dobrze nas podzieliliście...

– No, nie wiem... Dlaczego ty, Proca i Marecki macie wchodzić do budynku, a ja zostaję na zewnątrz?

– Zabezpieczasz teren z Dzikim i antkami. W czym problem?

– Zawsze wchodziliśmy razem...

– A tym razem chcę, żeby w każdym zespole szturmowym był ktoś od nas. Pójdziecie z Dzikim na tyły budynku pilnować, żeby figuranci nie uciekli tarasem. Jeszcze coś?

– Nie możemy pobrać karabinków?

– Walka nie wyjdzie z budynku, Adam, a nawet jeśli, to teren jest niewielki. Chcesz biegać z kałachem po działce, która ma trochę ponad hektar? Do wejścia na teren wyznaczono dwudziestu sześciu funkcjonariuszy. Dwudziestu sześciu na dwóch figurantów! Glauberyty i MP5 powinny wystarczyć. Jak myślisz?

– To dużo ludzi na małej przestrzeni... Masz rację – odparł Adam po krótkiej chwili zastanowienia. – Chciałem się tylko upewnić...

– I dobrze! Chcę, żeby wszystko było jasne.

Nikt nie zamierzał podważać planu. Dyskutowanie nad nim było rzeczą naturalną. Jeżeli ktoś miał wątpliwości, mógł je wyrazić. Koniec końców, rozkazy realizowano z pełnym zaangażowaniem i determinacją.

30

„Jeszcze nie było takich cudów,
żebyśmy zawiedli”

ŚRODA, 5 MARCA, 23.40

Funkcjonariusze otrzymali po dwa magazynki do pistoletów maszynowych i po dwa magazynki do broni krótkiej, które mieściły łącznie prawie sto sztuk amunicji. Pobrali broń, po czym stawili się w pełnym oporządzeniu na miejscu zbiórki. Dwudziestu sześciu pełniło tej nocy dyżur bojowy. Podzielono ich na trzy grupy szturmowe, a każda z nich otrzymała na wyposażeniu jedną tarczę kuloodporną. W skład pierwszej grupy wchodziło ośmiu policjantów. Sześciu ataków i dwóch z wydziału do walki z terrorem, czyli Proca i Wódz. Ich zadaniem było sforsowanie bramy wjazdowej na posesję, szturmowe podejście pod drzwi, wkroczenie do środka i zabezpieczenie parteru budynku. Do drugiego zespołu wcielono Mareckiego. Wraz z antyterrorystami miał zabezpieczyć piętro i dokonać zatrzymania figurantów. Oddział trzeci, wspierany przez Dzikiego i Adasia, odpowiadał za obstawienie terenu wokół budynku. Reszta policjantów miała czekać w odwodzie przy samochodach na drodze dojazdowej. Było ich czternastu. Znajdowali się tam na wszelki wypadek.

Sierżant sztabowy Alan Berg oparł nogę o koło policyjnego land rovera, by poprawić sznurowadło. Ten niesforny mały element mógł okazać się zabójczy w sytuacji zagrożenia życia. Sztabowy był ubrany w czarny mundur, taktyczną kamizelkę kuloodporną obwieszoną dodatkowymi magazynkami i granatem błyskowym, przy pasie miał walthera w kaburze, a z ramienia zwisał mu pistolet maszynowy. Choć cały osprzęt ważył kilkanaście kilogramów, nadal mógł

swobodnie się poruszać, ale wyglądał jak ktoś, kogo sam nie chciałby spotkać na samotnym spacerze w środku nocy.

„Dzisiaj jest ten dzień. Dziś zobaczę Marcina Laczyka w kajdankach” – pomyślał. Sięgnął do kieszeni bojówek, wyciągnął z niej mały drewniany różaniec i zacisnął go w dłoni. Wiedział, że Bóg nie załatwi za niego wszystkiego, ale wierzył, że Najwyższy pomaga tym, którzy proszą o pomoc.

Niespodziewanie otrzymał klepnięcie w bark, więc się obrócił.

– Będiesz szedł za mną – powiedział Wódz rozkazująco. Dostrzegł różaniec w dłoni sztabowego i dodał z półuśmiechem: – Każde wsparcie jest dobre. Módl się, ale płyn do brzegu! A dzisiaj idziesz na końcu zespołu, jasne?

Był już w pełnym oporządzeniu bojowym, tylko hełm trzymał pod pachą, co wydawało się dziwne, bo jeden miał już na głowie.

– Próbujesz mnie chronić, bo spotykam się z twoją siostrą? – rzucił Berg zaczepnie.

– Nie, Proca. Chcę, żebyś robił mi plecy...

– Bo...?

– Oczekujesz, że będę ci kadził? Nie licz na to! – odparł Wodziński. Doskonale wiedział, że to plus mieć za plecami najlepszego, szybko reagującego na zagrożenie strzelca. Wyciągnął hełm spod pachy i podał go Bergowi. – Nowy nabytek. Izraelska produkcja z zeszłego roku.

– O człowieku...! Jaki lekki! Skąd masz takie skarby? – Berg obejrzał go z każdej strony.

Wodziński uśmiechnął się znacząco.

– Takie skarby na pewno nie przychodzą z ministerstwa... Kupiłem prywatnie od kumpla z Tel Awiwu. Podobno najłżejszy hełm na rynku. Ten jest dla ciebie.

Berg nie był pewien, czy dobrze go zrozumiał. Zakup takiego cacka to była kosztowna sprawa, a w dodatku wymiana przypisanego oporządzenia na inne nie była do końca regulaminowa.

– Dzięki, Wodzu. Nie wiem, co powiedzieć – odparł.

– Ale ja wiem, co myślisz. – Wodziński oparł się o samochód, wyciągnął z kieszeni papierosy i zapalił. – Zastanawiasz się, jak będzie zajebiście leżał, chroniąc twoją łepetynę przez całą akcję.

Wymienili uśmiechy, a nadkomisarz dodał po chwili:

– Nie przejmuj się tak regulaminami, Proca. Ci, którzy je układają, czasami nie mają pojęcia o prawdziwych warunkach bojowych. Trzeba po prostu robić swoje, jeżeli masz pewność, że robisz to dobrze.

– A jednak musimy słuchać rozkazów...

– Oczywiście, że tak! Ktoś musi dowodzić! Odpowiadać za wszystko i być chłopcem do bicia, kiedy coś pójdzie nie tak. Jak będziesz kiedyś na moim miejscu, zapamiętaj sobie jedno. – Wodziński spojrzał sierżantowi w oczy. – Inwestuj w ludzi i ich bezpieczeństwo. Ekipa jest najważniejsza, więc dobrze ją dobieraj. A poza tym są trzy proste zasady. Tylko trzy, którymi trzeba się kierować. Reszta zależy od punktu widzenia i okoliczności.

– Jakie to zasady?

– Bądź lojalny wobec kolegów z wydziału i wobec własnego sumienia...

– To są dwie. A trzecia?

– Nigdy nie lekceważ przeciwnika. – Nadkomisarz spoważniał i obserwując kręcących się po parkingu policjantów, dodał: – To akcja największego ryzyka. Mieliśmy rozmowę z dowództwem po odprawie. Obgadaliśmy jeszcze kilka spraw. Ostatecznie zrezygnowali z rozmieszczenia strzelców wyborowych.

– To akurat nie sprawia, że poczułem się lepiej...

– Uznali, że nie ma gdzie ich ustawić. Wszędzie rosną drzewa, zasłaniają widok... Śnieg skrzypi, gałęzie pękają, szczekają psy, a oświetlenie jest do dupy. Rozmieszczenie stanowisk grozi dekonspiracją i w ogóle nie będzie okazji, żeby strzelali. Wchodzimy do środka, zabezpieczamy teren i będzie po krzyku. – Wódz nachylił się do ucha Berga i szeptem dodał: – A prawda jest taka, że w obecnej sytuacji prawnej nikt nie oddałby takiego strzału. To byłby wyrok na samego siebie... – Nagle oblicze Wodza się rozjaśniło. – Zobacz, kto przyszedł się przywitać!

W bramie pojawił się podinspektor Filip Tyszka. Mężczyzna szedł wolno, ale pewnie. Objął Wodza niedźwiedzim uściskiem, a potem podał dłoń Bergowi. Zachowywał pozory dystansu, choć i tak wszyscy wiedzieli, że traktował Procę jak syna.

– Już jesteś na nogach? – zagadał nadkomisarz, patrząc na Tyszkę z podziwem.

– Od wczoraj. Lekarz zalecił mi powolne spacerowanie.

– O dwunastej w nocy?

– Przyszedłem życzyć wam powodzenia, no i...

– Nie wysiedziałybyś na dupie, wiedząc, że właśnie zgarniamy Laczyka z Preckim.

– Precki też tam jest? – dopytał podinspektor, a na jego twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia.

– Tak – potwierdził Tomasz. – Siedzą w budynku we dwóch. Prawie godzinę temu zgasili światło. Niedługo wyjeżdżamy.

– Coś nie tak? – zaniepokoił się Berg, dostrzegając na twarzy podinspektora

wyraźne strapienie.

Tyszka zatrząsł się z zimna. Milczał przez chwilę, szukając najodpowiedniejszych słów, a w końcu odparł z mglistym uśmiechem:

– Wszystko w porządku. Tylko uważajcie tam. Mieliśmy kiedyś podsłuch na Preckiego. Mówił, że policja nigdy nie weźmie go żywcem.

– Co drugi bandzior tak gada... – rzucił Wódz.

– Ale nie każdy jest specem od ładunków wybuchowych...

Tomasz głośno przełknął ślinę i wymusił uśmiech. Zachowano szczególną ostrożność przy działaniach operacyjno-technicznych. Przestępcy całkiem niedawno zmienili kryjówkę i czuli się w niej bezpiecznie. Nie mieli pojęcia, że policja depta im po piętach. Nie mieli prawa spodziewać się natarcia tej nocy.

– Spokojnie, podinspektorze – odparł po chwili łagodnym tonem – idziemy w czterdziestu na dwóch śpiących bandziorów. Jeszcze nie było takich cudów, żebyśmy zawiedli. Żaden Laczyk czy Precki nie zmieni nam statystyk na gorsze.

Tyszka przytaknął, nieco uspokojony pewnością w słowach nadkomisarza. Wtedy podeszło do nich trzech funkcjonariuszy w plamiakach. Każdemu z nich powierzono dowództwo nad zespołami szturmowymi. Na czoło wysunął się komisarz Stasiak, któremu przydzielono pierwszy zespół mający staranować bramę i opanować parter budynku. Mężczyzna stanął w lekkim rozkroku, przywitał Tyszkę oszczędnym skinieniem i wyjaśnił:

– Bełza dowodzi grupą zewnętrzną. Halicki pójdzie z chłopakami na piętro. W budynku nic się nie zmieniło od prawie godziny, więc wygląda na to, że figuranci śpią. O północy możemy wyjechać do punktu zbornego. Będziemy na miejscu o wpół do pierwszej.

– Potwierdziliście, że wjeżdżamy na teren samochodem, wyważając bramę?

– Tak. Szef powiedział, że w razie uszkodzeń pojazdu weźmie to na siebie. Dynamiczny podjazd będzie tu najlepszą opcją, a w razie czego wóz posłuży nam za osłonę. Musimy odebrać jeszcze jedną tarczę z magazynu. Kicaj po nią, młody.

Proca spojrział na niego zdezorientowany, dopiero gdy Wódz powtórzył, żeby poszedł, Berg ruszył w stronę magazynu.

– Chłopak jakiś niezdyscyplinowany? – rzucił dowódca, gdy sierżant był już kilka metrów od nich.

– Nie. To jeden z moich najlepszych ludzi, tylko czasami wyskakuje przed szereg. Nie będzie robił problemów.

– Oby. U nas nie ma wyskakiwania przed szereg. Zbieramy się.

Dowódca zespołu oddalił się do samochodu. Wodziński spojrział na zegarek na

swoim nadgarstku. Dochodziła północ.

31

„Za chwilę będziemy na miejscu”

CZWARTEK, 6 MARCA, 00.40

Kolumna dwunastu samochodów sunęła w kierunku Lesznowoli. W pojazdach było zimno, bo temperatura na zewnątrz wynosiła pięć stopni poniżej zera, jednak funkcjonariusze nie odczuwali chłodu. Jeszcze nie wtedy. To był ten moment, w którym spokojne siedzenie przychodziło z trudem, bo pobudzała ich wizja zbliżającej się konfrontacji.

W głowie Berga kotłowały się myśli. Oczyma wyobraźni zobaczył biały dom otoczony siatką. W ciszy wizualizował moment wjazdu na teren, wyjście z land rovera, ustawienie w szyku bojowym i podejście pod budynek. Zobaczył, jak wyważają drzwi frontowe, potem rozbłysk flashbanga, wkroczenie do środka i zabezpieczenie parteru.

– Za chwilę będziemy na miejscu – rzucił kierowca i skręcił w lewo.

Samochodem zarzuciło. Berg domyślił się, że wjechali na gruntową drogę, przy której znajdował się budynek. Wódz położył dłoń na klamce. Van przyspieszył, skręcił w prawo. Szarpnęło. Usłyszeli metaliczny huk taranowanej bramy. Ostatnie metry samochód przejechał na zablokowanych kołach. Drzwi pojazdu zostały otwarte, nim całkiem się zatrzymał.

Funkcjonariusze wysypali się z land rovera. Ustawienie w szyku bojowym zajęło im zaledwie parę sekund. Błyskawicznie podeszli pod ścianę budynku. Przemieścili się na betonowy ganek przed drzwiami frontowymi. Czterech skręciło pod drzwi, czterech, w tym Wódz i Proca, trzymali się bocznej ściany.

Obok nich przeszedł jakiś policjant. Berg rozpoznał po posturze i ciemnym stroju,

że był to Marecki. Aspirant podszedł do dowódcy zespołu pierwszego i powiedział, że jego grupa nie da rady otworzyć drzwi garażowych. Szybko wrócił do swoich, przekazał rozkaz przegrupowania i dołączenia do zespołu pod drzwiami.

Padł sygnał, że wszyscy są na swoich pozycjach. Na pobliskich posesjach ujadały psy. Śnieg skrzypiał pod butami policjantów, a z ich ust unosiła się para.

Do uszu Berga dotarło dudnienie. Jakby w budynku ktoś szybko wbiegał po schodach. Wiedział, że Wódz również to usłyszał.

Nastała cisza z rodzaju tych, po których zawsze uderza coś nieoczekiwanego, a potem rozległ się ogłuszający huk wybuchu.

„Policja, nie strzelać!”

CZWARTEK, 6 MARCA, 00.45

Powietrze penetrowało kilka kilogramów śrub, nakrętek oraz gwoździ, którymi wypełniony był ładunek wybuchowy. Fala uderzeniowa odrzuciła kilku funkcjonariuszy na boki. Berg odruchowo skulił ciało. Nim zdołał się rozejrzeć, by ocenić straty, usłyszał jednostajny ciąg strzałów oddanych gdzieś nad ich głowami. W sytuacjach niespodziewanego zagrożenia potrafił działać automatycznie, miał wyjątkowo rozwinięty instynkt samozachowawczy, który włączał się bezwiednie, niczym szósty zmysł, i pomagał chronić kruche życie. Złapał Wodza za kamizelkę i zaczął odciągać go w tył. Nadkomisarz pozwalał mu się prowadzić, a sam wycelował w znajdujące się nad nimi okno, błyskające rozchodzącymi się we wszystkie strony pociskami smugowymi, i odpowiedział ogniem.

Berg skręcił za ścianę garażu. Przykucnął, ciężko dysząc, lecz nie ze zmęczenia, ale z niespodziewanych, silniejszych niż zazwyczaj emocji. Wiedział jedynie, że coś poszło nie tak. To miała być rutynowa akcja, która zakończy się szybko i bezboleśnie. Teren został otoczony, figuranci nie mieli możliwości ucieczki. Nagle ten wybuch... W pierwszym odruchu chciał uciekać, ale potem przyszedł rozsądek. Nie takie były rozkazy. „Obezwładnić i zatrzymać” – tak brzmiało polecenie. Mieli zastawić pułapkę, zaskoczyć przestępców niespodziewanym natarciem, a sami znaleźli się w potrzasku.

Ostrzał nie ustawał. W uszach dudniła mu nieprzerwana seria strzałów. Nagle poczuł delikatne szarpnięcie.

– Możesz mnie już puścić, Proca! – powiedział Wódz, wyrывая się z uścisku

sztabowego.

– Przepraszam...

– Odciągnąłeś mnie. Mamy niezłą osłonę.

Piszczalo mu w uszach. Przez jego umysł znów przemknęły ostatnie sekundy. Wjechali na posesję, rozsypali się z samochodu, w szyku bojowym podeszli pod dom... I stało się. Teraz musieli utrzymać pozycję, pomóc rannym i kontynuować powierzone zadanie.

Zerknął na ścianę za plecami. Wydawała się bezpieczna. Nie miała okna, z którego można by prowadzić ostrzał. Dość nisko nad ich głowami rozkładało się zadaszenie garażu.

– Policja, nie strzelać! – zawołał ktoś desperacko, ale ukryci w domu bandyci nie reagowali. Prowadzili ciągły ogień we wszystkie miejsca, w których ukryli się rozproszeni funkcjonariusze.

– Wariaci – rzucił Wódz, przyklejając się do bezpiecznej ściany. – Zaraz skończy im się amunicja i będzie po krzyku.

– Oby.

– Gdzie reszta?

Nadkomisarz Wodziński złapał się za kamizelkę, przy której powinna znajdować się krótkofalówka. Oklepał nerwowo ciało.

– Kurwa, radio mi wypadło!

33

„Poddajemy się!”

Nie mieli łączności z pozostałymi. Jakie odnieśli straty? Ilu zostało rannych? Proca przykucnął i wychylił się zza ściany. To, co zobaczył, przerosło jego oczekiwania. W powietrzu unosił się pył. Ziemia zmieszana ze śniegiem wzbijała się poderwana uderzeniami pocisków w grunt.

Niektórzy policjanci czołgali się ranni w poszukiwaniu schronienia, inni leżeli nieprzytomni, jeszcze inni, ci, którym udało się znaleźć jakąś osłonę, próbowali odpowiadać ogniem, żeby umożliwić kolegom ucieczkę z otwartego pola.

– Trzeba ich stamtąd wyciągnąć! – powiedział Berg, próbując przekrzyczeć serię z karabinku.

Nadkomisarz Wodziński nie miał wątpliwości, że rannym trzeba pomóc, jednak kanonada była tak potężna, że wyjście z ukrycia równałoby się samobójstwu.

Po chwili hałas nieco przycichł i policjanci zdali sobie sprawę, że jedynymi strzelającymi są oni sami.

– Wstrzymać ogień! – krzyknął dowódca pierwszego zespołu.

Po jego rozkazie zapadła całkowita cisza. Tylko w uszach szumiało, a potem rozbrzmiało wołanie z wnętrza budynku.

– Nie strzelać! Poddajemy się!

Na znak kapitulacji strzelec wyrzucił przez okno swój karabinek. Broń upadła na ziemię ze szczękiem. Nastąpiła chwila konsternacji.

– Poddajemy się! – powtórzył głos ze wschodnim akcentem.

Znajdujący się przed frontową ścianą budynku Marecki wychylił głowę zza drzewa.

Ranni potrzebowali szybkiej pomocy medycznej. Paru będących najbliżej policjantów wyszło z ukrycia, żeby ich odciągnąć. Berg i Wodziński również opuścili swoją kryjówkę. Dotarli do najbliższego rannego, złapali go za ręce i zaczęli ciągnąć po ziemi w bezpieczne miejsce przy ścianie garażowej. Gdy przechodzili pod oknem, usłyszeli nad głowami wznowioną kanonadę.

Ponownie dali się zaskoczyć. Nie mieli przecież do czynienia z wariatami. Owszem, desperacja cechowała zachowanie ukrywających się w budynku przestępców, ale ich działania były dokładnie zaplanowane! Podstępnie kalkulowali każdy kolejny ruch!

Prędkość pocisku wystrzelonego z kałasznikowa jest ponad dwukrotnie większa niż prędkość dźwięku. Proca pomyślał, że póki słyszy tryskającą z okna amunicję, sytuacja nie jest jeszcze najgorsza. Oznaczało to, że strzały były niecelne bądź kierowane w kogoś innego.

Pociski dosłownie przelatywały nad ich głowami. Ciągnięty przez nich zakrwawiony policjant był dużym facetem, który bez osprzętu ważyłby pewnie z dziewięćdziesiąt kilo, a z nim ponad sto. Odpychał się od ziemi nogami, żeby ułatwić kolegom zadanie. Oddał nawet w kierunku okna kilka niecelnych strzałów.

Sztabowy słyszał za plecami krzyki, ale nie mógł zareagować. Nie mógł się zatrzymać ani obrócić. Dotarcie z rannym do bezpiecznego miejsca było teraz priorytetem. „Jaki pożytek z ratowników, którzy sami dadzą się postrzelić?” – pytał sam siebie, omal nie tracąc równowagi na śliskim gruncie.

Aspirant Marecki usłyszał wznowienie ostrzału, zanim dotarł do pierwszego rannego. W pośpiechu rzucił się do ucieczki w kierunku schronienia, które odważnie, choć głupio opuścił. Pierwszy pocisk dopadł go w biegu. Przebił skórę, mięśnie i gruchnął o kość. Upadając, policjant miał wrażenie, że usłyszał odgłos łamanej nogi, która wykręciła się w nienaturalny sposób. Ciało Mareckiego przeszył rozrywający ból, a z gardła wyrwał się wrzask. Wtedy został trafiony po raz drugi. Tym razem w ramię. Zrozumiał, że strzelec próbuje go dobić. Zerknął w kierunku okna, które zaraz zostało zasypane lawiną pocisków. Dostrzegł, że postać schowała się w ciemnościach domu na krótką chwilę. Zdławił w sobie ból, mocno zagryzł zęby i nadludzkim wysiłkiem spróbował przeczołgać się chociaż kilka metrów. Bezskutecznie. Nie czuł prawej ręki. Spojrzał na nią, by się upewnić, że dłoń jest na swoim miejscu. Gdy ją zobaczył, poczuł ulgę. Zrozumiał, że w tej patowej sytuacji

jedyną jego nadzieją jest udawać martwego.

Proca i Wódz nie mieli za ścianą zbyt wiele wytchnienia. Szybka ocena ran na ciele funkcjonariusza pozwoliła określić, że potrzebuje on natychmiastowej pomocy medycznej. Miał zakrwawioną nogę i trudności z oddychaniem. Niewiele mogli zrobić w warunkach bojowych ponad założony naprędce opatrunek.

– Masz radio? – zapytał Wódz rannego.

– Nie działa.

– Dasz radę iść sam?

– Nie wiem... Zależy, jak daleko.

Kiedy Wódz mocował się z opatrunkiem, Berg przysunął się do rogu domu, aby ponownie ocenić sytuację pod frontową ścianą. Ostrzał nie ustawał. Policjantom udało się wyciągnąć z linii ognia większość rannych kolegów, jednak sztabowy dostrzegł jeszcze jednego. Mężczyzna leżał nieruchomo. Nie miał na sobie charakterystycznego plamiaka antyterrorystów, więc musiał to być jeden z ich wydziału. Marecki.

Już miał wyjść z ukrycia, kiedy Wódz złapał go za kamizelkę i mocno szarpnął w tył.

– Nie pójdziesz sam! – warknął, po czym wysunął się zza ściany, by zobaczyć, co się tam dzieje.

Marecki może udawał martwego, a może po prostu nie mógł się poruszyć. W każdym razie złapał z przyjacielem kontakt wzrokowy, co na krótką chwilę uspokoiło nadkomisarza Wodzińskiego.

– Wodzu! Za landem!

Berg wskazał palcem na stojący w pobliżu policyjny land rover i paru chroniących się za nim funkcjonariuszy. To właśnie oni, choć najbardziej w tym momencie ostrzeliwani, mieli najlepszy widok na okno i najlepszą możliwość trafienia przestępcy.

Nadkomisarz zawołał w kierunku jednego z policjantów. Jego głos ledwo przebijał się przez kanonadę strzałów, ale po chwili mężczyzna zareagował.

– Idziemy po naszego! – krzyknął Wodziński i dodał to tego kilka oczywistych gestów.

Jego intencje były dla reszty jasne jak słońce. Funkcjonariusze przygotowali się do odpowiedzenia ogniem.

34

„Wyciągniemy cię stąd”

Proca i Wódz czekali przyczajeni za rogiem ściany. Wymiana spojrzeń i gestów była jedynym dostępnym środkiem komunikacji z ukrytymi za land roverem policjantami. Wystarczyła, by zakomunikować oczywiste – zamierzali ratować Mareckiego.

– Idziemy, jak tylko zaczną strzelać. Ja go pociągnę, a ty osłaniaj – zarządził Wodziński, nie pozostawiając pola do dyskusji.

Berg przytaknął i ułożył sobie w rękach pistolet maszynowy. Czekał na znak.

Kiedy tylko ukryci za samochodem funkcjonariusze posłali w kierunku domu grad pocisków, Proca i Wodziński wyszli z ukrycia. Sztabowy wycelował w okno, wypatrując w nim najmniejszego ruchu. Oddał w pustkę kilka oszczędnych strzałów. Wzmoczona siła ognia zagłuszyła wszystkie inne dźwięki. Marecki pewnie wiedział, że przyjaciele już po niego idą, ale nadal tkwił w bezruchu. Dzieląca ich odległość wydawała się teraz znacznie większa, niż Proca ocenił to na oko.

W końcu do niego dotarli. Wódz złapał przyjaciela za rękę i z okrutnym wysiłkiem zaczął ciągnąć go po ziemi.

– Nie czuję ręki, stary – wyjęczał Marecki. – I noga cholernie mnie boli.

Nadkomisarz zerknął przelotnie na nieruchomą nogę przyjaciela. Wyglądała całkiem bezwładnie. Jednak aspirant żył i narzekał, co było bardzo budujące.

– Nie martw się – wysapał Wódz. – Wyciągniemy cię stąd. Będzie dobrze!

Gdy znaleźli się za bezpieczną ścianą, Proca ściągnął z rannego policjanta

przewieszony przez ciało glauberyt. Odpiął pas nośny, by użyć go jako prowizorycznej opaski uciskowej, i zawiązał go na broczącej nodze kolegi. Odrealniony widok krwi i wykrzywionej bólem twarzy Mareckiego uzmysłowił Bergowi, w jak poważnych kłopotach się znaleźli. Jakby dopiero wtedy zrozumiał, że mogą nie wyjść z tego żywi.

Marecki jęczał z bólu. Tracił dużo krwi. Wtedy coś przetoczyło się nad ich głowami.

– Granat! – krzyknął Proca.

Wódz przywarł do ściany, osłaniając Mareckiego ciałem. Poczuli silny podmuch powietrza.

35

„Nie możemy czekać na pomoc”

Granat upadł dalej, niż życzył sobie tego broniący dostępu do domu bandyta. Przeleciał nad zadaszeniem nad głowami policjantów i następnie za ogrodzenie.

– Rzucają z okna w dachu! – zawołał jeden z antyterrorystów, chroniący się za pobliskim drzewem.

Chwilę później z okna wypadł drugi granat. Bandyta pewnie pomyślał, że skoro pierwszy, rzucony, upadł za daleko, może drugi, lekko staczający się z pochyłego dachu garażowego, okaże się skuteczniejszy. Ten, wypuszczony z dłoni, poturlał się po zaśnieżonym dachu, zwalniając z każdym ułamkiem sekundy, aż w końcu zaczepił się o zlodowaciałą fałdę i wybuchł, nim dotarł do krawędzi.

Policjanci poczuli silny podmuch, jakby sam anioł śmierci przeleciał tuż nad ich głowami. Z dachu posypał się śnieg.

– Musimy ich stąd wyciągnąć! – powiedział Wódz, patrząc na dwóch rannych policjantów.

Nie mieli wątpliwości, że to Marecki doznał poważniejszych obrażeń i że jeśli szybko nie zadziałają, umrze z wykrwawienia i wychłodzenia.

Nagle przy drugim końcu ściany pojawiła się jakaś postać. Berg zdążył wycelować w przybysza, ale szybko opuścił lufę, dostrzegając jego charakterystyczne cętkowane odzienie. Mężczyzna miał na sobie plamiak i sapał, przyciskając do piersi pistolet maszynowy.

– Jak to wygląda na tyłach? – zapytał Wódz, podchodząc do funkcjonariusza.

– Chłopaki trzymają pozycje. Odpowiadają ogniem, ale z balkonu sypią się granaty i serie z kałacha!

– To samo z przodu. Ranni?

– Kilku.

– Widziałeś Dukowskiego?! – rzucił Proca, obawiając się, że jego przyjaciel może potrzebować pomocy tak jak Marecki.

– Nie widziałem. Rozproszyliśmy się.

– Weźmiecie z Procą rannych i wyprowadzicie ich z tego piekła. Masz radio?

– Mam, ale jest bezużyteczne.

– Dlaczego?

– Podobno ktoś zostawił włączoną radiostację w samochodzie! Jak nadajemy, to wszystko sływać!

Wódz zaklął siarczyście. Nie mogli porozumieć się z odwodem, nie mieli połączenia z dowództwem. Pozostało im jedynie liczyć na to, że na drodze czekała już karetka i że za chwilę pojawi się wsparcie.

Spojrzał na bladą twarz Mareckiego. Przyjaciel trząsał się z zimna.

– Nie możemy czekać na pomoc – stwierdził Wodziński po chwili. – Jak nasi odpowiedzą ogniem, wyjdę z wami i będę was osłaniał do landa. Dalej idziecie sami.

– Zostajesz tutaj?! – rzucił Berg, łapiąc już ledwo przytomnego Mareckiego pod ramię.

– Nie zostawię swoich ludzi, Proca. Wyciągnijcie go i przekazcie dowództwu, że marnie u nas z amunicją.

– Weź mój magazynek – wysapał Marecki. – I tak nie czuję łapy.

Wódz wyciągnął pełny magazynek z ładownicy przyjaciela. Wszyscy ustawili się w szyku do ewakuacji, pomagając rannym utrzymać się na nogach. Marecki wisiał na barkach przyjaciół jak przyciężki fantom ćwiczebny. Natomiast drugi postrzelony funkcjonariusz wsparł się na ramieniu kolegi, trzymając go kurczowo jako ostatniej deski ratunku.

„Nadal mogę walczyć”

Berg zacisnął mocniej dłoń na przedramieniu Mareckiego, który wydawał się ważyć tonę. Jego omdlewające ciało ciągnęło młodego sierżanta ku ziemi. Niewiele pomógł fakt, że z drugiej strony trzymał go inny policjant. Wciąż walcząc o równowagę i stabilność, wyszli z ukrycia. Wódz i reszta zdolnych do walki policjantów zapewniali im osłonę ogniową, jednak nawet z nią nie mogli czuć się bezpiecznie.

Pokonanie każdego kolejnego metra było katorgą. Śliska, nierówna ziemia, ciężący na barkach kolega, trudny do wytrzymania hałas i świadomość, że w każdym momencie można stracić życie, sprawiły, że jakaś część Berga chciała się znaleźć jak najdalej stąd. Brama wcale nie była daleko, ale dotarcie do niej zdawało się trwać o wiele za długo!

Gdy wreszcie weszli na drogę dojazdową, Proca spojrział na rząd policyjnych samochodów i na jego końcu dostrzegł błyskającą światłami karetkę.

– Kurwa, jak daleko – wysapał, opadając z sił.

Marecki uniósł głowę i zobaczył ambulans jakieś dwieście metrów od nich.

– Bliżej nie podjadą – jęknął. – Za duże ryzyko...

Nie byli jeszcze bezpieczni. Zabłąkane pociski nadal mogły ich dosięgnąć, więc Berg nie zwalniał kroku. Kiedy już zaczynało brakować mu tchu, podbiegło do nich paru funkcjonariuszy. Ktoś powiedział, żeby wsadzili rannych do samochodu.

– Podwieziemy ich do karetki! Będzie szybciej!

Moment, w którym przejęto od Berga Mareckiego, dodał mu wiary we własne siły.

Nagle poczuł się lekki jak piórko i gotowy do dalszej walki. Musiał tylko chwilę odetchnąć.

Marecki wył z bólu, kiedy wciągali go na tył wozu. Wrzeszczał, żeby go nie dotykali, bo każdy dotyk powodował straszliwe cierpienie, ale nie było innego sposobu. Kiedy odjechali z nim w kierunku karetki, Berg przystanął, popatrzył na oddalone światła samotnego ambulansu i pomyślał, że to za mało. Rannych było kilku, a może ich być jeszcze więcej. Oparł dłonie na kolanach i poczuł, że zaczęły drżeć. Z wysiłku? Ze strachu? Z emocji? Nie zastanawiał się nad powodem, chciał jedynie, aby przestały.

Nagle poczuł mocne klepnięcie w ramię. Był to naczelnik wydziału. Z jego oczu biły jednocześnie strach i chęć działania.

– Jak wygląda sytuacja?! Co wybuchło? Ilu rannych? – pytał, nie dając sierżantowi dojść do słowa.

– Zaczyna brakować amunicji – odparł sztabowy, ruszając drogą w kierunku posesji. Naczelnik szedł równo z nim.

– Ilu rannych?

– Wielu. Jedni są zdolni do walki, innych próbujemy stamtąd wyciągać. Dojadą jeszcze jakieś karetki?

– Są w drodze. Co z tym wybuchem?! Co to było?!

– Coś przy drzwiach...

– A radio?! Nie mamy łączności...

– Bezużyteczne. Ktoś zostawił włączoną radiostację w landzie i bandyci wszystko słyszą.

Gdy dotarli do transita, w którym znajdował się sprzęt i amunicja, kierownik rozkazał wydać zapas dla walczących zespołów. Wzdłuż drogi biegali ranni funkcjonariusze. Widocznie wyciągnięcie Mareckiego z pola bitwy przetarło szlak dla reszty. Ci mniej poszkodowani pomagali ciężej rannym kolegom. Wszyscy zmierzali w kierunku karetki. Berg zerkał na ich twarze, próbując w ciemności wypatrzeć Wodza, Dzikiego albo Adasia. Jednocześnie wypychał sobie kieszenie magazynkami, a następnie przejął od naczelnika torbę wyładowaną amunicją.

– Dostarczę ją – powiedział.

– Wracasz?!

– Nie jestem ranny.

Naczelnik spojrzał mu w oczy krótko, lecz intensywnie. Nic nie pozostało z gniewu i pogardy, jakie wylał ostatnio na podwładnego, gdy przebywali w bezpiecznym biurze.

– Przekaż chłopakom, że karetka już jest – powiedział z przejęciem. – Spróbujemy wjechać samochodem pancernym na posesję od drugiej ulicy, żebyście mogli wyciągać tamtędy rannych. Musimy tylko ściągnąć kierowcę. Nadal dowodzi komisarz Stasiak.

– Naczelniku, widziałem, że Stasiak oberwał. Stał przy samych drzwiach. Co, jeżeli nie będzie w stanie wydawać rozkazów?

– Nadal dowodzą chłopaki z AT. Jak nie Stasiak, to Bełza lub Halicki. Ty się trzymaj Wodzińskiego!

Proca przytaknął, po czym truchtem ruszył w kierunku posesji. Nagle mignęła mu przed oczami znajoma twarz. Był to podkomisarz Bełza, antyterrorysta, który dowodził zewnętrznym zespołem. Berg zatrzymał go, oceniając na oko jego obrażenia. Mężczyzna mocno kulał, a iść pomagał mu kolega.

– Widziałeś Adama Dukowskiego?! Był razem z wami!

– To ten rozgadany od was?

– Tak!

– Schował się za drzewem na tyłach. Dwóch waszych robiło nam zasłonę ogniową. Z kolegami wyciągnąłem dwóch rannych, ale teraz sam dostałem. A ty dokąd?

– Wracam z amunicją.

– Zaczekaj! Weź mojego glocka. Przed chwilą zmieniałem magazynek, jest pełny.

Mężczyzna wyciągnął z kabury broń i podał ją Bergowi.

Sztabowy przejął pistolet, po czym ponownie ruszył ku linii frontu. Biegąc, zobaczył, jak jeden z funkcjonariuszy wciąga do samochodu rannego komisarza Stasiaka, by podwieźć go bliżej karetki. Walczących było coraz mniej, a wsparcie z AT nadal nie przyjeżdżało.

37

„Nie prowokuj losu!”

Kiedy Proca wbiegał ponownie na ogrodzony teren, ostrzał nie ustawał. Deszcz pocisków spadał właśnie na land rovera, za którym chronił się Wódz i trzech innych policjantów.

Berg przystanął za pierwszym drzewem. Dostrzegł, że Wodziński próbował zrobić sobie prowizoryczny opatrunek na nodze. Reszta chłopaków siedziała obok niego, czekając na okazję do odpowiedzi ogniem. Proca puścił serię w kierunku okna i przemieszczając się sprawnie, dotarł do samochodu. Gdy tylko usiadł za osłoną, Wódz z furią bijącą z błyszczących oczu warknął:

– Dlaczego wróciłeś?!

– Przecież was nie zostawię! Nadal nie wiadomo, co z Adasiem i Dzikim! Przyniosłem amunicję.

– To, że udało ci się wyciągnąć Mareckiego, uznaję za cud, a ty jeszcze wróciłeś! Koniec biegania, Proca! Nie prowokuj losu!

Sztabowy otworzył torbę i rozdał kolegom amunicję. Potem spojrzął na owiniętą opaską nogę dowódcy.

– Dostałeś...

– Mam śrubę w udzie, uwierzysz?! Musieli naładować żelastwem bombę przy drzwiach. Ból poczułem dopiero przed chwilą.

– Karetka już jest, chwilowo tylko jedna. Stoi jakieś dwieście metrów stąd i bliżej nie podjedzie...

- Nie dziwi mnie to, ale jedna to za mało...
- Reszta zaraz dotrze i dzwonił już po wsparcie.
- Powiedzieli jakie?
- Ma przyjechać wóz pancerny. To trochę zajmie, nim uda się ściągnąć kierowcę.

Dowódca Stasiak jest ranny, Bełza też. Halickiego nigdzie nie widziałem.

- Widziałeś Bełzę? Mówił coś o naszych?
- Nie wiedział, co z nimi.
- Nadal słychać stamtąd strzały, więc jeszcze walczą – ocenił z nadzieją Wodziński.

Intensywny ostrzał z frontowego okna na chwilę ustał, więc Proca wychylił się zza osłony, oparł łokcie na masce samochodu i wycelował z pistoletu maszynowego w okno. Ściągnął brwi, przymrużył oczy, próbując wypatrzeć jakąś sylwetkę, ale widział jedynie ciemność. Po chwili dostrzegł niewielkie poruszenie i puścił krótką serię w kierunku strzelca. Ten nie odpowiedział ogniem. Nastąpił moment względnej ciszy, a potem z okna wyleciał granat.

„Nie przekażę twojej żonie żadnych ostatnich słów!”

Niewielki, a zarazem śmiercionośny przedmiot, mogący rozerwać człowieka na pół, wyraźnie zmierzał w kierunku land rovera.

– Granat! – wykrzyknął Berg, przerywając celowanie.

Instynkt ponownie kazał mu uciekać. Złapał Wodza za ramię i razem rzucili się do ucieczki w kierunku frontowych drzwi budynku. Nie dobiegli jeszcze do ściany, gdy za ich plecami nastąpiła eksplozja. Ogłuszeni wybuchem, padli na stwardniały śnieg. Wydawało im się, jakby na krótką chwilę ucichły strzały, krzyki, trzaski i detonacje. Gdy jednak Berg otworzył oczy, to wszystko wróciło. Otaczał go niemożliwy do zniesienia hałas.

Jeden rzut oka na Wodza i oprzytomniał. Tomasz był już prawie przy ścianie, a ostatnie dzielące go od niej metry pokonywał, szorując brzuchem po ziemi. Berg widział jedynie jego oblepione śnieżnym błotem podeszwy, które oddalały się z każdą kolejną sekundą. Zrozumiał, że jest jak kaczka wystawiona na strzał. Mógł oberwać w każdej chwili. Wsparł się na przedramionach i wykorzystując ich siłę, czołgał się po zmarzniętej ziemi, upstrzonej plamkami krwi. Nie miał pojęcia, czy krew należała do niego, do Wodza, czy może do kogoś jeszcze innego. Odpychał się nogami, by zwiększyć prędkość, która nadal wydawała się niewystarczająca. Opanowało go wrażenie, że czas pędził, a on poruszał się w zwolnionym tempie. Zupełnie jak we śnie.

Po raz pierwszy tej nocy zaświtało mu w głowie pytanie, po co cały ten wysiłek.

Czy było warto tak się narażać?! W jednej chwili wszystko, z czym zmagał się w swojej codzienności, zeszło na dalszy plan. Liczyło się jedno: przeżyć, dotrzeć do schronienia, nim przestępca go wypatrzy.

Gdy dostał się za zasłonę, poczuł się jak zwycięzca. Nie wygrał wojny, ale z pewnością swoją niewielką bitwę o życie. Podobnie jak Wódz i kilku innych, którzy znaleźli schronienie w tym miejscu. Odetchnął i obejrzał się za siebie.

Niektórym policjantom udało się uciec z za samochodu. Ranni czołgali się w kierunku bramy. Był to dla nich katorżniczy wysiłek, którego zaniechanie mogło mieć jednak fatalne skutki. Jedni po przekroczeniu bramy znajdowali schronienie za samochodami. Dla innych pobliskie drzewa były jedynym schronieniem, na jakie mogli liczyć.

Berg przywarł do ściany. Miał teraz całkiem inny widok na toczącą się walkę. Podchodząc do krawędzi, mógł zobaczyć, jak sytuacja wygląda na tyłach budynku. Spojrzeniem szukał Adama Dukowskiego, ale nie dostrzegał go nigdzie.

Drzwi wejściowe płonęły, a ogień kipiał czarnym dymem. Pożar musiał być spowodowany eksplozją ukrytej przy nich bomby. Nie było mowy, by wdrzeć się do środka. Wszyscy mieli w głowie jedną myśl. Czy w pewnym momencie nie wybuchnie kolejny ładunek? Pod ich stopami dzwoniły setki śrubek, gwoździ oraz metalowych nakrętek. Silny ogień zaporowy uniemożliwiał im zmianę pozycji. Chociaż byli chwilowo bezpieczni, znaleźli się w pułapce, z której nie mogli prowadzić skutecznej walki.

Nagle od strony tarasu nadbiegł funkcjonariusz w oporządzeniu wydziału do walki z terrorem. Miał usmarowaną twarz i Proca ledwo rozpoznał, że to Dziki.

– Gdzie jest Adaś?! – Dopadł do kolegi, nie zważając, że ten ledwo trzyma się na nogach.

– Adam oberwał – wysapał Dziki i osunął się po ścianie. – Rzucili granat. Widziałem, że Dukowskiego odrzuciło. Strzelali do niego, żeby dobić.

– Ktoś go zabrał?! Żyje?!

– Ktoś przeciągnął go za drzewa.

W pobliżu rozległ się warkot silnika. Policyjny land rover próbował staranować ogrodzenie, by stworzyć drugą drogę ewakuacji dla rannych. Kierowca docisnął gaz i po chwili siatka ustąpiła.

Wódz rozkazał, by mniej ranni pomogli bardziej uszkodzonym dotrzeć do samochodu. Sam złapał jednego za ramię i podniósł go z ziemi. Proca wraz z innym funkcjonariuszem byli jedynymi, których jeszcze nie dosięgnął żaden z pocisków ani odłamków. Mieli osłaniać pozostałych.

Wszyscy ruszyli w kierunku landa. Przeciągnęli rannych przez ogrodzenie z jednej strony samochodu, a z drugiej na teren weszło paru rezerwowych funkcjonariuszy. Świeża siła. Świeża krew.

Proca przykucnął przy wozie, skąd miał jeszcze lepszy widok na tyły budynku. Z sercem walącym jak szalone próbował wypatrzeć Adama.

– Widzę ich, tam, za drzewami! – powiedział Wódz, kucając obok Procy.

Rzeczywiście, we wskazanym przez niego miejscu kryło się dwóch ludzi. Jeden z nich odpowiadał ogniem w kierunku balkonu.

– Nawet, jak do nich dobiegniemy – rozważał głośno Wódz – nie będziemy mieli żadnej osłony.

– Weźmiemy tarczę. Mam jednego flashbanga. Rzucę go na balkon, będziemy mieli parę sekund, żeby wyciągnąć Adasia. Dasz radę? – zapytał Berg, zerkając na nogę dowódcy.

Wtedy obok nich pojawił się policjant, który przed chwilą staranował siatkę.

– Wychodzicie? – zapytał.

– Nie – odparł Wodziński bez zwłoki. – Zostajemy. Macie tarczę w rezerwie?

– Jest jedna w samochodzie! – potwierdził policjant i po chwili wręczył im osłonę.

Wódz ułożył sobie masywną tarczę w dłoniach.

– Mam prośbę, Proca...

– Nie! Nie przekażę twojej żonie żadnych ostatnich słów!

– Nie to! Jak będziesz strzelał, traf skurwysyna w łeb! Ty umiesz takie rzeczy.

– Postaram się, ale gówno widać w tym oknie – odparł Berg, wyciągając z kieszeni granat błyskowy. Lewą rękę zacisnął na głauberycie.

– Poczekaj, aż skończy mu się magazynek. Wtedy ruszymy. Gotowy?

Przestępca krzychał coś, posyłając z okna serię rozbłyskujących, iskrzących się w ciemności strzałów. Jeszcze miał przewagę. Nie spodziewał się, że za chwilę nastąpi atak z lewej strony. Całe jego skupienie koncentrowało się na ostrzeliwaniu dwóch wysokich drzew i ukrywających się za nimi policjantach. Wiedział, że jeden z nich jest ranny. Widział, jak kumpel desperacko ciągnął go po ziemi w bezpieczniejsze miejsce. Daremny wysiłek. Dobije ich obu prędzej czy później.

Proca wziął spokojny, głęboki wdech. Powietrze śmierdziało prochem. Przekręcił trzymany w dłoni granat. Wyteżał słuch, wyczekując przerwy w hałasie. Moment ustania ciągłego ognia zaporowego miał być dla nich sygnałem.

Wodziński stał tuż przed nim. Trzymając przed sobą tarczę, ruszył nagle w kierunku drzew.

„Tym razem zabrakło mi szczęścia”

Chwila wolna od serii wystrzałów trwała bardzo krótko. Po skończonym magazynku strzelec nie miał zamiaru go wymieniać. Po prostu odrzucił broń i chwycił kolejną, naładowaną, gotową do użycia. Nim jednak oddał pierwszy strzał, balkon rozbłysnął jasnym światłem i w górę uleciał kłęb dymu. Granat na chwilę oślepił przestępcę, a przez gęstą noc przedarły się jego krzyk złości i seria wulgaryzmów. Był zmuszony wycofać się na moment, ale nie miał zamiaru zwlekać zbyt długo. Ściskając w dłoniach karabinek, dotarł ponownie do okna, lecz nim nacisnął spust, znowu ktoś go uprzedził. Jakiś wściekły policjant ostrzeliwał balkon, uniemożliwiając mu działanie.

Berg zakończył ostrzał dopiero, gdy wraz z Wodzem dotarli do drzew.

– Zdychajcie, psy! – zabrzmiało wołanie z okna i ponowiła się kanonada.

Drzewa nie najlepiej ich chroniły. Kiedy Wódz opierał tarczę o jedno z nich, by zapewnić nieco większą osłonę, Proca dopadł do leżącego na ziemi przyjaciela. Szybko zrozumiał, że obrażenia były poważne. Młodszy aspirant Adam Dukowski miał bladą twarz, a jego umundurowanie kleiło się od krwi. W niczym nie przypominał entuzjastycznego, wiecznie gadającego optymisty.

– Dostałem odłamkami, Proca – wyjęczał, dostrzegając nad sobą zatroskaną twarz przyjaciela.

– Widzę. Nie gadaj już. Wyciągnę cię stąd.

– Cholernie boli!

– Wiem, stary. Będzie dobrze. Na drodze są karetki...
– Jak huknęła bomba, bałem się, że już po tobie. – Ranny uśmiechnął się słabo. Odkasznął.

– Ja mam dużo żyć, Adaś – odparł Berg, próbując zlokalizować najpoważniejsze rany na ciele aspiranta.

Miał poszarpane nogi i ręce, ale to, co najgorsze, znajdowało się pod skórą. Kamizelka kuloodporna chroniła od pocisków pędzących szybciej niż prędkość dźwięku, jednak nie zdołała oprzeć się sile wybuchu granatu. Fala uderzeniowa mogła uszkodzić narządy wewnętrzne, a odłamki penetrowały niechronione części ciała równie agresywnie jak pociski.

Proca zaczął rozpinać Adamowi kamizelkę, ale ten chwycił jego nadgarstki i stanowczo wycharczał:

– Zostaw! – Po czym już łagodniej dodał: – Tym razem zabrakło mi szczęścia. – Spojrzał przyjacielowi w oczy ze słabym uśmiechem, póki fala bólu nie wykrzywiła jego twarzy.

Kłęczący obok nich antyterrorysta krzyknął coś, ale nim Proca zrozumiał, co to było, obok nich wylądował kolejny granat. Wódz przytrzymał tarczę, jednak siła wybuchu i tak powaliła wszystkich na ziemię.

40

„Ja gram tylko z tobą!”

Potrzebowali chwili, by dojść do siebie po wybuchu. Gdy Proca otworzył oczy, zobaczył opadające na ziemię płaty czarnego śniegu. Spojrzał na Wodza, który poruszał ustami – mówił coś, ale przez moment sztabowy słyszał tylko jednostajny pisk, potem strzały i dopiero później słowa.

– Trzeba go wynieść! – krzyknął Wódz. – Osłonię was, a wy dociągniecie Adama do landa! Jak masz na imię? – zapytał zamaskowanego funkcjonariusza, który do tej pory trzymał z Adasiem pozycję.

– Wojtas – odparł mężczyzna.

– Masz jakieś granaty?

– Nie i słabo z amunicją. Wykańczam przedostatni magazynek do MP, potem już tylko krótka...

Adaś mocno złapał przyjaciela za przedramię. Trzymał go kurczowo i próbował coś powiedzieć. Berg nachylił się nad nim, choć wolałby już ruszyć do karetki.

– No co? – zapytał, odruchowo chowając głowę, gdy kilka pocisków uderzyło w chroniące ich drzewa, aż w powietrze wzbija się kora.

– Przypilnuj... żeby zespół częściej... robił próby.

– Bez ciebie to żaden zespół, Adaś! Jak mi teraz fkniesz, to przysięgam, że więcej nie wezmę gitary do ręki! Ja gram tylko z tobą! Rozumiesz, kurwa?! To poważna sprawa, stary, więc mi tutaj nie umieraj!

– Miałeś rację... że grałem za wolno.

– Grałeś idealnie. Najlepiej, do cholery! – odparł Proca i nerwowo otarł ciskające się do oczu łzy złości. – Wyniosę cię stąd, słyszysz?! – powtórzył, po czym klepnął przyjaciela w policzek. – Nie odpływaj, stary! Nie odpływaj, mówię! Zostań ze mną!

Adam przymknął oczy, ale szybko otworzył je ponownie.

– Wypiłbym szota – powiedział prawie niedosłyszalnie.

– Ja też! – odparł Berg. – Jesteśmy umówieni, pamiętasz?! Po akcji, u mnie! Dopijemy tę whisky, którą ostatnio przyniosłem. Co ty na to?

Adam nie odpowiedział. Wpatrywał się niemo w zawieszone nad nimi niebo, jakby dostrzegał migoczące gwiazdy. Ale gwiazd nie było tej nocy. Niebo przysłoniły ciężkie chmury, z których zaczynał padać śnieg. Kilka lodowatych płatków spoczęło na policzkach Dukowskiego, na jego powiekach. Potem rozluźniły się mięśnie jego twarzy. Wyglądał teraz spokojnie. Jakby zatopił się w błogim i bezpiecznym śnie.

41

„Nie zawieźdź mnie teraz!”

Ostrzał nie ustawał. Gdy przestrzeń wokół huczała i trzęsła się, by znaleźć kolejną ofiarę, Proca wydawał się utracić wszelką wolę walki – jakby nie miał już dobrego powodu, aby ją kontynuować. Drżącymi dłońmi złapał Adama za kamizelkę i nie oglądając się na nikogo, próbował podnieść jego bezwładne ciało. Tak jak planowali, zamierzał przenieść go jak najdalej od tego piekła.

Z chwilowego oszołomienia wyrwał go stanowczy krzyk dowódcy.

- Zostaw go!
- Mogą go jeszcze reanimować!
- On nie żyje! Przykro mi, Proca, ale on nie żyje! Stracił za dużo krwi, reanimacja mu nie pomoże, a my nie dotrzemy do karetki w jednym kawałku!
- Nie wiesz tego! – syknął Berg, patrząc wrogo na dowódcę. W jego przekrwionych oczach błyszczały łzy.

Nadkomisarz dopadł do niego, złapał go agresywnie za kamizelkę i przyciągnął do siebie tak blisko, że Proca poczuł jego oddech. Patrzyli sobie prosto w oczy bez cienia wahania. Jeden trwał jak rzeźba wyciosana z lodu, drugi jak płomień, który robił wszystko, by nie stracić hartu ducha.

- Musimy utrzymać pozycję i przeżyć! Rozumiesz rozkaz, kurwa?! Proca, nie zawieźdź mnie teraz! Potrzebuję cię!

Berg złapał dowódcę za nadgarstek, ale ten nie puszczał jego kamizelki, dopóki sztabowy nie przytaknął.

– Walczymy do końca, tak?!

– Tak jest... – odparł Proca cicho, choć stanowczo, po czym wyjął zza pasa otrzymanego od jednego z ataków glocka. Ustawił się w szparze między dwoma drzewami i wymierzył w światło okna. Ledwo widział zarys ciemnej postaci, jednak po chwili zdecydował się oddać kilka strzałów. Nagle postać zniknęła, a z okna wypadł kałasznikow.

– Trafieś skurwysyna! – rzucił kucający obok Wojtas i z uznaniem poklepał Berga po plecach.

Strzał nie był jednak wystarczająco skuteczny. Po chwili w oknie pojawiła się kolejna lufa, a z niej posypał się grad pocisków.

– Ostatni magazynek – powiedział antyterrorysta, spuszczać zamek MP5. – Długo nie utrzymamy tej pozycji bez amunicji.

Wodziński spojrzał w kierunku samochodu. Każdemu z nich kończyły się naboje. Ich brak zostanie szybko zauważony przez bandytów, którzy mogliby spróbować ucieczki przez niechronioną stronę posesji. Nie mogli do tego dopuścić. Ponieśli zbyt wiele strat, żeby się teraz wycofać.

Proca ponownie nachylił się nad ciałem przyjaciela. Mieszanka głębokiego żalu oraz gniewu próbowała się przebić na powierzchnię, jednak zdławił te uczucia w zarodku. Wiedział, że musi utrzymać je w ryzach, jeżeli chce dalej efektywnie walczyć, chronić życie swoje i stojących obok kolegów. Wyciągnął magazynek, który miał przy sobie Adaś, i przełożył go do swojego glauberyta. „Trzeba walczyć do końca” – powtarzał sobie w myślach. Do samego końca! Jakikolwiek on będzie!

– Pobiegnę po amunicję.

– Weź tarczę – odparł Wodziński bez wahania. W innych okolicznościach zaprotestowałby wobec heroicznych zapędów sztabowego, ale miał świadomość, że Proca jest od niego szybszy. Szczególnie teraz, gdy on sam miał dziurę w udzie, z której bez przerwy sączyła się krew.

Proca zmienił pozycję, przygotowując się do biegu.

– Tarcza będzie mnie spowalniać – ocenił. – Niech zostanie tutaj.

– Słuchaj, co do ciebie mówię, kurwa! – uniósł się nadkomisarz. To nie był czas na dyskusje i podważanie słów dowódcy. – Masz wykonywać rozkazy, Proca! Bierz tarczę, zasuwasz po amunicję i nie daj się, kurwa, zastrzelić!

– Nie zastrzelą mnie, Wodzu. Nie zastrzelą!

Poderwał się z tarczą balistyczną w dłoniach. Jej waga uniemożliwiała szybki bieg, ale prędkość nie miała teraz większego znaczenia. Nawet gdyby pędził ile sił w nogach, i tak nie byłby szybszy od lecących w jego stronę pocisków.

Wojtas z Wodzińskim prowadzili dość oszczędny ogień osłonowy, a z okna konsekwentnie padała odpowiedź.

Berg przesuwał się metr po metrze, irytując tym samym nieustępliwego bandytę. Seria z karabinku podążała krok w krok za sierżantem sztabowym, aż w końcu dotarła do tarczy. Poczul, jak siła wielokrotnie uderzających w nią pocisków napiera, by powalić go na ziemię. Potem kierunek ognia uległ zmianie. Skoncentrował się na drzewach osłaniających policjantów.

42

„To nie moja krew”

Zostawił tarczę przy land roverze i pobiegł w stronę wozu technicznego. Czuł dziwną niestabilność w lewej nodze. Zignorował ją. Zdyszany dopadł do transita.

– Potrzebna amunicja na tyły!

Tak jak poprzednio dostał zapas, choć nieco szczuplejszy.

– Nie ma więcej?! – zapytał z wyrzutem.

– Dowiozą za pięć minut. Będą też karabinki.

– Nie mam czasu! Chłopaki ciągną już na krótkiej. Jak będą karabinki, niech ktoś nam doniesie! Masz jeszcze granaty?

– Tylko UGŁ-y. Naczelnik wydał zgodę na ich użycie.

– Dawaj, co masz.

Funkcjonariusz wpakował kilka granatów chemicznych do niewielkiej torby. Podał ją Bergowi, lecz nie puścił paska.

– Krwawisz...

– Nie, to nie moja krew.

– Krwawisz – powtórzył policjant, wskazując na purpurową nogę sierżanta.

Proca był w szoku. Adrenalina skutecznie wyłączyła receptory. Nie czuł jeszcze bólu, choć faktycznie patrzył na poszarpane spodnie i spływającą po nich krew. Zdawało mu się, że noga nie należy do niego. Nim zareagował, kolega wydający amunicję zaczął zakładać mu prowizoryczny opatrunek.

– Idź do karetki – powiedział. – Pewnie dostałeś odłamkami granatu. Ktoś inny

dostarczy amunicję.

– Nie! Mam rozkazy od dowódcy! – zaprotestował Berg. Sam pospiesznie dokończył zawijanie bandaża, złapał torbę z granatami i ruszył w kierunku wyrwy w siatce.

Pieczenie w nodze poczuł dopiero, gdy dotarł do landa. Oparł się o samochód i ułożył w dłoni ciężką tarczę. „To tylko kilka odłamków” – pomyślał uspokajająco, widząc, że opatrunek nasiąknął już czerwienią.

Okno na piętrze rozbłyskiwało jasnymi smugami światła. Wódz bezskutecznie próbował odpowiedzieć na ogień, ale nie znajdował dobrego momentu, by wychylić się zza osłony. Obok niego siedział Wojtas. Ten nie strzelał w ogóle. Proca nie wiedział, czy skończyła mu się amunicja, czy został ranny. Skupił myśli na zadaniu do wykonania. Należało dostarczyć amunicję i utrzymać pozycję przy drzewach.

43

„To żeś poigrał ze śmiercią”

Berg i Wodziński złapali kontakt wzrokowy. Nadkomisarz dał wyraźny znak, by Proca został przy samochodzie jeszcze przez chwilę. Potrzebował odpowiedniego momentu, żeby odpowiedzieć ogniem, a tym samym dać sierżantowi choć kilka sekund na dotarcie do drzew. Ale z okna wciąż padały strzały. Niemożliwa już do oszacowania liczba pocisków.

Przecież amunicja musi się im kiedyś skończyć!

Berg obserwował bezsilność Wodza wobec determinacji i nieustępliwości strzelca. Kiedy dowódca po raz kolejny wykonał nieudolną próbę wychylenia się zza drzewa, sztabowy postanowił działać.

Odstawił na bok tarczę balistyczną, wyciągnął z torby granat łzawiący i ocenił odległość dzielącą go od balkonu. Dorzuci. Już raz trafił. Wystarczyło to powtórzyć.

Ściągnął dolny oraz górny kapturek. Odpalił zapalnik potarką i walec zaczął dymić. Celnie rzucony, chwilę później wylądował na balkonie, tuż pod oknem na piętrze.

Drażniący chemiczny dym dał sierżantowi kilka sekund osłony wizualnej. Trzymając kurczowo tarczę, wyszedł z kryjówki przy samochodzie. Słyszał własny przyspieszony oddech, co oznaczało, że przez chwilę nie padały żadne strzały. Z trudem utrzymywał równowagę na zamarzniętym, skawalonym śniegu. Poczuł lekkie pieczenie oczu, jakby pod powieki dostało się kilka ziarenek piasku. To przez dym z granatu, który szybko się rozprzestrzenił.

Od policjantów dzieliło go około dziesięciu metrów. Już myślał, że mu się uda,

kiedy w połowie drogi potknął się o coś i stracił równowagę. Wylądował na tarczy, odsłaniając na ostrzał swoje plecy. Pomyślał, że to koniec. Popęłnił jeden głupi błąd, przez który straci życie. Potem usłyszał wznowioną kanonadę i poczuł silne uderzenie w głowę.

Przez chwilę nie mógł się poruszyć, jakby to krótkie, za to mocne uderzenie w izraelski hełm sparaliżowało całe jego ciało. Ale to nie strzał w głowę był bezpośrednią przyczyną nietypowego dla niego zamrożenia. Czuł, że śmierć gapi mu się prosto w oczy, patrzy na niego z góry, z szyderczym uśmiechem na twarzy. Od samego początku tej akcji bawił się z nią w berka, prowokował ją pewnością siebie. Jakby myślał, że jest wyjątkowy, że może ratować innych, a sam zostać nietknięty jej lodowatym oddechem. Żałosne. Potknął się, a teraz umrze. Przeszyje go seria z kałasznikowa i taki będzie koniec. Potem wszystko zniknie, ucichnie. Spotkają się z Adasiem w poczekalni po drugiej stronie życia i przedyskutują szereg błędów, jakie popełnili.

Nagle poczuł, że ktoś dźwiga go z ziemi.

– Wstawaj! – krzyknął Wódz, ciągnąc go w kierunku drzew.

Proca podniósł się i ostatnie metry pokonał już o własnych siłach. Gdy znaleźli się za zasłoną, przywarł plecami do drzewa i przykucnął, na nowo zbierając zmysły. Złapał rękami za hełm i wyczuł wyraźne wgłębienie. Z trudem łapał oddech, a wszystko wokół wydawało się całkiem odrealnione. Podniósł przepelnione wdzięcznością spojrzenie na Wodzińskiego. Ten oparł się o drzewo i wysapał:

– No to żeś, kurwa, poigrał ze śmiercią, Proca.

Nagle ogłuszył ich huk, a przez szparę między drzewami wcisnął się kłęb dymu, piasku i silny podmuch. Wyrzucony z okna granat wylądował tuż przed chroniącymi ich drzewami.

Proca odpłynął na krótką chwilę. Gdy się ocknął, leżał na czymś miękkim. Otworzył oczy i zrozumiał, że było to ciało Adasia. Piszcząco mu w uszach, a obraz pozostawał zamazany. Jego ciało było sztywne, ogarnięte bólem, jakby przed chwilą wskoczył pod rozpędzony samochód. Zdezorientowany potrząsnął głową, walcząc o szybkie odzyskanie zmysłów. Czuł ostry ból w prawym ramieniu. Zerknął tylko, by się upewnić, że ręka jest na swoim miejscu. Była, choć pewnie dosięgnął ją kolejny odłamek albo inne cholerstwo. Uniósł się nieco nad ciałem przyjaciela, obrócił i zaczął szukać wzrokiem dowódcy. Tomasz Wodziński wił się po ziemi.

44

Odchłań

Proca próbował się poderwać, ale nagle zdało mu się, że jego ciało i całe oporządzenie ważyły znacznie więcej. Zmusił się do zignorowania bólu. Wódz leżał parę metrów od niego i nie osłaniały go tam żadne drzewa. Przed chwilą ratował Berga, a teraz sam potrzebował pomocy. Sztabowy doczołgał się do niego, złapał go za nogi i mocno pociągnął, by przemieścić dowódcę w osłonięte miejsce. Z jego gardła wyrwał się jęk nadludzkiego wysiłku.

Wodziński był przytomny, ale nie zachowywał się racjonalnie. Nerwowo ruszał rękami i Berg szybko zrozumiał, że coś jest nie w porządku. Dopadł do głowy dowódcy i zobaczył, jak z jego zranionej szyi rytmicznie tryskała krew. Wodziński charczał, a jego spojrzenie płonęło panicznym strachem. Wiedział, że to ostatnie chwile jego życia. Śmierć ciągnęła go w otchłań, a on nie miał szans utrzymać się na powierzchni.

Proca zerwał z dłoni rękawiczki, odepchnął drżące ręce Tomasza od rany, wsadził w nią palce i zaczął szukać uszkodzonej tętnicy. Wyślizgiwała mu się, cofała w głąb szyi, ale nie poddawał się.

Po chwili w jego głowie pojawiła się prosta, lecz tragiczna myśl. Patrzył, jak Wodziński umiera, i nie mógł zrobić niczego, żeby temu zapobiec. Uciskanie rany nie pomagało. Ciepła krew przeciekała przez palce. W końcu wypływało jej coraz mniej. Tryskała coraz słabiej, aż zaczęła spokojnie cieknąć z rany. Ręce Wodzińskiego opadły bezradnie. Jego oczy się zamknęły, a ciało, targane dotąd

paniką, zamarło w bezruchu.

Kłęczący obok Wojtas obserwował bezradne zmagania kolegi. Kiedy zrozumiał, że Wodziński nie żyje, doładował broń przyniesioną przez sztabowego amunicją i kontynuował ostrzał.

Berg z niedowierzaniem patrzył na twarz Wodza. Przecież jeszcze przed chwilą tu był! Jeszcze przed chwilą wydawał mu rozkazy! Uśmiechnął się, gdy bezpiecznie dotarli za drzewa! Teraz leżał martwy obok Adama Dukowskiego. Skąpany we własnej krwi.

Proca odsunął od ciała swoje zakrwawione, drżące dłonie. Kleiły się. Wylał je o czarne umundurowanie, po czym sięgnął po leżące na ziemi rękawice. Były mokre, nasiąknięte krwią.

– Czekał – powiedział Wojtas i zaczął ściągać swoje rękawiczki. Podał je Bergowi.

Proca odmówił ruchem głowy. Potem przysunął się do ciała Adasia i rozebrał go z w miarę suchych rękawiczek. Adaś zawsze był dobrym przyjacielem. Gotowy, by pomagać, gotowy, by służyć.

45

„Zostanę do końca”

CZWARTEK, 6 MARCA, 2.55

W hałasie wybuchów, strzałów i krzyków pojawił się kolejny dźwięk. Brzmiał jak warkot silnika, ale Berg nie miał pewności. Bolało go prawe ucho i zdawało mu się, że piszczenie, które pojawiło się od wybuchu ostatniego granatu, nie ustawało. Spojrzał w kierunku źródła nowego dźwięku. Po chwili okazało się, że zmysł jednak go nie zwiódł. Na teren działki wjechał opancerzony wóz. Pod jego osłoną można było przetransportować rannych w bezpieczne miejsce.

Proca i Wojtas wytrwale bronili swojej pozycji. Odpowiadali konsekwentnie na padające z okna kanonady. Po jakimś czasie uświadomili sobie, że zrobiło się nieco ciszej. Okno nie rozbłyskiwało już pociskami smugowymi. Od kilku minut nie strzelono z niego ani raz, nie wyrzucono też żadnego granatu. Nikt nie ośmielił się jednak wyjść z za osłony, by podejść bliżej domu. Cierpliwie czekali na rozwój wypadków, na ruch ze strony przeciwnika.

W końcu zauważyli żółty blask bijący z okien budynku, jakby migoczącą w ciemnościach łunę. Wojtas wychylił się z za drzewa. Przymrużył oczy.

– W środku się pali – ocenił.

– Nasi tam są?! – zapytał Berg, wykorzystując chwilę spokoju na wymianę magazynka.

– Nie wiem. Nie widzę – odparł Wojtas.

Pożar szybko objął ścianę budynku od strony garażu, następnie cały parter, a potem zapaliło się również piętro. Ostrzał ustał całkowicie, ale policjanci usłyszeli wybuchającą w środku pod wpływem wysokiej temperatury amunicję. Trzaskom

nie było końca.

Od strony sforsowanej siatki do Berga i Wojtasa podbiegło dwóch funkcjonariuszy. Ich spojrzenia wylądowały na leżących na ziemi martwych ciałach. Jeden z nich wyciągnął z kieszeni telefon.

– Mamy na tyłach czterech... dwóch nie żyje. – Rozłączył się z posępnym wyrazem twarzy, po czym zapytał: – Potrzebujecie pomocy medycznej?

– On tak – rzucił Wojtas, skinąwszy na Berga.

– Zostanę do końca – zaprotestował Proca, nie odrywając wzroku od płonącego budynku. – Skąd ten pożar?

– Zaprószyło się od środka. Chyba w garażu. To już raczej koniec, panowie. Zostaniemy na pozycji, wy jedźcie do szpitala. Na miejscu już nie ogarniają sytuacji. Za dużo rannych.

Spojrzenie Berga opadło na ciała martwych przyjaciół.

– Przyjdzie ktoś po nich? – zapytał.

– Po zmarłych? Tak, kogoś przysła, tylko nie powiedzieli kiedy.

– Możemy ich wynieść – rzucił Wojtas. – Dasz radę?

Berg przytaknął. Złapał Adasia za ramiona, Wojtas podniósł go za nogi. Z ciała opadły na ziemię pył oraz śnieg.

Jeden z funkcjonariuszy poszedł wraz z nimi, żeby ich osłaniać. Powoli zaczynało do nich docierać, że bitwa dobiegła końca. Zostawili młodszego aspiranta przy samochodzie i wrócili po Wodza. Kiedy go donieśli, dwaj inni policjanci przykryli ciała plandeką.

– Nie zabieracie ich? – zapytał Berg, zdziwiony, że funkcjonariusze odchodzą.

– Nie – odparł jeden. – Kazali ich zostawić, dopóki nie przyjedzie prokurator z koronerem.

– Mają tutaj leżeć?! – krzyknął Proca, tracąc panowanie nad sobą.

Wojtas złapał go za ramię, próbując uspokoić rozżalonego sztabowego.

– Kto wydał takie polecenie? – zapytał. Podzielał oburzenie kolegi, ale nie miał już sił na konfrontację.

– Nie wiem kto – przyznał funkcjonariusz. – Nam tak przekazali, a my mówimy wam. Ciała na razie zostają.

Berg opadał z sił. Oparł się o land rovera, potem osunął się na ziemię.

Wojtas przykucnął obok niego.

– Naprawdę musisz jechać do szpitala, chłopaku.

– Pojadę, jak ktoś się nimi zajmie.

– Przecież nie zapomną o nich...

Zza landa wychylił się policjant, który wcześniej przykrył ciała plandeką.

– Prokurator i koroner będą za pół godziny.

Wojtas podziękował mu za informację, po czym zwrócił się do Berga:

– Już tu jadą. Co ty na to, że ja poczekam z chłopakami, a ty zabierzesz swój krwawiący tyłek na Szaserów?

– Poczekam.

– Uparty jesteś, chłopaku. Albo cholernie cierpliwy... – odparł Wojtas i przysiadł naprzeciwko Berga, opierając się o słupek ogrodzeniowy.

Od budynku buchało gorącem. Śnieg wokół domu topił się, odsłaniając czarną ziemię, pokrytą krwią, bronią oraz łuskami. Nie było już słychać nic prócz huku kotłujących się płomieni oraz skwierczenia spalających się materiałów.

Nie podjęto próby ugaszenia pożaru. Dowódca straży nie miał prawa zmuszać swoich podwładnych do tak ryzykownego działania, jak podejście do bandyckiej twierdzy, której nie zdobyły trzy zespoły szturmowe. Nie mogli mieć pewności, czy wokół budynku nie znajdowały się jeszcze miny lub inne materiały wybuchowe jak ten, od którego zaczęło się to piekło.

Wszyscy czekali, aż w budynku wypali się wszystko, co było do wypalenia. Gdy zniknęły płomienie, a ze zgliszczy ulatniał się wyłącznie dym, na teren wkroczyli pirotechnicy. Dopiero o godzinie 11.30 zakończyli działania i orzekli, że budynek jest wolny od wybuchowych pułapek. Berga nie było już w pobliżu. Nafaszerowany środkami przeciwbólowymi, odsypiał w szpitalu tę tragiczną noc.

46

„Nie weszliście do środka”

CZWARTEK, 6 MARCA, 16.15

Na gruntową drogę wjechała czarna honda civic. Samochód zaparkował na poboczu, przed szturmowanym w nocy domem. Kierowca nie wysiadł od razu. Przez chwilę obserwował budynek z dystansu. Gdy zdał sobie sprawę, że jego przyjazd wzbudził zainteresowanie kręcącej się wokoło policji, wysiadł z samochodu.

Wspierając się na jednej kuli, wolno ruszył do wyrwy po bramie wjazdowej. Obraz, który zobaczył, w niczym nie przypominał tego z ostatniej nocy. Na drodze nie stał już rząd policyjnych samochodów. Terenu nie pokrywała już warstwa białego puchu, ale rozdeptane, ciemne błoto i fałdy skawalonego śniegu, ubrudzonego krwią. Wokół znajdowało się pełno dziur oraz lejów po wybuchach. Biały budynek był osmolony od dymu. Dach nad garażem spalił się doszczętnie, a część dachu wieńczącego dom się zapadła.

Spłoszone wczorajszej nocy ptaki jeszcze nie wróciły do swoich gniazd. Tylko okoliczne psy ujadły niestrudzenie jak wczoraj. Nadal niespokojne, nadal podejrzliwe.

Mężczyzna podszedł do otoczonej policyjną taśmą posesji.

– Tutaj nie wolno wchodzić! – krzyknął znajdujący się po drugiej stronie policjant. Biegiem dotarł do kulejącego przybysza, a jego dłoń spoczywała już na kaburze z pistoletem.

Ten zrozumiał, że jego przyjazd nie tylko wzbudził zainteresowanie policjantów oraz techników, którzy pracowali na zewnątrz budynku, ale przede wszystkim ich

zaniepokoił.

Do bramy podszedł drugi funkcjonariusz. Widocznie również zaciekawiony widokiem intruza. Miał oficerskie gwiazdki na pagonach.

Obrzucił badawczym spojrzeniem wspartego na kuli mężczyznę.

- Czego pan chce? – zapytał dość nieprzyjemnym tonem.
- Byłem tu wczoraj. Na akcji. Chciałem tylko zobaczyć, jak to wygląda za dnia.
- Był pan wczoraj? Jak się pan nazywa?
- Sierżant sztabowy Alan Berg.
- Co pan tu, do cholery, robi? Powinien pan być w szpitalu!
- Wyszedłem na własną odpowiedzialność.
- Chyba nieodpowiedzialność! Rozumiem, że brał pan udział w szturmie...
- W pierwszej grupie. Wyważyliśmy tę bramę, mieliśmy opanować parter budynku.
- I nie weszliście do środka...

Berg zaprzeczył ruchem głowy.

Oficer spojrzał na podwładnego uspokajająco i uniósł do góry taśmę. Kiedy powoli ruszyli w stronę domu, oczy sztabowego powędrowały ku górze, na okno, z którego rozpoczął się ostrzał. Było teraz osmolone, otoczone licznymi dziurami od pocisków. Z garażu wytoczono spalony samochód – biały golf, własność Marcina Laczyka. Na betonowej powierzchni tarasu technicy rozłożyli szereg pistoletów i karabinków. Spisywali je po kolei i pakowali do foliowych toreb.

- To był ich arsenał? – zapytał Proca z niedowierzaniem.
- Mieli dwadzieścia dziewięć jednostek i pełno amunicji. Wszystko znaleźliśmy na piętrze, razem z dwoma zwęglonymi ciałami. Były też dwa psy zamknięte w łazience.

Berg poczuł, że stanął na czymś twardym. Uniósł stopę i zobaczył leżącą na ziemi dziesięciocentymetrową śrubę.

- To z bomby, która wybuchła – wyjaśnił oficer. – Zamontowali ją przy drzwiach. Uruchamiana zapalnikiem.

- Kiedy podeszliśmy pod drzwi, słyszeliśmy, że ktoś wbiegał po schodach...
- Musieli was zauważyć i zdetonowali ładunek. Był jeszcze drugi, kawałek dalej, ale na szczęście nie wypalił. Przebadamy dlaczego, ale pirotechnik powiedział, że wypełnienie wyglądało mu na zwykłą plastelinę. Widocznie człowiek, który dostarczał im bomby, zrobił z nich wała... Ładunki ukryli w kwietnikach, a zapalnik był w domu. Nie widzieliście żadnych kabli?

- Wszędzie leżał śnieg... – odparł sztabowy i spojrzał na osmoloną ścianę przy

drzwiach.

Była podziurawiona od zawartości rozbryzgowanej bomby, jednak gdzieś tam pozostała nienaruszona. Zrozumiał, że w tych miejscach musieli stać funkcjonariusze, którzy przyjęli na siebie odłamki.

– Chcesz wejść do środka? – zapytał oficer, nie spuszczać z Procy uważnego spojrzenia.

Sztabowy przestąpił z nogi na nogę. Niepewnie zajrzał do ciemnego wnętrza domu, jakby była to opuszczona przez mitycznego potwora jaskinia. Przytaknął nieznacznie w odpowiedzi na pytanie i przekroczył próg budynku.

47

„Wiele już w życiu widziałem,
ale czegoś takiego jeszcze nigdy”

W powietrzu unosił się ostry smród dymu. Berg przekraczał próg spalonego budynku z walącym sercem. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, wszedłby do środka minionej nocy. Jak zazwyczaj wparowałby z pododdziałem do domu, wyważając drzwi taranem. W sekundę opanowaliby parter, a druga grupa pognałaby na piętro, by ująć poszukiwanych. Po raz pierwszy w historii polskiej policji nie udało się sforsować kryjówki przestępców. Po raz pierwszy w historii europejskiej policji użyto przeciw funkcjonariuszom materiałów wybuchowych.

– Możesz wejść na górę, technicy już tam skończyli – zapewnił oficer, po czym przeszedł na tył zabudowania.

Berg ostrożnie pokonywał każdy kolejny stopień. Z piętra dochodził do niego dźwięk migawki aparatu. Parę razy rozbłysnął flesz.

Pod ścianami leżały niezliczone pozostałości po zużytej amunicji. Młody, przyciężki policjant robił właśnie zdjęcie widoku z frontowego okna. Błysnęła lampa aparatu, po czym mężczyzna obdarzył Berga przenikliwym spojrzeniem.

– Nie jesteś z prokuratury – ocenił. – Atek?

– Terror. Ale pewnie już niedługo – odparł sztabowy.

Policjant podszedł do niego, by ucisnąć mu dłoń.

– Młodszy aspirant Kamil Feliński. Kryminalny. Byłeś tu wczoraj? To jest... dzisiaj, prawda?

– Wyjechaliśmy z bazy około północy – wyjaśnił, podchodząc do frontowego okna. Zobaczył miejsce, w którym podczas akcji zatrzymali pierwszego land rovera zaraz po staranowaniu bramy. – Po wybuchu bomby schowaliśmy się za ścianą przy garażu, a potem tam, za samochodem. Ale rzucono w nas granat.

– Ze wstępnej analizy wynika, że strzelał stąd Iwan Precki.

– A tutaj... – zaczął sierżant, przechodząc na drugą stronę, do okna z balkonem. – Tutaj musiał być Marcin Laczyk. Spalili się żywcem?

– Kiedy tu weszliśmy, wszędzie było pełno popiołu. Prawie po kolana. Niełatwo było ich znaleźć. Leżeli obaj pod ścianą. Nakryli się kocem gaśniczym. Mieli na sobie maski przeciwgazowe i kamizelki kuloodporne. Przygotowali się jak na wojnę... Sekcja wykaże, co dokładnie było przyczyną zgonu.

– Nie słyszeliśmy, żeby krzyczeli...

– Pewnie stracili przytomność. Laczyk był też postrzelony w ramię.

Berg zamyślił się przez chwilę. Patrzył na skupisko drzew, które przez dwie godziny ochraniało jego, Adasia, Wodza oraz Wojtasa.

– To ja trafiłem Laczyka. Biegliśmy z dowódcą stamtąd – powiedział, wskazując na rozwaloną siatkę z boku.

Aspirant wyciągnął notatnik i zapisał kilka słów.

– Przedarliśmy się do drzew – mówił dalej Proca – bo nasz kolega był ranny. Chcieliśmy go wyciągnąć. Strzeliłem do podejrzanego z glocka funkcjonariusza AT.

– Trafiłeś go z krótkiej? Imponujące.

Berg spojrzał na Kamila Felińskiego i stanowczym tonem odparł:

– Niewystarczające. Laczyk upuścił broń, ale szybko ponowił ostrzał z innej.

– A ten kolega, po którego szliście... Udało się go wyciągnąć?

– Nie. Młodszy aspirant Adam Dukowski umarł na moich rękach. Podobnie zresztą jak dowódca.

– Tomek Wodziński. Nie powiedziałaś jeszcze, jak się nazywasz...

– Alan Berg, ale przyjaciele mówią na mnie Proca.

– Alan Berg... byłem przy tych drzewach, zbierałem ślady – tłumaczył Feliński i podszedł do leżącej pod ścianą walizki. Otworzył ją i zaczął oglądać poszczególne torebki foliowe z zebranymi dowodami. Po chwili wyciągnął jedną z nich. Zawierała różaniec wykonany z ciemnego drewna. – Znalazłem go tam. Są na nim twoje inicjały...

Proca chwycił torebkę, podziękował Felińskiemu i ruszył w kierunku schodów. Miał już dosyć. Widział wystarczająco dużo. Czuł, że emocje zaczynają brać nad nim górę. Już miał zejść, kiedy Feliński złapał go za ramię i patrząc mu prosto

w oczy, powiedział:

– Wiele już w życiu widziałem, Proca, ale czegoś takiego jeszcze nigdy. To, co zrobiliście tej nocy, wymagało cholernie wielkiej odwagi. Ty i twoi koledzy jesteście dla mnie bohaterami.

Berg nie odpowiedział. Skinął tylko nieznacznie, klepnął Felińskiego w ramię w geście wdzięczności, po czym ruszył na dół.

„A co powiesz na to, że cię teraz pokroję?”

7 MARCA

Pokaleczona noga nie była jedynym uszczerbkiem na zdrowiu, jakiego Alan Berg doznał podczas realizacji w Lesznowoli. Dokuczał mu również ból prawego ramienia, w które wbiło się kilka kawałków drewna, nieznośne pischzenie w prawym uchu oraz parszywe samopoczucie psychiczne. Z tym, co pomiędzy uszami, musiał uporać się sam. Uporządkować sobie wszystko w głowie i wrócić do równowagi. Jednak podrażniony hałasem narząd słuchu należało leczyć medykamentami.

Zrealizował receptę na krople do uszu w aptece w pobliżu przychodni. Wracając do samochodu, przystanął obok kiosku. W witrynie wywieszono świeży numer gazety codziennej, a jej krzykliwy, wytłuszczony nagłówek przyciągnął uwagę sierżanta. *Tragedia w Lesznowoli*. Podszedł do okienka i poprosił o egzemplarz gazety. Odebrał kilka groszy reszty. Stał obok kiosku i z przyspieszonym biciem serca zaczął czytać pierwszą stronę. Jego uwagę rozproszył głęboki warkot silnika samochodowego. Czarne bmw zaparkowało tuż obok kiosku, tuż obok niego. Wsiadł z niego mężczyzna w skórzanej kurtce, wypolerowanych na wysoki połysk butach, idealnie skrojonych džinsach i przeciwsłonecznych okularach, których wartość stanowiła połowę miesięcznego wynagrodzenia sztabowego.

Berg nie musiał widzieć skrywanych za ciemnymi szklami oczu. Od razu rozpoznał, że z samochodu wysiadł Szymon Walicki.

Nie zwrócił uwagi na czytającego gazetę, wspartego na kuli faceta przy kiosku. Włączył alarm w swoim samochodzie i ruszył chodnikiem. Berg zwinął gazetę

i podążył za nim. Zachowywał dystans, a kiedy Walicki wszedł do jednej z restauracji, zatrzymał się obok najbliższego przystanku i zapalił papierosa. Czekał cierpliwie, aż poszukiwany członek grupy przestępczej wykona kolejny ruch.

Walicki nie zabawił długo w lokalu. Wyszedł, nim Berg zdążył dopalić. Wyglądało na to, że wracał do samochodu, jednak w pewnym momencie zniknął za zakrętem.

Proca przyspieszył kroku, jednak kiedy skręcił, nigdzie nie mógł dojrzeć śledzonego. Pomyślał, że może wszedł do któregoś z budynków lub skręcił w najbliższą przecnicę, ruszył więc szybko z zamiarem dyskretnego zerknięcia przez witryny poszczególnych lokali.

Pierwszym była kawiarnia. Przez obszerne okno mógł dostrzec wyraźnie całe wnętrze. Znajdowało się tam kilku klientów, ale nie było wśród nich Walickiego. Poszedł dalej. Minął stojącego na poboczu vana i wtedy zrozumiał, gdzie zniknął śledzony przez niego przestępca. Walicki wyskoczył na niego zza samochodu. Agresywnie pchnął go w pobliską bramę i docisnął do ściany, przystawiając mu do gardła ostry jak żyletka nóż.

Berg zobaczył w jego oczach żądzę krwi i niebывalą pewność siebie. To spojrzenie połączone z chłodem metalu dociśniętego do skóry mówiły mu, że sytuacja jest poważna. Zaczął szybko kalkulować, jakie wyjaśnienie może uratować mu życie.

– No i co, gnojku?! – wycedził Walicki, opluwając Bergowi twarz. – Kim jesteś i czemu za mną łazisz?

– Tylko spokojnie – odparł sierżant, unosząc otwarte dłonie w geście kapitulacji. Jego kula dawno leżała gdzieś na chodniku. – Widziałem, że wysiadał pan z bmw. Chciałem pana skroić. Przepraszam, to był błąd.

– Chciałeś mnie skroić? Z kulawą nogą? – drążył Walicki, a Berg poczuł, jak nóż niebezpiecznie wbija mu się w szyję. Z trudem przełykał ślinę. – Masz mnie za idiotę, ćwoku?

„A więc nie tędy droga” – pomyślał Berg i spojrzał Walickiemu prosto w oczy. Powoli opuścił ręce i pewnym siebie tonem powiedział:

- Twoi kumple zabili mi przyjaciół.
- A twoi zabili moich.
- Sami się zabili. Ogień zaproszył się od środka. Podjęli złą decyzję. Gdyby się poddali, nadal by żyli.
- Woleli umrzeć niż gnić w więzieniu.
- A ty co wolisz, Walicki? Kiedy po ciebie przyjdziemy, lepiej, żebyś leżał już z łapami na karku...
- Taki jesteś pyskаты? A co powiesz na to, że cię teraz pokroję?

– Jeśli mnie teraz pokroisz, będziesz śmierdzącym tchórzem.

Twarz Walickiego przeciął kpiący uśmiezek. Przekręcił lekko ostrze, po czym odsunął je od gardła sierżanta. Zwinął scyzoryk i zacisnął go w pięści, a pięścią uderzył Berga z całej siły w splot słoneczny. Policjant jęknął i zgiął się wpół. Nagły skurcz przepony sprawił, że ledwo łapał powietrze.

Walicki cofnął się parę kroków i pozwolił, by sztabowy osunął się na ziemię.

– Jak cię zobaczę następnym razem, to nie będę już taki miły. A teraz waruj. – To powiedziawszy, schował scyzoryk do kieszeni kurtki i spokojnym krokiem wyszedł z bramy.

Proca jeszcze przez dłuższą chwilę dochodził do siebie. Kiedy leżał na zimnym bruku, próbując opanować oddech, myślał, gdzie się podział strach. Strach, który czuł kilka lat temu, gdy postrzelony spodziewał się, że kolejna kula przebije mu czaszkę. Strach, który jeszcze wczoraj towarzyszył mu pośród nocy i lecących z każdej strony pocisków. Patrząc w oczy Walickiego, mając ostrze przystawione do gardła, nie czuł nic. Gdzie zniknął ten strach? Gdzie on się podział?

49

„Znaleźli już kozła ofiarnego?”

Kolejną ważną postacią, którą Berg spotkał tamtego poranka, był podinspektor Filip Tyszka. Mężczyzna złapał go przed wejściem do domu, kiedy Berg już wracał. Musiał siedzieć w samochodzie na parkingu i czekać. Łapiąc się pod boki, skarcił go spojrzeniem i przywitał ostrym tonem.

– Dlaczego nie jesteś w szpitalu?!

– Wypisałem się.

– Właśnie słyszałem! Pojechałem na Szaserów. Tak wkurzyłeś lekarza, że nawet nie chciał o tobie rozmawiać! Powinieneś siedzieć tam minimum pięć dni! Gdybym tam był, kazałbym przywiązać cię do łóżka siłą!

– Nic mi nie jest – zapewnił Berg spokojnie, wchodząc do klatki schodowej. Złapał się poręczy i zaczął powoli wspinać się na górę. – Dostałem leki i właśnie wracam od swojego lekarza. Przy okazji wpadłem na mieście na Walickiego.

– Mam nadzieję, że nic nie zrobiłeś...

– Jasne, że nie. Totalnie go zignorowałem... – odparł, zatrzymując się na półpiętrze. Jego czoło błyszczało od potu, a oddech stał się cięższy. – Nic już nie mów – rzucił, wyprzedzając krytykanckie zapędy podinspektora Tyszki. Wystarczyło, że ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Nie chciał jeszcze na dodatek słuchać kazań. Po chwili odpoczynku, w milczeniu, podjął wspinalczkę na piętro.

Otworzył drzwi mieszkania. Przy pomocy kilku nieporadnych ruchów, rozebrał się z kurtki, po czym przeszedł do kuchni, by zaparzyć herbatę. Tyszka usiadł przy

stoliku i w ciszy wypełnionej buczeniem czajnika wyszeptał:

- Przykro mi z powodu chłopaków.
 - Tak. Mnie też – odparł Berg ze zwieszoną głową. Oparty o ścianę czekał, aż woda się zagotuje. – Jakies wieści z jednostki? Znaleźli już kozła ofiarnego?
 - To nie będzie chyba aż takie proste. Powołano komisję...
 - Komisję!
 - Jestem w jej składzie. Będę miał rękę na pulsie. Sztabowy przytaknął.
 - Proszę, żebyś stawił się na przesłuchanie jedenastego.
 - Szybko zaczynacie. Adaś i Wódz nie są jeszcze pochowani. Niektórzy nie wyjdą ze szpitala przez kilka tygodni, a komisja już będzie szukać. I to szukać czego? Błędów, winnych?
 - Musimy przecież wiedzieć, co zawiniło.
- Berg parsknął bezradnym śmiechem.
- I myślisz, że dojdziecie do rzeczywistych wniosków? A potem co z nimi zrobicie? Będą jakieś zmiany? Dostaniemy w końcu kasę na lepszy sprzęt? Będziemy mogli powiedzieć, czego tak naprawdę potrzebujemy? Będziemy mniej naciskani przez górę?
 - Alan, dlaczego mówisz do mnie jak do wroga?
 - Przepraszam – odparł Proca, rozumiejąc, że jego agresywna postawa godzi w uczucia Tyszki. Postawił na stole dwie szklanki z parującą herbatą i ostrożnie usiadł. – Emocje biorą górę... Mam nadzieję, że będziesz miał coś do powiedzenia w tej całej komisji. Mam jednak przeczucie, że możesz tam być jedynym sprawiedliwym, takim breloczkiem na ozdobę.
 - Nie wiesz nawet, kto będzie w składzie.
 - Nie muszę. Zawsze tacy sami oceniają naszą pracę. Tacy, którzy nogi nie postawili na polu walki.
 - Alan... – Tyszka zawiesił głos. Rozżalenie sierżanta było dla niego w pełni zrozumiałe i właśnie z tego powodu przyszedł z nim porozmawiać. Siorbnął łyk gorącej herbaty, po czym powiedział: – Znam cię. Wiem, że bywasz bezpośredni, zawsze jesteś prawdomówny i nie lubisz się maskować, kiedy wiesz, że racja jest po twojej stronie. To są wszystko cechy, które bardzo w tobie cenię, ale przyszedłem dzisiaj z przyjacielską radą.
 - Żebym trzymał język za zębami?
 - Żebyś trzymał nerwy na wodzy. Wspomnij o niedosprzętowieniu. To, co odnotowane, będzie później analizowane. Może uda się wyciągnąć z tej tragedii

jakieś... plusy.

– Musiała się wydarzyć tragedia, żeby zaczęli myśleć o zmianach?

– Czy nie jest tak zawsze? – Tyszka rzucił mu spojrzenie przepełnione smutkiem.

Po chwili dodał: – Co powiedział ci lekarz? Jak się czujesz?

– Lepiej niż Wódz i Adaś.

Odpowiedź sierżanta wywołała w kuchni gęstą niczym smoła ciszę. Tyszka zrozumiał, że Berg nie był gotowy na racjonalną rozmowę o tym, co się wydarzyło. Miał prawo obwinać za to cały świat i nikt się temu nie dziwił. Tyszka liczył jedynie, że młody policjant znajdzie w sobie siłę i odzyska równowagę psychiczną do dnia spotkania z komisją.

Proca również miał taką nadzieję, ale na razie nie czuł nic prócz gniewu. Spojrzał na zawieszony na ścianie milczący telefon, który był niczym most nad przepaścią. Gdzieś po drugiej stronie stała Ewa, ale Berg nie był jeszcze gotowy, żeby go przebyć. Nie potrafił spojrzeć dziewczynie w oczy. Nie znajdował odpowiednich słów.

„Jednak nie jesteście wojskiem, tylko policją”

11 MARCA

Do dużej sali nie wpadało zbyt wiele światła. Okna skierowane były na północ. Zbliżał się wieczór.

W pomieszczeniu ustawiono długi na pięć metrów stół, przy którym zasiadło dziewięciu członków komisji powołanej przez komendanta głównego policji – specjaliści, eksperci od porządku, kontroli i bezpieczeństwa oraz podinspektor Filip Tyszka, który znalazł się tam na własne uparte życzenie.

Chciał uczestniczyć w posiedzeniach i przesłuchaniach, żeby nie polegać wyłącznie na informacjach z drugiej ręki, jednak każde zebranie komisji odchorowywał nerwowo. Z ciężkim sercem wysłuchiwał sprawozdań z wydarzeń pod Warszawą i z jeszcze cięższym obserwował bezduszność oraz brak merytorycznego przygotowania niektórych członków komisji.

Pośrodku pomieszczenia siedział sierżant sztabowy Alan Berg. Obok jego krzesła znajdował się niewielki stolik, na którym ustawiono szklankę wody i opakowanie chusteczek higienicznych. Nie miał zamiaru płakać, ale już kilka razy odczuł chęć wepchnięcia ich do gardła któremuś z członków szacownej komisji. Zadawali mu szereg pytań, na które cierpliwie udzielał wyczerpujących odpowiedzi. Wszystko to trwało już ponad dwie godziny, a nie wydawało mu się, żeby przybliżali się chociażby do początku końca. Upił łyk wody, kiedy padło kolejne pytanie.

– Nie było możliwości przetransportowania młodszego aspiranta Adama Dukowskiego do karetki zaraz po tym, jak doznał obrażeń?

Pytanie zadano fachowym tonem. Oczekiwano szybkiej odpowiedzi, ale

przesłuchiwany milczał przez dłuższą chwilę. Nie można było określić, czy próbował przypomnieć sobie niedawne wydarzenia, czy emocjonalnie nie radził sobie z ciężarem wspomnień. W końcu odparł:

– Gdy dotarliśmy do rannego, podejrzani prowadzili mocny ostrzał. Czekaliśmy na odpowiedni moment do wyjścia z ukrycia i przeniesienia Dukowskiego. Wykrwawił się, nim ruszyliśmy.

– Ile zwlekaliście?

– Nie zwlekaliśmy. Po prostu czekaliśmy, aż strzelcowi skończy się magazynek. Upłynęła niecała minuta – odparł Berg, rozmasowując czoło.

Po raz kolejny zmienił pozycję. Zrobiło mu się niedobrze, czuł, że zaczyna się pocić. Nagle stracił kontrolę nad tym, co działo się z jego ciałem i myślami. To pierwsze zaczęło odmawiać mu posłuszeństwa, drugie galopowało własnymi ścieżkami w miejsca, do których Proca wołał w ogóle nie zaglądać.

– Dowódca kazał panu pobiec po amunicję?

– Zgadza się.

– Wiedział, że był pan ranny?

– Nie. Sam tego nie wiedziałem od razu. Dostałem odłamkami chwilę wcześniej, kiedy rzucono w naszą stronę granat.

– Wydający panu amunicję zeznał, że skierował pana do karetki. Zasugerował, żeby przekazał pan amunicję komuś innemu.

Berg przełknął ślinę. Przetarł oczy, bo miał wrażenie, że twarze członków komisji zasnuwają się mgłą.

– Zasugerował, tak, ale nie był moim przełożonym. Dostałem rozkaz od dowódcy, by dostarczyć amunicję. Czuję się sprawny.

– Naprawdę? – zapytał z niedowierzaniem przewodniczący komisji i zerknął w papiery. – Lekarz zapisał, że wyjęto panu z nogi sześć odłamków z granatu. W tym jeden o średnicy prawie jednego centymetra. To tak, jakby pan został postrzelony. Nie czuł pan bólu i szedł normalnie?

– Tak. Przez jakiś czas. Pewnie adrenalina uśmierzała ból. Nie ja jeden byłem ranny. Wielu w gorszym stanie walczyło do końca...

– Tak, to prawda – odparł przewodniczący i zanotował sobie coś w papierach. Po chwili kontynuował: – Zatem dotarł pan do przejścia w siatce i rzucił... co? Granat w okno?

– Rzuciłem na balkon granat łzawiący UGŁ-200. Dowództwo wydało zgodę na ich użycie, bo sytuacja była bardzo trudna. Dym z granatu zmniejszył strzelcowi widoczność, więc miałem chwilę na przebiegnięcie dystansu od wozu do kolegów.

- I wtedy noga odmówiła panu posłuszeństwa...
- Nie. Było ślisko i ciemno. Potknąłem się.
- Potknął się pan?
- Tak, jak się potem okazało o karabinek maszynowy, który kilka minut wcześniej poszukiwany upuścił z okna.
- Wypuścił z okna po tym, jak trafił go pan z broni krótkiej podkomisarza Bełzy? Skąd pan miał jego broń?
- Dał mi ją, kiedy minęliśmy się na drodze. Był ranny, szedł do karetki, a ja wracałem na teren walki. Brakowało nam amunicji i ci, którzy nie mogli już walczyć, przekazywali nam swoje magazynki.
- Tak, to wprowadziło trochę chaosu...
- Chaosu?! Tam się rozpętał front wojenny, ale nie nazwałbym tego chaosem! Każdy wiedział dokładnie, co ma robić. Myśleliśmy wtedy, żeby nie dać się zabić i wypełnić zadanie, nie o protokołach i zasadach ustalonych przez polityków czy oficerów, którzy nigdy w życiu nie wystawili nosa poza biuro.
- Rzeczywiście rozpętał się tam front wojenny... - powtórzył powoli przewodniczący komisji. Odłożył na chwilę długopis, zaplótł na stole dłonie i patrząc na Berga kamienną twarzą, dodał: - Jednak nie jesteście wojskiem, tylko policją, prawda? Obowiązują was trochę inne reguły.
- Bergowi zrobiło się słabo. Oparł głowę na obu rękach i pochylił się do przodu. Czuł, że zaraz zemdleje.

51

„Amatorzy kontra gangsterzy”

– Dobrze się pan czuje? – zapytał jeden z członków komisji, dostrzegając nagłą błądź na twarzy sztabowego.

– Nie bardzo. Czy możemy zrobić przerwę? – odparł Berg, nawet nie podnosząc głowy.

– Tak, zrobmy przerwę! – rzucił podinspektor Filip Tyszka, siedzący na końcu stołu.

Reszta komisji nie protestowała.

Berg wstał, wspierając się na kuli. Wyszedł z sali w pośpiechu, potem przeszedł do łazienki.

Nerwy oraz stres ścisnęły mu żołądek i wyrzuciły z niego całą treść. Kwas palił go w gardło. Na czole wystąpił zimny pot, a serce waliło mu tak, jak tamtej fatalnej nocy. Myślał o przyjaciółach, o tych, z którymi już nigdy nie porozmawia, których już nigdy nie spotka. Adasia w ogóle nie powinno być tamtej nocy na akcji. Miał pojechać na drugi koniec Warszawy, stać na scenie i zadowalać ludzi swoją muzyką!

Gdy sierżant sztabowy wyszedł z kabiny, napotkał zasmucone oczy Filipa Tyszki. Wyminął go obojętnie. Ochlapał sobie twarz wodą, wypłukał usta. Kwaśny niesmak pozostał.

– Wiem, że to trudne, Alan – powiedział w końcu Tyszka.

– Oni szukają winnych! Nasi tam umarli, a oni szukają winnych wśród nas! Nie było ich tam, nie mają pojęcia! – Stracił panowanie nad sobą. Zawsze myślał, że jest

twardym facetem o silnych nerwach, ale ostatecznie wydarzenia poważnie wstrząsnęły jego samooceną.

Kiedy po akcji znalazł się w szpitalu i dostał do podpisania dokument, nie był w stanie utrzymać w dłoni długopisu. Stał nad kartką przez dłuższą chwilę, patrząc na swoją drżącą rękę, jakby nie była jego. W końcu recepcjonistka zabrała od niego długopis. Powiedziała, że wszystko jest w porządku, że może podpisać później. Jednak on nie sądził, żeby cokolwiek było w porządku. Wątpił, czy kiedykolwiek będzie.

Tyszka przytulił go w milczeniu, lecz Berg odsunął się po krótkiej chwili. Otworzył okno i roztrzęsionymi dłońmi zapalił papierosa.

– Przeglądałeś gazety? Przechodziłem rano obok kiosku. Myślałem, że zemdleję – powiedział, gdy nieco się uspokoił.

– Wiem, co dzieje się w prasie, ale nie czytam tego. Sejm i media nakręcają atmosferę. Większość wypowiedzi to bzdury. Politycy starają się wybić, zyskują popularność, bo mówią rzeczy, które ludzie chcą usłyszeć. To rewia mocnych słów. Nie powinieneś się tym przejmować.

– Nie przejmować się? Jak?! Przecież to, co oni gadają, ludzie będą powtarzać. W jednej gazecie był artykuł na kilka stron. Napisał go jakiś Rafał Janicki. – Sztabowy wypluł z siebie to nazwisko z obrzydzeniem, po czym zacytował: – *Amatorzy kontra gangsterzy!* Taki tytuł! Tydzień po akcji! Głupi pismak! Jego zdaniem nasi zginęli na próżno. Pisał o złym wyszkoleniu, o braku amunicji! Cytował jakiegoś polityka, który proponował, żebyśmy nosili po pięćset sztuk pestek na takich akcjach! Specjalista się znalazł! Idiota! Słabe przygotowanie policjantów! My byliśmy, kurwa, przygotowani! Brak rozpoznania terenu?! Niby jak mieliśmy go rozpoznać?! Z otwartą przestrzenią, ciekawskimi sąsiadami i psami biegającymi po podwórku?! Ktoś mówił, że mogliśmy wieczorem zorganizować grilla na sąsiedniej posesji i tak prowadzić skrytą obserwację! Rozumiesz to?! Grill w marcu o dwudziestej trzeciej! Przy minus pięciu stopniach! Ich pomysły wydają się śmieszne, ale oni gadają te rzeczy poważnie. Ta bomba... Ta cholerna bomba była nie do zauważenia!

– Wszyscy szukają winnego, Alan. Będą oskarżenia...

– Oskarżenia dowódców, wiem! Prokuratura już u mnie była. Chcieli, żebym został oskarżycielem posiłkowym, bo zostałem ranny. Po moim, kurwa, trupie! Nie po to się najmujesz na psa, żeby robić z siebie ofiarę, kiedy coś idzie nie tak! – Berg nagle ściszył głos, spojrział na Tyszkę i syknął: – Niech lepiej zastanowią się nad kablem w policji! Przez te wszystkie miesiące ktoś musiał przekazywać informacje

Laczykowi i Walickiemu! Zawsze byli krok przed nami! Tym razem było podobnie! Laczyk wiedział, że idziemy! Przygotowali się z Preckim jak na wojnę! A komisja przykryje to wszystko oskarżeniami o zaniedbania! Czy dowódcy zawinili? Nie wiem...

– To nie ma znaczenia – odparł smutno Tyszka. – Nie ma znaczenia, czy zawinili, czy nie. Zostaną ukarani, bo taka jest wola kierownictwa.

Berg wlepił spojrzenie w podinspektora. Zaklął pod nosem, po czym zdusił papierosa o parapet.

„Panowie pracują w policji”

Nie mógł uwierzyć w słowa przyjaciela. Od kiedy to kara zależy nie od winy, ale od woli ludzi u władzy?! Od zawsze... Powinien to przewidzieć. Powinien spodziewać się najgorszego.

Podinspektor Tyszka westchnął na swoją bezsilność i powiedział:

– Wystarczy już tych nerwów. Postanowiliśmy z komisją, że na dzisiaj kończymy. Chodź, przejdziemy się gdzieś na kawę.

Kilkanaście minut później zajęli stolik w kącie niewielkiego lokalu w pobliżu Komendy Głównej.

– Zamówisz mi lufę? – zapytał sztabowy, ściągnając kurtkę.

Tyszka obrzucił go spojrzeniem spod ściągniętych brwi.

– A bierzesz antybiotyki? – zapytał retorycznie, gdyż antybiotykoterapia przy ranach, jakich doznał młody funkcjonariusz, była rzeczą oczywistą. – Zamówię ci kawę – dodał po chwili, po czym podszedł do barmana.

Berg letargicznie zamieszał w swojej filiżance. Bez słowa gapił się w jej zawartość, jakby myślami był w całkiem innym miejscu. Tyszka obserwował go przez chwilę, po czym zagadnął:

– Pamiętasz, że przechodzę do narkotyków? Może to dobra okazja, żebyś też pomyślał o zmianie?

– Może. Nie mam teraz do tego głowy. – Proca upił łyk kawy i zapytał: – Wiesz, kto był u Wodzińskich? Kto im powiedział?

– Ja – odparł podinspektor, po czym otrzymał od Berga uważne spojrzenie. – Pracowałem z Tomkiem przez wiele lat. Uznałem, że tak wypada. Ale to był trudny widok. Rodzice nie powinni grzebać swoich dzieci. Pytali o ciebie. Nie wiedziałem, że spotykasz się z ich córką.

– Teraz nie wiem, czy będzie to możliwe.

– Myślę, że ona cię potrzebuje. Straciła brata.

– Nie spojrzę jej w oczy, Filip. Nie potrafię – powiedział Berg łamiącym się głosem.

– Będziesz musiał. Widzimy się jutro na pogrzebie. Nie musisz być w mundurze, oficjalnie, ale przyjdiesz, prawda?

– Oczywiście. Jestem mu to winien. Im obu.

Do baru weszło dwóch mężczyzn. Prowadzili ożywioną rozmowę. Usiedli przy barze, zamówili po piwie. Szybko do uszu policjantów zaczęły docierać pojedyncze słowa dysputy. Lesznowola... strzelanina... porażka... błędy... winni...

Berg próbował ignorować ich obecność, ale przychodziło mu to z trudem. Tyszka dostrzegł jego rosnące zdenerwowanie. Kilka uspokajających słów zdawało się nie przynosić efektu.

Po krótkiej chwili jeden z mężczyzn, zdecydowanie bardziej zaangażowany w rozmowę, nachylił się ku barmanowi i ściszym głosem powiedział:

– Tu obok jest komenda. Przychodzą do baru policjanci, prawda?

– Czasami – odparł barman niechętnie.

– Mógłby pan jakiegoś wskazać?

– A co ja jestem?

Facet dyskretnie przesunął po blacie banknot.

– Jest pan zatroskanym obywatelem, a ja dociekliwym dziennikarzem. Słyszał pan pewnie o porażce w Lesznowoli. Zastrzelono dwóch policjantów...

Barman wskazał mu siedzących w kącie funkcjonariuszy, po czym szybko wrócił do mycia szklanek po piwie. Dziennikarz zmierzył spojrzeniem wskazany stół, powiedział coś do swojego kolegi, a potem powoli, z dobrze wyćwiczoną udawaną pokorą podszedł do Tyszki i Berga. Szybko zwrócił uwagę na opartą o krzesło kulę.

– Przepraszam panów uprzejmie... – zagadnął. Mówiąc, stopniowo przybliżał się do nich. – Panowie pracują w policji, prawda?

– Zgadza się – odparł Tyszka z rezerwą.

– Piszę o tej strzelaninie w Lesznowoli. – Facet spojrzał na Berga współczująco i zręcznie zajął miejsce między policjantami. – Chciałbym panom powiedzieć, że współczuję stracie kolegów, i wyrazić podziw dla waszej codziennej pracy.

– To miło z pana strony. Słowa solidarności są rzadkie w tych czasach.

- Szanuję policjantów i bardzo bym chciał, żeby winni tej tragedii zostali ukarani.
- Jesteś dziennikarzem – wtrącił Berg bezpośrednio.
- Tak. Nazywam się Rafał Janicki i chciałbym napisać o tym, co się tam stało naprawdę.

Na dźwięk jego nazwiska w żyłach Berga wzburzyła się krew. Nie od razu dał po sobie poznać, że dokładnie wie, z kim ma do czynienia. Z ostatkami cierpliwości przyglądał się rozmówcy, pozwalając mu mówić dalej, jakby czekał, aż dziennikarz przekroczy granicę hipokryzji.

„Co jeszcze wypłynie do mediów?!”

Janicki nie od razu zdał sobie sprawę z tego, że każde jego kolejne słowo przybliży sztabowego do granicy wytrzymałości nerwowej, za którą mogły znajdować się wyłącznie rękoczyny. Wykorzystując bezpośredniość Berga, kontynuował, mówiąc mu na „ty”:

– Byłeś tam, prawda? Zostałeś ranny... Wiele już słyszałem o tym, co tam zaszło, ale chcę wiedzieć, jaki jest punkt widzenia ludzi, którzy brali w tym czynny udział, a wszyscy są raczej niechętni do rozmowy z prasą. Wesprzesz prokuraturę w oskarżeniu?

– Spierdalaj!

– Spokojnie, mam dobre intencje...

– Tak? Widziałem twój parszywy artykuł! Nie szukasz prawdy, tylko sensacji! Jesteś hieną i razem z innymi zagęszczacie atmosferę, siejecie dezinformację.

– Dez... Jaką dezinformację? – Janicki uśmiechnął się nerwowo. Zerkał na Tyszkę, jakby oczekiwał od niego jakiegoś wsparcia, którego podinspektor nie miał zamiaru mu udzielić. – Mam sprawdzoną wiedzę o przebiegu akcji. Wiem, że nie mieliście na miejscu karetki pogotowia, kiedy rozpoczęła się realizacja. Wysłano was z pistoletami na morderców uzbrojonych w granaty. Wybuchła bomba, a wy nie mieliście saperów do sprawdzenia terenu...

– Nie będę z tobą gadał, człowieku. Nie masz pojęcia o taktyce, uprawnieniach policji i naszych umiejętnościach. Zgnoiliśmy nas w prasie i wytykasz błędy, które

błędami nie były.

– Ale ci, którzy za to odpowiadają...

– Odpowiadają za to Laczyk i Precki! – Berg uderzył pięścią w stół.

Dziennikarz ani drgnął.

– Nie zapewniono wam karettek... – powtórzył.

– Kiedy zdołaliśmy wyciągnąć stamtąd rannych, pierwsza karetka już była.

– Widziałem nagranie wykonane podczas akcji przez operatora policyjnego.

Wygląda na to...

– Widziałeś zastrzeżone nagranie?! Jakim prawem?! – Berg spojrzał już nie na dziennikarza, lecz na Tyszkę.

Ten wzruszył ramionami zdezorientowany.

– Wygląda na to – ciągnął Janicki – że po wybuchu bomby zapanował totalny chaos, jakby nikt wami nie dowodził...

Berg złapał go za koszulę i mocno przyciągnął go do siebie.

– Chaos, kurwa, to ci zaraz z dupy zrobię, jak się nie odpierdolisz!

Tyszka poderwał się, by uspokoić przyjaciela, a Janicki uniósł ręce i bełkotał coś o dobrych intencjach.

Berg puścił go po kilku prośbach podinspektora. Czuł na sobie liczne spojrzenia gości. Wstał, złapał kurtkę i wyszedł z lokalu.

Podinspektor zawołał za nim, żeby zaczekał. Choć Berg szedł, wspierając się na kuli, nie było łatwo go dogonić. Kiedy Tyszce w końcu się to udało, karcącym tonem zaczął:

– Nie możesz robić takich rzeczy! Szczególnie teraz, kiedy uwaga całego kraju skupia się na policji!

– A takim to wszystko wolno, tak?! Oczerniać nas, wymądrzać się... Facet miał dostęp do zastrzeżonego nagrania! Co jeszcze wypłynie do mediów?! Może nazwiska funkcjonariuszy?!

– Nie masz na to wpływu.

– I to jest właśnie najgorsze! Teraz zaczęła się polityka! Tam też nie mieliśmy na nic wpływu! Powinniśmy pojechać na miejsce z karabinami wyborowymi albo wrzucić przez okno cholerny granat, tak jak oni rzucali w nas!

– Nie jesteśmy wojskiem, Alan. Naszym zadaniem jest obezwładnić, nie likwidować cel.

– Racja... Tylko że tamtej nocy to my byliśmy celem. Druga strona przejęła kontrolę nad wymianą ognia, a my mogliśmy tylko czekać i patrzeć, jak giną nasi przyjaciele! Teraz szacowna komisja wysunie swoje wnioski, wskaże winnych, albo

i nie, zaproponuje zmiany, albo i nie, a im nic nie zwróci życia!

Tyszka nie przerywał. Stał naprzeciwko załamane go człowieka, który tracił wiarę we wszystko, co do tej pory robił. Wielu zwątpiło. Nie wiedział, co mu odpowiedzieć, bo żadne słowa nie wydawały się właściwe.

Bergowi również zabrakło już słów. Machnął bezradnie ręką i zapewnił, że wraca do domu. Tak naprawdę nie miał jednak zamiaru znaleźć się tam zbyt szybko. Szedł powoli, a z nieba sączył się zimny deszcz.

Gdy ochłonął po starciu z dziennikarzem, ponownie zaczęły go dręczyć wspomnienia. Spokojna twarz Adasia, który umierał, jakby stopniowo zapadał w sen. Przerazenie w oczach Wodzińskiego, który nie spodziewał się, że koniec będzie tak brutalny, tak nagły. Chciał o tym nie myśleć, choć przez chwilę zapomnieć o Lesznowoli. Nie potrafił. Wyciągnął z kieszeni papierosa. Przystanął, by zapalić. Odwrócił się od wiejącego wiatru i wtedy zobaczył na plakacie krzykliwy napis: „Rockersi. Wstęp wolny”.

„Chwila szczerości”

Przez moment myślał, że chyba zmysły zaczęły mu szwankować. Potem uznał to za znak.

Plakat wisiał na drzwiach klubu i oznajmiał, że tego wieczoru odbędzie się koncert grupy.

Sztabowy zerknął na zegarek. Występ trwał już od trzydziestu minut. Wszedł do środka.

W głębi lokalu płynęły niezbyt wyszukane, żywe rytmy. Na scenie stało czterech muzyków. Gitarzysta śpiewał, a z jego skroni spływały krople potu. Wydawał się nie zauważać zgromadzonej widowni. Jakby na całym świecie był tylko on jeden i dźwięki. Całkiem odpłynął, tak jak odpływał Adaś, kiedy brał do ręki gitarę.

Berg nie miał zamiaru wchodzić w stojący pod sceną tłum. Zamówił przy barze podwójną whisky i zajął stolik w najdalszym kącie sali. Pił szybko i po kilku minutach zaszumiało mu w głowie. Myśli płynęły trochę swobodniej, a muzyka wydawała się znacznie przyjemniejsza. Zdał sobie sprawę, że jedna z siedzących przy barze dziewczyn uważnie mu się przygląda. Nie zamierzał reagować, jednak ona nie ustępowała. Czuł, że do niego podejdzie, i nie pomylił się. Usiadła na wolnym krześle i zagadnęła:

– Dawno nie widziałam tak smutnego spojrzenia.

Berg parsknął.

– To dlatego, że jestem smutny – odpowiedział bez cienia zawstydzenia. Wychylił

łyk alkoholu. – Umarli dwaj moi przyjaciele, a ja zastanawiam się, dlaczego jeszcze żyję.

– Chwila szczerości, co? – odparła dziewczyna. Wyczuła, że ma do czynienia z podłamany facetem, i spróbowała wykorzystać jego słabość. – Też się otworzę. Chcą mnie wywalić z mieszkania, potrzebuję kasy. Jeśli masz ochotę, możemy przejść do łazienki. Zapomnisz na chwilę o problemach, a ja zarobię.

Nie odpowiedział od razu. Proponowano mu już w życiu wiele, ale czegoś takiego jeszcze nigdy. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, próbując ocenić, czy dziewczyna w ogóle mu się podoba. W końcu doszedł do wniosku, że tak naprawdę nie ma to żadnego znaczenia. Jednym haustem dopił alkohol, po czym wstał, opierając się na kuli, i powiedział:

– No to chodź.

Prowadziła go do łazienki. Dopiero teraz, gdy za nią podążał, zauważył jej jednoznaczny ubiór. Na zgrabnych nogach miała kabaretki. Jej wysokie szpilki sprawiały, że była od Berga nieco wyższa. Minispódniczka w czerwonym kolorze zasłaniała wyłącznie pośladki. Czy mężczyźnie w jego stanie potrzeba więcej ponad tak pociągający widok? Gdy tylko zamknęła drzwi kabiny na zamek, złapał ją za nadgarstki, przycisnął mocno do ściany i przywarł do jej ust. Chciał to zrobić szybko, bo wiedział, że kiedy pojawią się rozważania, skończy się przygoda i chwila zapomnienia.

Dziewczyna odepchnęła go delikatnie, choć stanowczo.

– Poczekaj, panie smutne oczy. Najpierw zapłać.

Oparł się o przeciwległą ścianę. Zadarł do góry brodę, jakby patrzył na nią z wyższością.

– Ile?

– Stówkę.

– Bzykasz się za stówkę? – Uśmiechnął się półgębkiem i wsadził dłoń do kieszeni spodni.

Miał tam chusteczki, monety, banknoty... Wyciągnął zawartość, a gdy otworzył dłoń, wypity alkohol zarzucił nim na bok i kilka drobiazgów upadło na podłogę. Dziewczyna zaproponowała mu pomoc, ale powstrzymał ją.

– Poradzę sobie! – powiedział stanowczo. Nie potrzebował ani pomocy, ani litości.

Przykłęknął na zdrowej nodze i zaczął zbierać swoje rzeczy z podłogi. Podniósł banknoty, potem dwa złożone kartoniki – bilety na koncert z datą piątego marca. Pod nimi leżał mały różaniec z drewnianymi paciorkami. Berg mocno zacisnął na nim dłoń. Poczul, że do oczu napływają mu łzy.

– Co ja, kurwa, wyprawiam?

– Mówiłeś coś?

– Muszę iść...

– Myślałam, że mamy umowę.

Złapał swoją kulę i wytoczył się z toalety bez dalszych wyjaśnień.

Ruszył prosto do domu. W połowie drogi zaczął odczuwać ból w zranionej nodze. Zrobiło mu się niedobrze, a na dodatek zaczęło padać. Rozglądał się za taksówką, ale jak na złość nie widział żadnej. Autobusy jeździły już rzadko, a bezczynne stanie na przystanku nie wchodziło w grę. Wolał być w ruchu. Ból fizyczny zdawał się odciągać jego uwagę od innego rodzaju cierpienia. Chciał się zmęczyć. Chciał, żeby bolało. Był w stanie znieść w tym momencie wszystko, byle tylko przykryć czymś nadciągającą falę rozpacz, na którą nie był gotowy.

Gdy dotarł do mieszkania, drżał od zimna. Ociekał lodowatym deszczem oraz potem. Noga rwała go tak, że nie mógł na niej ustać bez wsparcia na kuli. Ból oderwał jego myśli od wszystkiego innego, więc przyjął go ze swego rodzaju radością. Osuszył się, sprawdził, czy szwy nie puściły, zmienił opatrunki.

Jego spojrzenie zatrzymało się na milczącym telefonie. Każdego dnia zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Ewy. Jednak bardziej niż tęsknotę i ból czuł przede wszystkim gniew. Tego dnia coś w nim pękło, a spod skorupy złości na powierzchnię zaczął wypływać żal. Podeszedł do aparatu i podniósł słuchawkę z widełek. Po chwili wybrał numer Wodzińskich, przyłożył słuchawkę do ucha i czekał. Wsłuchiwał się w kilka równomiernych dźwięków z sercem bijącym tak mocno jak wtedy, gdy rozmawiał z Ewą po raz pierwszy.

– Tak, słucham? – zabrzmiał w słuchawce miękki, wyraźnie zasmucony głos.

Należał on do niej.

Tak bardzo pragnął ją usłyszeć, zasnąć, trzymając ją w ramionach, poczuć jej zapach, otulić jej ciepłe, miękkie ciało. Nie był gotowy, by powiedzieć jej cokolwiek. Słowa opisujące tamtą noc nie przechodziłyby mu przez gardło. Pragnął wyłącznie jej obecności. Wystarczyła mu świadomość, że ona jest tam po drugiej stronie linii. Że jej serce bije. Wtulił się w brzmienie jej głosu i słaby, regularny dźwięk oddechu.

– Słucham, kto dzwoni? – zapytała ponownie dziewczyna.

Łzy cisnęły mu się do oczu, ale nie potrafił wydusić słowa. Powoli odsunął słuchawkę od ucha, po czym odłożył ją na widełki. Rozgrzanym jak pochodnia czołem dotknął zimnej ściany. Zrozumiał, że tamtej nocy stracił nie tylko przyjaciół, ale również zdolność beztróskiego trwania przy kobiecie, którą pokochał.

Powolnym krokiem wtoczył się do kuchni. Połknął tabletkę przeciwbólową i po

chwili zasnął kamiennym snem.

„Chciałbym zniknąć”

12 MARCA

O siódmej rano zbudziło go dzwonienie telefonu stacjonarnego. Dźwięk ustawał, a potem odzywał się znowu. W końcu, zirytowany jego nachalnością, wstał, by wyłączyć urządzenie, i zamroczony, wrócił do łóżka. Gdy przebudził się ponownie, ktoś siedział obok niego. Jakaś strapiona, pochylona postać. Spojrzał na zwieszoną głowę.

– Co tu robisz, mamó? – wysapał słabym, zachrypniętym głosem.

– A jak myślisz? – odpowiedziała kobieta, łkając. W jej tonie dało się wyczuć pretensje. – Nie odbierasz telefonów. Miałaś otwarte drzwi, a w mieszkaniu śmierdzi alkoholem! Pijesz, bierzesz leki! Co się z tobą dzieje, Alan?!

– Rzeczywistość mnie pokonała – odparł, zakrywając głowę kołdrą.

Joanna Berg zerwała się z łóżka i brutalnie ściągnęła z syna okrycie.

– Nie wolno ci tak mówić! Nigdy! Rozumiesz?! Straciłam męża i jednego syna przez nałogi! Nie pozwolę, żebyś skończył jak oni!

Zasłonił twarz ręką, ale dostrzegła, że płakał. Miał założone opatrunki na ramieniu oraz udzie. Przez chwilę w wysportowanym ciele tego młodego mężczyzny zobaczyła swoje bezbronne kilkuletnie dziecko. Usiadła ponownie i położyła dłoń na jego głowie. Czowała, jak ból syna łamał jej serce.

– Synku... ja wiem, co się stało. Zadzwonił do mnie Filip. Nie wyobrażam sobie tego wszystkiego...

– Nie mogłem im pomóc, mamó – zapewnił łamiącym się głosem. – Nic nie dało się zrobić.

– Wierzę ci.

Położył głowę na jej kolanach i pozwolił, by go przytuliła.

– Wszystko się ułoży. Zobaczysz. Jesteś wojownikiem. Przejdiesz przez to wszystko – mówiła przez łzy, mając nadzieję, że jej słowa się sprawdzą.

Dawno nie widziała go w takim stanie. We wspomnieniach powrócił czas, w którym zmagali się ze śmiercią jej młodszego syna. Podnieśli się wtedy, podniosą się i teraz. Nie mogło być inaczej. Pozwoliła, by się wypłakał w ciszy. Kiedy się uspokoił, nie zadawała pytań. Był jej za to wdzięczny.

Oznajmił, że o dziesiątej musi być na pogrzebie Tomka Wodzińskiego, więc zrobiła mu śniadanie. Z szafy w sypialni wyciągnęła odświętany mundur.

– Schowaj go – powiedział, wracając z kuchni do sypialni. – Tyszka mówił, że nie muszę być oficjalnie.

– A nie chcesz?

– Chciałbym zniknąć.

Przeszedł do łazienki, by wziąć prysznic. Kiedy skończył, Joanna prasowała mu koszulę. Tę samą, którą miał na sobie parę tygodni temu na ślubie Wodzińskiego. Garnitur już wisiał przygotowany.

– Nie musisz tego robić, mamo.

– Ale chcę. Rany dobrze się goją? Zmieniasz opatrunki?

– Tak, pani doktor... – odparł z przekąsem.

Joanna Berg zawsze garnęła się do pomagania innym, gdy tylko widziała okazję. Ze smutnym uśmiechem zagadnęła:

– Kiedy umarł Maks, to ty prasowałeś mi sukienkę. Pamiętasz? Przeszliśmy razem najgorsze.

Musiał przyznać jej rację. Przez chwilę poczuł się jak nastolatek, którym był jeszcze osiem lat temu. Teraz stał się już mężczyzną. Zdawało mu się, że jest w pełni samodzielny i niezależny od nikogo. Życie szybko dało mu po pysku. Nikt nie jest samowystarczalny. Szczególnie gdy przychodzi najgorsze.

„Twój brat miał rację”

Civic jak na złość nie chciał odpalić. Przednią szybę pokrywała warstwa szronu, a silnik odmówił współpracy. Berg spojrzął na zegarek. Za dwadzieścia minut zaczynała się msza pogrzebowa. Wiedział, że nie dokuśtyka do kościoła na czas. Zajrzał do portfela, by sprawdzić, czy ma gotówkę na dojazd taksówką do cmentarza.

Ocenił, że z pieniędzmi na ten miesiąc robiło się krucho. Leki na receptę i pity ostatnio w większych ilościach alkohol sprawiały, że fundusze topniały jak lód. Dojazd na czas był jednak ważniejszy niż wszystko inne.

Podczas pogrzebu nadkomisarza Wodzińskiego w powietrzu wisiała mżawka. Wokół trumny zebrało się pełno ludzi, a jednak to Ewa przyciągnęła spojrzenie Berga. Obserwował ją stojącą nad otwartym jeszcze grobem, trzymającą pod ramię ojca. Obok nich dostrzegł matkę, siostrę i niedawno poślubioną żonę zmarłego. Wszyscy mieli w oczach łzy, ale to matką targąta największa rozpacz. Waldemar i Maria Wodzińscy nie przewidzieli, że grób, który przygotowali z myślą o sobie, stanie się miejscem spoczynku jednego z ich dzieci.

Opuszczono trumnę do wnętrza nagrobka, a następnie przykryto go marmurową płytą. Żałobnicy zaczęli składać kwiaty. Berg wymienił spojrzenia ze stojącymi po drugiej stronie grobu Mareckim i Dzikim. Razem z nimi przeżył to piekło, wszyscy czuli się podobnie, a jednak Proca nie znajdował odpowiednich słów, by podjąć rozmowę. Nie miał też odwagi, by podejść bliżej grobu. Gdyby poczuł na sobie

spojrzenie rozżalonych rodziców, spojrzenie Ewy... Wolałby położyć się w tej trumnie na miejscu Wodza.

Przed oczami Berga pojawiła się zakrwawiona, wykrzywiona paniką twarz dowódcy. Niemalże poczuł wyslizgującą się z palców ciepłą tętnicę. Nie mógł wystać spokojnie na miejscu. Wcisnął zmarznięte dłonie do kieszeni kurtki i przecisnął się przez tłum.

Szedł ku cmentarnej bramie. Był tuż przed nią, gdy usłyszał za sobą ostry, łamiący się kobiecy głos.

– Co ty wyprawiasz?! Dlaczego nie zadzwoniłeś? Nie przyszedłeś do nas?

Ewa mówiła przez łzy. Miała czerwone od zimna policzki. Boże! Jak on chciał ją wtedy objąć, jak pragnął być dla niej wsparciem! Widział, że dziewczyna czekała na jego reakcję, ale on wydusił jedynie:

– Przepraszam. Twój brat miał rację. Nie powinniśmy się spotykać.

Odwrócił się, lecz ona agresywnie złapała go za ramię. Skrzywił się, bo poczuł ostry ból gojącej się rany.

– Co ty wygadujesz?! – krzyknęła, patrząc na niego błagalnie. – Zamierzasz odejść, kiedy najbardziej cię potrzebuję?

Jej oskarżenia, będące tak naprawdę wołaniem o pomoc, spowodowały w nim jeszcze większe poczucie bezradności. Nie potrafił dać jej wsparcia, kiedy sam czuł się pogrążony w rozpacz, beznadziejny, niezdolny do działania. Chciał, by przy nim została, jednocześnie pragnąc, by odeszła jak najdalej. Jej obecność rozpałała żarzące się w nim wyrzuty sumienia.

– Kiedy tam byliśmy, myślałem tylko o tobie – odparł pospiesznie, przyparty do muru. Tracił nad sobą kontrolę, głos mu się łamał, a do oczu cisnęły się łzy. – Tylko o tobie... Tylko to trzymało mnie przy zmysłach... Myśl, że wrócę do świata, w którym będziesz ty! Ale teraz... kiedy jest już po wszystkim... mogę myśleć tylko o akcji i o nich. Ich twarze... Ciągle je widzę... Nie mogę, Ewa... Przepraszam.

Dziewczyna stała w bezruchu. Jego wyznanie sprawiło, że zabrakło jej słów. Była to jedna z tych sytuacji, kiedy powiedzenie czegokolwiek niczego nie zmieni. Więcej wyrażają same gesty i spojrzenia.

Berg nie czekał jednak na reakcję dziewczyny. Musiał odejść. Musiał od niej uciec, nim żal stałby się zbyt wielki, by nad nim zapanować. Patrzyła, jak odchodził, kulejąc. Może rzeczywiście miał rację? Wbrew młodzieńczemu zakochaniu i temu wszystkiemu, co poczuli do siebie w ostatnich tygodniach, może Tomek wiedział najlepiej? Mogli zginąć tam wszyscy.

Domyślała się, że ani Berg, ani Marecki i Dziki nie odejdą z pracy. Wydobreją, po

czym nadal będą ścigali przestępców, narażając swoje zdrowie i dysharmonizując życie swoich rodzin. Każdy dzień, każda noc mogą być dla nich ostatnią. Tomek o tym wiedział. Kiedy poróżniał się z mamą o jakieś głupstwo, potrafił półzartem powiedzieć: „Pamiętaj, mamo, że jutro mogę nie wrócić”. Uderzała go za to ścierką, a on uśmiechał się i ją przytulał. Próbował oswoić najbliższych z prawdopodobieństwem, że któraś z akcji zakończy się tragicznie. A może chciał oswoić ze śmiercią samego siebie? Trzymać ją przed oczami, aby dzięki niej zrozumieć, jaki jest cel życia? Śmierć groziła mu częściej niż przeciętnemu człowiekowi, czyhała praktycznie na każdym kroku, na każdym zakręcie. Jednak ani Wódz, ani Adaś nie pojmowali jej jako ostatecznej klęski. Nie podejmowali decyzji opartej na pierwotnym lęku przed śmiercią. Żyli w jej cieniu, ale żyli tak, jak chcieli.

Berg wrócił do swojego mieszkania godzinę później. Przejechał kawałek tramwajem na gapę, ale większość drogi przeszedł o własnych siłach. Potrzebował ruchu, żeby uspokoić nerwy, i świeżego powietrza, żeby pomyśleć. Ostatni kilometr pokonał z bólem w nodze.

Gdy tylko wszedł do domu, sięgnął po proszki przeciwbólne. Na kuchennym blacie stała opróżniona do połowy butelka whisky. „Alkohol czy proszki?” – zastanawiał się przez chwilę. Otworzył pudełko z tabletkami. Listek był pusty, więc wybór dokonał się sam. Odrzucił opakowanie, nalał sobie szklankę alkoholu i szybko ją wychylił. Potem kolejną. Ściągnął z siebie kurtkę, marynarkę oraz buty. Runął na łóżko w ubraniu, przykrył się szczelnie kołdrą i zasnął.

Śnił o tamtej nocy. Adam krwawił, Wódz nie miał już amunicji, a on sam mocował się z pistoletem, który się zacinał i rozpadał. Próbował go poskładać, ale zamek wyślizgiwał mu się z rąk. Z okna zaczęły wylatywać granaty. Wybuchały jeden po drugim. Wiedzieli już, że zginą. „Trzeba było iść na ten koncert” – wysapał Adam. Kolejny wybuch granatu gwałtownie wyrwał Berga ze snu.

Walenie do drzwi uprzytomniło mu, że żaden granat nie eksplodował w pobliżu. Ktoś uratował go przed śmiercią we śnie.

„Niedługo wracam do roboty”

Było mu gorąco. Spocił się, leżąc pod kołdrą w ubraniu, i czuł pieczenie w żołądku po alkoholu. Powoli dokuśtykał do drzwi.

– Proca, wiem, że tam jesteś! Otwieraj!

– Moment! – odkrzyknął, odryglowując zasuwkę. Dopiero teraz poczuł, że jego głowę miażdży silna migrena.

W progu stał Dziki z Mareckim. Marecki wspierał się na dwóch kulach. Miał nogę w gipsie i zabandażowaną rękę.

Berg wpuścił ich do środka, a sam zamknął się na chwilę w sypialni. Otworzył okno, by zaczerpnąć powietrza i ochłonać. Zdawało mu się, że potrzebował samotności oraz ciszy, a przyjaciele zamierzali narzucić mu swoje towarzystwo i roztrząsanie wszystkiego w rozmowie.

Dziki w tym czasie zaczął się rządzić w mieszkaniu. Przyniósł z kuchni trzy szklanki, ale polał tylko sobie i Mareckiemu.

– Nie byłeś na stypie – rzucił Dziki, kiedy Proca wszedł do pokoju, przebrany w suchą koszulkę. – Nie złożyłeś też kondolencji rodzinie...

Berg podrapał się nerwowo po ramieniu. Wiedział, że nie zachował się honorowo. Nie miał zbyt wiele na swoje usprawiedliwienie. Usiadł na brzegu kanapy, na którą zaraz po nim ciężko opadł Marecki, i przyznał:

– Nie miałem odwagi, żeby do nich podejść. Kilka dni przed akcją byłem u nich. Zacząłem spotykać się z Ewą...

– Wiemy o tym – odparł Marecki, po czym upił łyk ze szklanki. – Tym bardziej powinieneś z nimi porozmawiać. Byłeś z ich synem, kiedy umierał. Chcą wiedzieć...

– Co? Co chcą wiedzieć?! – odparł agresywnie i natychmiast poczuł silny ucisk w skroniach. – Myślicie, że jak im powiem, że w ostatnich sekundach Tomek nie mógł mówić, że krew tryskała mu z szyi jak fontanna, to będzie dobrze? Mam im powiedzieć, że wybiegł z ukrycia, żeby mi pomóc, a potem sam oberwał odłamkiem cholernego drewna?! Chryste! – Zerwał się z kanapy, podszedł do okna i otworzył je na oścież. Rozmasował napięte czoło.

Zimne powietrze nieco łagodziło ból głowy.

– To nie była twoja wina, Proca! – odparł Marecki, patrząc na Berga z uwagą. – Ten granat wybuchłby tak czy inaczej. Jak nie ten, to inny. Jak nie wtedy, to pięć minut później. Gdybanie do niczego nas nie doprowadzi i na pewno nie pomoże rodzinie Wodza. Gdyby nie ty, on mógłby zginąć już w pierwszej minucie akcji. Widziałem, jak odciągałeś go za garaż. Chłopaki opowiadały, że potem, jak granat poleciał za land rovera, to pierwszy się poderwałeś i wyciągnąłeś stamtąd Tomka.

Berg odpowiedział westchnieniem. Stał przy tym oknie, pokładając się na parapecie.

Ciszę przerwał Dziki.

– Podobno nieźle cię maglowali na przesłuchaniu.

Proca się wyprostował, zgarnął ze stolika paczkę papierosów i zapalił w oknie.

– Szukają winnych – odpowiedział. – Myślą, że źle oceniliśmy sytuację, że nie byliśmy przygotowani do obławy. Obwiniają ludzi z kierownictwa...

– Kogoś muszą ukarać.

– Nie wystarczy im dwóch zwęglonych bandziorów?!

– Proponowali ci rolę oskarżyciela posiłkowego?

– Tak, a wam?

– Też. Namawiają wszystkich.

Berg zaplótł ręce na piersi, patrząc na kolegów wyczekująco. Bał się zadać im pytanie. Bał się usłyszeć niezadowolającą odpowiedź.

– Odmówiliśmy, jakbyś się zastanawiał... – odparł Dziki, jakby czytając mu w myślach. – Zakładam, że ty zrobiłeś podobnie.

– Tak, odmówiłem, ale pewnie znajdą się tacy, którzy nie odmówią.

– Niech każdy postępuje zgodnie z własnym sumieniem.

Uwaga Dzikiego wywołała chwilę refleksyjnej ciszy. Berg dopalił papierosa i dopiero wtedy podjął temat.

– Wiadomo już, co spowodowało pożar budynku?

– Pewnie elektryka się zjarała – odparł Marecki. Widząc skrzywienie na twarzy sierżanta sztabowego, jego zmarszczone czoło, ledwo widoczne oczy, i czując unoszące się w powietrzu opary alkoholu, zapytał: – Masz migrenę czy zapileś?

– Jedno i drugie. Masz te białoruskie proszki?

Marecki zaprzeczył ruchem głowy.

– Będziesz jutro na pogrzebie Adasia? – zapytał, by nabrać pewności.

Już nieraz widział ludzi nieradzących sobie ze śmiercią rodziny lub przyjaciół. Ból trawił i zabijał ich od środka, a pożałowanie zmarłego stawało się mniejsze niż pożałowanie samego siebie. Tacy nie byli w stanie znieść myśli o pogrzebie, a co dopiero pojawić się na nim.

Berg spojrzał na Mareckiego pytająco i odparł:

– Jak mógłbym nie przyjść na jego pogrzeb? A ty nie powinienes być jeszcze w szpitalu?

– W szpitalach czuję się chory. Niedługo wracam do roboty.

Proca prychnął żałośnie.

– Żartujesz sobie?

– Nie. Przenoszą mnie do papierków, ale ciągle mamy robotę. Walicki nadal jest na wolności...

– Masz połamaną nogę...

– I straciłem dwa palce w prawej dłoni, ale co z tego? – odparł starszy aspirant, podnosząc się z kanapy, a Dziki poszedł za jego przykładem. – Kazałem Dzikiemu przywieźć mnie do ciebie, bo chciałem ci podziękować. Gdyby nie ty, już bym nie żył. Nie biczuj się za bardzo, Proca. Nie uratujesz całego świata i nikt od ciebie tego nie wymagał. Ewa też nie.

Berg odprowadził ich do drzwi. Kiedy je otworzył, z żalem przyznał:

– Nigdy nie zapomnę tamtej nocy. Twarzy jej brata, kiedy umierał, a ja nie mogłem nic zrobić...

– Żaden z nas nie zapomni tamtej nocy, Proca. To niemożliwe. Ale nie chodzi o to, żeby zapomnieć, tylko żeby nauczyć się żyć z tymi wspomnieniami.

Marecki wyszedł.

Dziki położył jeszcze dłoń na ramieniu Berga i po chwili wahania uściśnął go.

– Dzwon do nas, jak będziesz chciał pogadać. Rozumiesz? Nie zamykaj się w skorupie! No, to do jutra.

Berg delikatnie zamknął za nimi drzwi. Byli jak niespodziewany podmuch wiatru, który pojawił się znikąd i zostawił za sobą stos porozrzucanych myśli i uczuć.

Gdy wrócił do pokoju, jego wzrok wylądował na stojącej pod ścianą gitarze. Złapał

milczący instrument za gryf i usiadł w fotelu, ściskając go oburącz. Jak fala, która się cofa, a później wraca, znowu zalał go żal.

„Jakieś nowe informacje?”

Ból głowy nie ustawał. Uniemożliwiał myślenie i normalne funkcjonowanie. Berg wrócił do łóżka i nałożył poduszkę na głowę, by osłonić się od światła dnia. Po paru minutach również leżenie stało się nie do wytrzymania. Znał już ten stan. Wiedział, że zwykły ibuprofen nie przyniesie ulgi. Zadzwoił do lekarza z prośbą o receptę na proszki opioidowe na ból nogi oraz jakieś tryptany na migrenę. Lekarz się zgodził, choć niechętnie – zbyt często miał do czynienia z nieszczęśnikami, którzy uzależniali się od leków. Zapewnił, że recepta będzie do odebrania jutro. Słyszając to, Berg miał ochotę rzucić słuchawką. Pomyślał, że jak tak dalej pójdzie, to do jutra wydłubie sobie oczy albo zacznie walić głową o ścianę.

Skupienie na bólu migrenowym sprawiło, że nie zwracał tak wielkiej uwagi na rwanie w nodze. Wyszedł z mieszkania bez kuli i kazał taksówkarzowi zawieźć się na Bakalarską.

Ruch na targowisku był spory. Ludzie przeciskali się między wąskimi przejściami, prowadzili ożywione rozmowy z handlarzami. Słysząc było pokrzykiwania po polsku, wietnamsku, ukraińsku, serbsku... Towary wylewały się z półek, stojaków, stolików i ledwo trzymających się kupy kartonowych pudeł.

Proca dość szybko natknął się na kilku mężczyzn handlujących papierosami bez akcyzy. Mieli na sobie wyjątkowo obszerne kurtki i mrucze pod nosem, jakby do siebie: „Tanie papierosy, duży wybór”. Po kilku minutach Berg zdał sobie sprawę, że krążenie między boksami w poszukiwaniu niemieckiej chemii, z Białorusinem

sprzedającym pod ladą proszki przeciwbólne, może zająć godziny i nie przynieść pożądaných efektów. Podeszedł więc do pierwszego lepszego stoiska z warzywami.

Energiczna, mocno opalona jak na tę porę roku kobieta o popielatych włosach przywitała go głośnym „dzień dobry”. Zbyt głośnym jak na jego stan.

– Szukam chemii z Niemiec – odparł, ściągając brwi. – Podobno handluje nią jakiś Białorusin.

– To będzie Tolek! Szuka pan sklepu Tolka.

Na twarzy sierżanta błysnął nieznaczny uśmiech. Poczuł ulgę na samą myśl o cudownych tabletkach.

– Wszyscy tu znają tego nicponia! – Kobieta zaśmiała się głośno. – Idzie prosto tą alejką, a potem druga w lewo. Za boksem, gdzie naprawiają komórki. Jak się zgubi, to zapyta o Tolka. Każdy powie, jak iść!

Podziękował i z ulgą oddalił się od krzykliwej sprzedawczynie. Po minucie stanął przed niewielkim boksem opatrzonym czerwonym napisem: „Chemia z Niemiec”.

Wszedł do zagraconego wnętrza. Towar stał na półkach i na podłodze, pozostawiając niewiele miejsca dla klientów.

Sprzedawca obrzucił go przelotnym spojrzeniem.

– Co dla szanownego pana? – zapytał ze wschodnim akcentem.

– Dostałem namiar na pana od znajomego – przyznał Berg, czym szybko zdobył wzmożoną uwagę sprzedawcy. Dostrzegł jednak niepewność na jego twarzy, więc wyjaśnił: – Chodzi o proszki przeciwbólne.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Niech się pan zlituje, migrena mnie zabija od kilku godzin. Kolega nazywa się Rafał Marecki. Wysoki, jasne włosy na jeża. Parę razy uratował mi życie tymi tabletkami. Biało-niebieska saszetka, po dwie w środku...

Sprzedawca patrzył na niego przez moment badawczo.

Berg słabym głosem kontynuował:

– Nie obchodzi mnie, skąd pan to ma i co w tym jest. Ważne, że działa...

– Marecki? Gliniarz?

Sierżant przytaknął. Nie wyskakiwał od razu z legitymacją, nie wiedział bowiem, czy Marecki przychodził tu prywatnie, czy zdradził Tolkowi, że pracuje w policji.

Sprzedawca nie tracił rezerwy wobec nieznanego, ale po chwili zapytał:

– Pan też?

– Co ja też?

– Robi w policji?

– No, robię.

– Ile tych saszetek?
– Nie wiem, z dziesięć... Po ile są?
– Za dziesięć to będzie razem pięć dych – odparł sprzedawca, kładąc na ladzie luźne saszetki.

Berg wyjął portfel i położył przy kasie pięćdziesiąt złotych.

Sprzedawca chwycił banknot, pomacał go i zapytał:

– Jakież nowe informacje?

Proca powoli wkładał saszetki do kieszeni kurtki i nieco zbity z tropu, analizował pytanie Tolka. Zrozumiał, że facet oprócz proszków dostarczał też Mareckiemu informacji.

– Jak najbardziej, informacje mogą być... – odparł ostrożnie.

Facet otworzył kasę. Uniósł wkładkę na monety i po chwili na ladzie wylądowała koperta.

Proca patrzył na nią z niedowierzaniem. W jego cierpiącej głowie szaleńczo galopowały myśli.

– No, to co mam przekazać reszcie? – dopytał Tolek, nieco już zniecierpliwiony milczeniem sierżanta.

Nagle wszystko stało się dla Berga przerażająco jasne.

– Skurwysyn... – syknął przez zęby i szybko wyszedł ze śmierdzącego środkiem chemicznymi boksu.

Po tym wszystkim, co go ostatnio spotkało, nie spodziewał się dodatkowego ciosu w plecy od jednego z najbliższych współpracowników. Tego było już za wiele. Był tak wściekły, że prawie zapomniał o dręczącej go migrenie.

„Jak mogłeś nas zdradzić?!”

Dzwonienie i pukanie trwało dłuższą chwilę, nim drzwi mieszkania Rafała Mareckiego stanęły przed Bergiem otworem. Gdy tylko to się stało, Proca pchnął skrzydło tak, że starszego aspiranta odrzuciło do tyłu. Cios w twarz powalił go z kolei na podłogę.

Marecki nie miał zamiaru pozostawić niespodziewanego ataku bez odpowiedzi. Nim Berg dopadł do leżącego, ten zamachnął się kulą i uderzył sierżanta w zranioną nogę.

Berg runął na ziemię, pokonany nieznośnym bólem, który mimowolnie ugiął pod nim kolana, a z gardła wydobył jęk.

– Odpierdoliło ci, Proca?! – wrzasnął na niego Marecki, wycofując się do przeciwległej ściany. Pospiesznie zaczął podnosić się z podłogi, wspierając ciało na kulach. Podparł się jedną z nich, a drugą trzymał w gotowości bojowej.

Berg oparł się o ścianę i z żalem łamiącym głos powiedział:

– Coś ty narobił, Marecki?! Coś ty, kurwa, narobił?!

– Co?! Co takiego zrobiłem?!

– Rozmawiałem z twoim Białorusinem!

Marecki nieco opuścił kulę, a sztabowy kontynuował:

– Chciałem kupić od niego proszki, a dostałem kopertę z łapówką za informacje. Jak mogłeś nas zdradzić?!

Aspirant milczał przez chwilę, choć wyraz jego twarzy mówił wiele.

– Ty myślisz, że to ja sabotowałem akcję w Lesznowoli? Na serio, Berg?!

– Wiem, że ktoś ich uprzedzał! Wódz też to wiedział. Podejrzewaliśmy kogoś z góry, ale przez myśl nam nie przeszło, że to mógłbyś być ty...

– Bo to nie byłem ja – odparł zadziwiająco spokojnie. Podszedł do Berga i wyciągnął ku niemu rękę.

Proca wolał jednak wesprzeć się na stojącej obok szafce. Marecki odsunął się od niego przezornie. Patrzył koledze na ręce, chcąc możliwie jak najwcześniej dostrzec nadciągający cios. Kiedy uznał, że sztabowy ma dosyć rękoczynów, przeszedł powoli do kuchni. Tam wyciągnął z szafki kieliszek. Nalał sobie wódki. Całość wypił na dwa łyki i dopiero potem powiedział:

– Informowałem Tolka o planowanych inspekcjach i większych nalotach na bazar. Tolek koordynuje tam chłopaków handlujących fajkami bez akcyzy. Mam znajomego w urzędzie celnym... Potrzebowałem kasy, Proca.

– Jak wszyscy...

– Nigdy nie zrobiłbym czegoś, co zagroziłoby naszemu bezpieczeństwu. Nie zdradziłbym przyjaciół.

– Wódz o tym wiedział?

– Nie – odparł Marecki bez chwili namysłu. – Nie wiedział i nie miał się dowiedzieć, a ja chciałem już z tym skończyć. Od paru miesięcy nie byłem u Tolka. Pewnie myślał, że cię przysłałem.

Berg nadal stał w progu, niewzruszony żalonym spojrzeniem starszego aspiranta. Ten otarł pot z rozgrzanego bólem i emocjami czoła. Jego wytłumaczenie, mimo że nieco umniejszyło jego winę, wcale nie sprawiło, że Proca zamierzał traktować go łagodniej.

– Żałuję tego, co zrobiłem – przyznał Marecki. – Gdybym mógł cofnąć czas...

– Ale nie możesz.

– Zamierzasz to zgłosić?

– Szczerze, Marecki, to mam to gdzieś, ale wolałbym, żeby nasze drogi więcej się nie krzyżowały.

Starszy aspirant przytaknął, po czym nalał sobie kolejny kieliszek.

Berg czuł się zdradzony. Zdawał sobie sprawę, że przyjmowanie łapówek było dość częstą praktyką. Sam otrzymał już kilka podobnych propozycji, które konsekwentnie odrzucał. Jednak nigdy, w najgorszych koszmarach, nie wyobrażał sobie, żeby którykolwiek z jego najbliższych kolegów połasił się na pieniądze, kosztem sprzeniewierzenia się wyznawanym przez nich wartościom. Stało się.

Wyszedł z mieszkania Mareckiego bez pożegnania. Znowu kulał i żałował, że nie

miał na czym się wesprzeć.

„Ty już nigdy nie zagrasz i ja też nie”

Rano z płytkiego snu wybudził Berga telefon. Dzwoniącym był lekarz, który oznajmił, że recepta na leki przeciwbólowe jest gotowa i czeka na odbiór w rejestracji przychodni.

Proca spojrział na swoją nogę. Lekko rwała. Leki, które miał przyjmować, były mocne. Mogły całkiem zniwelować dolegliwości, ale branie ich miało swój koszt. Otępiały umysł. Przymułały. Postanowił, że dziś obędzie się bez nich, a jutro postara się zrobić to samo.

Założył garnitur, wypił poranną kawę, wpakował gitarę w pokrowiec, po czym wyszedł z mieszkania.

Pogrzeb Adama Dukowskiego odbył się w chłodny, choć słoneczny poranek, który nastąpił po deszczowej nocy. Podczas mszy Proca trzymał się z tyłu. Z jednej strony chciał znaleźć się jak najbliżej trumny, chciał ją ponieść, ale nie dałby rady ze zranioną nogą. Patrzył na wychodzący z kościoła pochód i poczuł, że nie ma prawa iść przed tymi wszystkimi ludźmi, więc opuścił świątynię jako jeden z ostatnich.

To nie musiało skończyć się w ten sposób. Może gdyby naciskał na Wodza, żeby być z Adasiem w jednej grupie, wszystko wyglądałoby inaczej? Może gdyby dotarł do niego wcześniej... Tych „gdyby” znajdował w swojej głowie wiele, ale żadne z nich nie przynosiło choćby najmniejszej ulgi, a fakt pozostawał jeden i niezmienny: Adaś zginął, a jego najbliższy przyjaciel musiał nauczyć się żyć bez niego.

Dotarcie do grobu Adama Dukowskiego było z początku niemożliwe, bo żałobnicy tłoczyli się między nagrobkami, blokując wąskie alejki. Berg rozpoznawał większość poważnych twarzy. Przechodząc obok chłopaków z zespołu, uścisnął im dłonie, ale nie przystanął na rozmowę.

Mareckiego unikał spojrzeniem, jednak przywitał się z Tyszką oraz Dzikim.

Oni z zainteresowaniem spojrzeli na gitarowy pokrowiec, który Proca ze sobą przyniósł. Najwyraźniej podejrzewali, że ma to coś wspólnego z pożegnaniem przyjaciela, jednak nie poruszyli tematu.

Dziki odciągnął Berga na bok i ścisłym głosem zapytał:

– Wiesz, o co chodzi z Mareckim?

– A co? – rzucił ostrożnie Proca.

– Powiedział, że nie wróci do jednostki. Najpierw był zdecydowany, palił się do pracy, a nagle zmienił zdanie. Rozmawiałeś z nim może? Mówił ci dlaczego?

Starszy aspirant świdrował Berga spojrzeniem, jakby przeczuwał, że sztabowy ma odpowiedzi na dręczące go pytania. Jednak twarz sierżanta nie zdradzała żadnych emocji, żadnego zawahania.

– Nie wiem – odparł zdecydowanie.

Jego odpowiedź nie pocieszyła Dzikiego. Proca spodziewał się, że prawda przygnębiłaby go jeszcze bardziej.

Kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić, Berg powędrował w głąb cmentarza. Powłóczył się trochę między alejkami, próbując poskładać myśli w sensowną całość. Wrócił po kilku minutach i zastał grób obłożony kwiatami.

Usiadł na ławce obok szarej płyty nagrobnej. Ostrożnie ściągnął plecak oraz przewieszony przez ramię pokrowiec z gitarą. Przebiegł spojrzeniem po wieńcach i obwiązanych wokół nich szarfach. „Utalentowanemu muzykowi”, „Graj z aniołami”, „Kochanemu synowi”, „Bohaterowi w służbie ojczyźnie... koledzy z pracy”. Koledzy, którzy, choć próbowali, nie dali rady udzielić mu pomocy.

W powietrzu unosiła się intensywna woń lilii. Poustawiane wokół grobu znicze jaśniały ciepłymi kolorami. Paliły się równo i spokojnie. Cicho. Z wytrwałością.

Berg rozsunął zamek błyskawiczny przy plecaku. Ze środka wyciągnął dwa kieliszki oraz piersiówkę. Polał po równo w wyjątkowym skupieniu. Mieli dopić z Adasiem butelkę whisky po akcji. Byli tacy pewni, że to zrobią... Berg wypił swój kieliszek, a zawartość drugiego chlusnął na kwiaty.

Miał przyjacielowi tyle do powiedzenia, a nie wypowiedział nawet jednego słowa. Dusił w sobie myśli, które coraz głośniejszy krzyczały w jego głowie. Kiedy stały się nie do zniesienia, wstał, by odejść, lecz przypomniał sobie o jeszcze jednej rzeczy.

Obiecał mu coś. Tuż przed śmiercią.

Z opartego o ławkę pokrowca wyciągnął gitarę. Położył ją sobie na kolanie. Palcami przejechał wzdłuż zimnych stalowych strun. Nie wydały dźwięku. Postawił instrument obok nagrobka. Z czarno-białego zdjęcia błyszczała para radosnych i dumnych oczu.

– Ty już nigdy nie zagrasz i ja też nie – wydusił Berg. Wiedział, że Adam by tego nie pochwalił, jednak znad grobu unosiło się wyłącznie lodowate milczenie.

Ruszył z powrotem błotnistą ścieżką. Mokra ziemia chlupała mu pod butami, a na pobliskich drzewach rozśpiewały się ptaki. Gdzieś z ziemi wznosiły się łodygi przebiśniegów.

Zatrzymał się, przechodząc obok cmentarnej kaplicy. Teraz była już pusta. Wszedł do środka i usiadł w jednej z ławek. Ciche wnętrze wypełnił jęk drewna.

Siedział przez moment, pochylony, z rękami opartymi o pulpit ławki przed nim. Nie sądził, że Bóg opuścił ich tamtej nocy, a jednak czuł w sercu żal. Nie mógł pozbyć się myśli, że to, co się stało, było zwyczajnie niesprawiedliwe.

Nagle odniósł wrażenie, że nie jest sam. Spojrzał w bok i zobaczył stojącą przy ławce Ewę. Usiadła obok ze wzrokiem wzniesionym na krzyż.

– Po pogrzebie poszłam jeszcze do grobu Tomka i jak wracałam, zobaczyłam, że tu wchodzisz.

– Lubię puste kościoły. Można w nich spokojnie pomyśleć.

– I usłyszeć Jego szept. – Spojrzała na Berga przeskłonymi oczami. – Nie chcę ci przeszkadzać. Chciałam tylko, żebyś wiedział, że myślałam nad tym, co powiedziałaś, i rozumiem. Rozumiem też, dlaczego Tomek nie był zadowolony, jak zaczęliśmy się spotykać. Jednak po twojej wizycie u nas... przeprosił mnie, wiesz? Powiedział, że popełnił błąd, pozwalając, żeby strach i obawy wpływały na jego zachowanie. „Gdybym podejmował decyzje, kierując się strachem, nie pracowałbym w policji, albo nigdy bym się nie ożenił” – tak powiedział. I tak żył. Gdybyście się kierowali strachem, ucieklibyście stamtąd po pierwszym wybuchu. Ale zostaliście. Rozkazy i cel misji zawsze będą ważniejsze niż wasze zdrowie i życie. Gdybyś jednak chciał dla równowagi... jak Tomek... wypełnić swoje życie czymś jeszcze... nie bój się do mnie zadzwonić, albo przyjść.

Wstała, ale on, jakby pod wpływem nagłego impulsu, złapał jej delikatną dłoń.

– Zostań, proszę – wyszeptał.

Usiadła ponownie, a kiedy objął ją ramieniem, wtuliła się w niego.

Poczuł, że zadrżała – zaczęła płakać, więc przytulił ją jeszcze mocniej. Siedzieli otoczeni ciszą. Razem trawili ból, razem patrzyli na przyszłość z nadzieją, że uda im

się wypełnić pustkę miłością.

„Chcę wrócić do pracy”

W kawiarni przy ulicy Wałbrzyskiej leciała spokojna muzyka. Łagodnie szumiały głosy klientów i dźwięczały łyżeczki odkładane na spodki od filiżanek.

Proca upił łyk kawy i ponownie wyjrzał przez okazałą witrynę na ulicę. Po jej drugiej stronie znajdowała się restauracja serwująca polskie jedzenie. Tak przynajmniej głosił zawieszony nad drzwiami szyld: „Dobre, bo polskie”. Kilka tygodni temu do tej właśnie restauracji wszedł poszukiwany przez policję Szymon Walicki. Tuż przed tym, jak przyłożył sztabowemu nóż do gardła.

Berg liczył na ponowne spotkanie, więc w wolnym czasie przesiadywał w kawiarni, obserwując sąsiedni budynek. Jednak Walicki nie pojawił się ani tego dnia, ani w dniach poprzednich. Do sztabowego zaczęło docierać, że czekanie, aż bandyta ułoży się przed nim na talerzu, nie ma najmniejszego sensu. Nie tego uczył go przecież Tomasz Wodziński. „Inwestuj w relacje z ludźmi” – tak mu kiedyś powiedział, a od czasu tragedii w Lesznowoli relacje Berga ze wszystkimi wokoło pozostawiały wiele do życzenia.

„To nie ma najmniejszego sensu” – powiedział sobie w duchu, po czym dopił kawę i wstał od stołu. Na zewnątrz obrzucił jeszcze restaurację ostatnim spojrzeniem i wsiadł do tramwaju, który po kilkunastu minutach dowiózł go do siedziby jednostki.

Wszedł do budynku. Z niemałym trudem wdrapywał się po schodach. Wspierał się na poręczy, a każdy kolejny krok przyplącał bólem nogi. Spocony dotarł na

półpiętro, gdzie stanął nagle, porażony niespodziewanym widokiem. Na ścianie wisiały dwie fotografie przyozdobione czarnymi szarfami. Na pierwszej widniała dumna twarz nadkomisarza Tomasza Wodzińskiego, na drugiej zaczepne spojrzenie młodszego aspiranta Adama Dukowskiego. Pod ścianą leżała wiązanka z białych róż. Ich zapach unosił się w powietrzu.

Przyjaciele patrzyli prosto na niego. Milczeli, a jednak wydawało mu się, jakby słyszał ich głosy. „Mamy robotę” – rzucił Wódcz. „Zrobimy to razem” – zapewnił Adaś. Berg odetchnął głęboko, po czym zmierzył się z kolejnym półpiętro schodów.

Na miejscu praca toczyła się jak zawsze, tylko twarze funkcjonariuszy wydawały się smutniejsze, bardziej zasępione niż zazwyczaj. Berg przywitał paru kolegów skinieniem, ale nie przystanął na rozmowę. Kierował się prosto do biura naczelnika.

Biurko sekretarki było puste, co nie mogło zwiastować niczego dobrego, a zza uchylonych drzwi dochodziły odgłosy szurania, szelest papierów i chrząknięcia. Proca zapukał, po czym wprosił się nieśmiało do środka. Naczelnik krzątał się po pomieszczeniu, pakując dokumenty i jakieś rzeczy osobiste do kartonowego pudełka. Spojrzał na sztabowego spod przymrużonych powiek.

– Berg, prawda?

Proca przytaknął.

Naczelnik zmierzył go spojrzeniem, smutno pokręcił głową, a potem skinął na jedno z krzeseł pod ścianą.

– Siadaj. Widzę, że stanie sprawia ci trudności.

Sierżant sztabowy rzucił okiem na krzesło i ogołoconą z dyplomów ścianę, po czym wyprostował się, stając niemalże na baczność.

– Przyszedłem powiedzieć, że chcę wrócić na służbę najszybciej, jak będzie to możliwe.

Naczelnik odłożył tekturową teczkę do kartonu. Usiadł na blacie biurka.

– Po co się spieszyć? Dostałeś miesiąc zwolnienia. Nikt nie będzie miał pretensji, jeśli postanowisz to przedłużyć.

– Nie chcę niczego przedłużać. Chcę wrócić do pracy.

Naczelnik zaplótł ręce na piersi.

– Jak się pewnie domyślasz, nie mam już wpływu na decyzje podejmowane w tym wydziale. Jutro pojawi się nowy naczelnik...

– Jutro. Dzisiaj nadal dowodzi pan. Proszę o oddelegowanie mnie do jakiejś papierkowej roboty, przesłuchań, działań operacyjnych, cokolwiek, bylebym brał udział w dochodzeniu.

– Skąd ten pośpiech?
– Walicki nadal jest na wolności.
– Ach tak, Szymon Walicki... – Naczelnik odetchnął ciężko. Przyglądał się sztabowemu z uwagą, jakby próbował przeświecić najskrytsze zakamarki jego umysłu. Po chwili milczenia odparł: – Przygotuj papierki, to ci je podpiszę. Pod jednym warunkiem...

– Jakim?

– Że wyrazi na to zgodę starszy aspirant Roszkowski.

– On teraz prowadzi dochodzenie?

– Wydawał się najwłaściwszą do tego osobą.

Berg przytaknął, odmeldował się i wyszedł.

Siedziba grupy dochodzeniowej znajdowała się z drugiej strony budynku. Północnej – tej gorszej... ciemniejszej. Do pokoju wszedł jak zawsze bez pukania. W środku siedziało dwóch funkcjonariuszy. Byli członkami zespołu już od dawna, ale dotąd odsyłano ich do najnudniejszych i najprostszych zajęć.

– Pukanie wyszło z mody? – zapytał jeden z nich, siedzący za biurkiem Procy. Gdy uniósł spojrzenie znad papierów i zobaczył, kto jest niewychowanym intruzem, zerwał się z krzesła, stając na baczność, a kolega poszedł za jego przykładem. – Przepraszam! Nie wiedziałem, że to pan sztabowy!

– Zdurniałeś, Mikulski? Siadaj. Szukam Dzikiego.

– Aspirant Roszkowski jest u siebie.

Berg wskazał palcem na biurko stojące pod oknem.

– To jest jego biurko. Jakoś go za nim nie widzę.

– Aspirant Roszkowski został przeniesiony do biura nadkomisarza Wodzińskiego
– odparł Mikulski, siadając powoli.

Proca wziął głęboki oddech. Spodziewał się, że wizyta na komendzie wywoła w nim jakieś poczucie stabilności i stałości, a znajdował jedynie zmiany oraz osłabienie struktur.

„Nie chcę dowodzić”

Stanął przed drzwiami, na których nadal widniało nazwisko: „Wodziński”. Zastanawiał się, czy powinien zapukać. Pomyślał, że skoro już stoi i myśli, to pukanie nie zaszkodzi.

– Proszę! – odezwał się Dziki niskim głosem.

Proca wszedł do środka. Najpierw zobaczył puste biurko Wodzińskiego, a potem Dzikiego, siedzącego na małej, zdezelowanej dwuosobowej kanapie pod ścianą, nachylonego nad papierami rozłożonymi na niewielkim stoliku. Patrzył na Berga oczami jak pięciozłotówki.

– Ciebie się nie spodziewałem – powiedział, odkładając długopis.

– Ja ciebie też nie... w tym pokoju.

– Taaak... – powiedział przeciągle Dziki i podrapał się po karku. – Odmówiłbym, ale gdybym to zrobił, wsadziliby na to miejsce kogoś, kto nie ma pojęcia o sprawie. Wprowadzanie nowego byłoby stratą cennego czasu.

– Czyli ucieszy cię wieść, że chcę wrócić do roboty.

– Teraz?! Z tą kulejącą nogą?

Berg spojrział na niego wymownie i podszedł do biurka Wodzińskiego. Powoli odsunął fotel na kółkach i usiadł na nim.

– Dlaczego nie pracujesz przy biurku?

– Nie mogę się tam skupić – przyznał Dziki.

Berg świdrował go spojrzeniem.

– Jakiś czas temu naszedłem się z Walickim. Jeździł czarnym bmw. Zapisalem sobie blachy. Wpadł na chwilę do restauracji przy Wałbrzyskiej, ale raczej w interesach niż z głodu...

– Proca... – Dziki wstał i podszedł do biurka, lecz nim dokończył zdanie, sztabowy wszedł mu w słowo.

– Chcę wrócić już teraz. Dopadniemy tego skurwysyna. Ostatnie ogniwo tej cholernej sprawy. Rozmawiałem już z naczelnikiem. Powiedział, że decyzja należy do ciebie. Nie rób mi problemów, Dziki. Potrzebuję tego.

Starszy aspirant usiadł na blacie biurka. Zaplótł dłonie i uśmiechnął się blado.

– Siedzisz na właściwym miejscu, Proca. Zawsze mówiłem, że prześcigniesz nas wszystkich. Jesteś jak Tomek. Wiesz, czego chcesz i jak to osiągnąć.

– Nie chcę dowodzić. To zbyt duża odpowiedzialność.

– Kiedyś będziesz, a odpowiedzialność sprawi, że staniesz się rozważniejszy.

– Czy to znaczy, że mogę przyjść jutro do pracy?

– Daj mi te blachy i adres restauracji. Zobaczę, co da się zrobić.

Sztabowy wyciągnął z kieszeni notatnik i wyrwał z niego kartkę. Zapisał na niej informacje, a po chwili Dziki zniknął za drzwiami biura. Berg czekał cierpliwie, tak jak tamten mu polecił. Rozglądał się po pomieszczeniu, a każdy jego kąt przypominał mu o Tomku Wodzińskim. Po kilku minutach wrócił aspirant Roszkowski.

– Sprawdziłem już blachy samochodu i właściciela tej restauracji.

– No i? – dopytał Berg, bo Dziki wyglądał, jakby nie zamierzał rozwinąć myśli.

– Samochód jest na żonę...

– Żona Walickiego nie ma z nim kontaktu – rzucił Proca, wyciągając potrzebne informacje z pamięci jak z policyjnej bazy danych. – Nie będziemy mieli z nią tyle szczęścia, co z Laczykową.

– No właśnie – przyznał bezradnie Dziki.

– A lokal? Kto jest właścicielem?

– Mikołaj Jaroszewski...

– To on jest na wolności?

– Nie, ale ma syna...

– I syn prowadzi lokal. Jaroszewski siedzi za handel narkotykami. Był jednym z najlepszych dilerów Laczyka i Walickiego, a nigdy nikogo nie sypnął. Idealny współpracownik, z którym warto pozostać w dobrych relacjach.

– Tak. Dlatego powinniśmy...

– Znaleźć mocnego haka na syna i wtedy pogadać ze starym.

– O ile...

– O ile stary ma nadal coś do gadania. Myślisz, że syn wgryzł się w interesy tak, że przejął pałeczkę po ojcu?

– Poobserwujemy, to się dowiemy. Ostatnie ogniwo łańcucha. – Dziki spojrzał koledze w oczy i po chwili dodał: – Dorwiemy go, Proca.

– Dorwiemy go – powtórzył sztabowy, potakując ruchem głowy. Zastanowił się przez moment, po czym zapytał: – A co z kretem?

Dziki wziął głęboki wdech, jakby nagle coś ciężkiego zważyło się na jego klatkę piersiową.

– Nadal myślisz, że mieli w policji wtyczkę?

– Nie ja jeden tak uważam.

Dziki przytaknął.

– Nie mamy na to dowodów, Proca. Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to powiem ci tak: zgniłe jabłka zawsze będą między nami, a nie na wszystkie pytania znajdujemy odpowiedzi. Im szybciej się z tym pogodzisz, tym lepiej.

– Lepiej dla kogo?

Aspirant odpowiedział smutnym uśmiechem i po chwili odparł:

– Widzimy się tutaj jutro, z samego rana.

Zmiany dotknęły ich wszystkich. Zazwyczaj milczący, zamknięty w sobie Dziki miał teraz dowodzić innymi. Pocić się i trudzić, próbując znaleźć odpowiednie motywujące słowa. To, co usłyszał od niego Proca, owszem było motywujące, ale stanowiło też niemałe zaskoczenie. „Jesteś jak Tomek” – to zdanie powracało do niego wielokrotnie. Nadal uważał, że było mu daleko do mistrzostwa, jakie osiągnął Wodziński, ale w przyszłości zamierzał dorównać dowódcy, który dwa razy uratował mu życie. Powtórzył sobie w myślach trzy powierzone mu przez Wodza zasady: „Bądź lojalny wobec kolegów z wydziału i wobec własnego sumienia. Nigdy nie lekceważ przeciwnika”. Wyrył to sobie w sercu.

PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ

63

„Już werbujesz ekipę”

Niewielkie grupy dzieci maszerowały przez miasto. Dźwigały ciężkie plecaki, dojadały w biegu śniadania, prowadziły między sobą błahe rozmowy. Promienie słońca wkradały się między korony drzew, nadając kolorowym liściom jeszcze mocniejsze żółte i czerwone barwy.

Pięcioro uczniów zajęło całą szerokość chodnika. Biegący za nimi mężczyzna wbiegł na trawnik, by ich wyminąć. Pod jego stopami zaszeleściły liście. Po przebyciu trzech kilometrów miał już dobrze rozgrzane ciało i przepoconą koszulkę. Spojrzał na zegarek i nieco podkręcił tempo. Po chwili odbił w ulicę Garażową i na znajdujący się tam niewielki parking. Wszedł za metalowe drzwi, gdzie rozciągnęła się obszerna przestrzeń sali treningowej.

– Spóźniłeś się trzy minuty – powiedział podinspektor Filip Tyszka, obrzucając przybysza oceniającym spojrzeniem.

– Kilka razy łapała mnie kolka – wyjaśnił Alan Berg, po czym otrzymał niespodziewany cios rzuconą w niego rękawicą bokserską.

– To za co?!

– Za wymówki. Wskakuj do ringu, mam dla ciebie dobrego sparingpartnera. Adam, chodź no tutaj!

Na dźwięk tego imienia Bergowi skoczyło tętno. Dostał od Tyszki butelkę wody, z której upił kilka łyków. Z głębi sali przybliżył się do nich łysy, dobrze zbudowany

chłopak o bystrych oczach i nieco butnym wyrazie twarzy.

– To jest Impuls, a to Proca.

Stuknęli się rękawicami. Chłopak wskoczył na ring i zajął miejsce w jednym z narożników.

– To przecież dzieciak – ocenił Berg, nachylając się do ucha Tyszki.

– Tak? – zdziwił się podinspektor, siadając na krześle pod ringiem. – Więc nie powinieneś mieć z nim problemu.

Sztabowy westchnął, zaciskając mocniej pierwszą rękawicę. Nie chciał poturbować młodego, który dopiero co zaczynał przygodę z boksem, ale to Tyszka decydował.

Zostawił pod krzesłem służbową komórkę, z którą nie rozstawał się nawet podczas biegania, po czym założył drugą rękawicę i wszedł na ring.

Pięściarze krążyli przez chwilę wokół siebie. Każdy z nich próbował znaleźć możliwość, by zadać pierwszy, czysty cios. Chłopak zamachnął się, ale Berg uniknął uderzenia i szybko wyprowadził kontrę. Jedno trafienie w skroń zwaliło Impulsa na deski.

– W porządku? – zapytał Berg, przykucając obok leżącego chłopaka.

Ten przytaknął, choć wydawał się nieco zamroczony.

Sztabowy pokręcił głową. Wstał, podszedł do narożnika i zagadał do Tyszki.

– Szkoda chłopaka. Zniechęci się. Nie jest za szybki...

Tyszka tylko skinął głową na ostrzeżenie.

Gdy Berg się obrócił, zobaczył nacierającego, gotowego do walki przeciwnika. Impuls zamachnął się prawym sierpowym. Sztabowy ledwo uniknął ciosu i szybko został zmuszony do paru kolejnych uników. Impuls wyraźnie dopiero się rozgrzewał. Jego uderzenia stały się mocniejsze i dużo bardziej celne. Berg przyjmował je w tułów, po czym oddawał podobnymi. Po chwili tempo wymiany ciosów między przeciwnikami zaimponowało nawet Tyszce, który nie mógł już spokojnie wysiedzieć na krześle. Wisiał teraz na linkach, uważnie śledząc każdy ruch przeciwników.

W końcu chłopak uderzył Berga z taką siłą w brzuch, że pod sztabowym ugięły się kolana.

– Jednak nie jest aż taki wolny – wysapał do uśmiechniętej, pałającej satysfakcją twarzy podinspektora.

Jeszcze przez chwilę kontynuowali wymianę uderzeń, aż stało się coś niemal niemożliwego. Impuls i Proca przymierzyli się do ciosu jednocześnie. Wyprowadzili go w tym samym czasie tak, że ich pięści spotkały się idealnie pośrodku. Uderzyły w siebie z taką siłą, że obaj pięściarze zostali zmuszeni do chwilowego wycofania się.

Z ust Impulsa wydobył się syk bólu. Z kolei Berg krążył od narożnika do narożnika, rozmasowując bark.

– Gdzie ty go znalazłeś?! – zapytał po chwili podinspektora.

– Na kursie przygotowawczym.

– Wstępuje do policji?

Tyszka przytaknął.

– Mam chłopaka na oku. Jak zaliczy wszystkie egzaminy, będę próbował go ściągnąć do siebie, do narkotyków.

– Już werbujesz ekipę...

Impuls stanął obok nich. Na jego twarzy jaśniał uśmiech satysfakcji. Wcześniej słyszał już o Bergu niejedno i cieszył się, że był w stanie dorównać mu kroku.

– Pracujecie razem? – zapytał.

– Pracowaliśmy... – odparł Proca, ale Tyszka wszedł mu w zdanie.

– I może znowu będziemy.

– Od czego to zależy? – drążył temat Impuls.

– Od tego, czy złapiemy kolesia, który od miesiący się wymyka.

– Niejaki Walicki – wyjaśnił Tyszka. – Wysłał mnie kiedyś na miesiąc do szpitala.

– Pobicie?

– Postrzał.

Impuls zagwizdał, a równocześnie z nim odezwała się komórka Berga. Sztabowy momentalnie znalazł się przy aparacie i odebrał. Wyraz jego twarzy zdradzał, że trening dobiegł końca.

– Namierzyli mieszkanie Walickiego – oznajmił przejęty.

– No to leć!

Proca wybiegł z sali treningowej. Tyszka z kolei podniósł z podłogi łapy trenera, wszedł na ring i kazał Impulsowi kontynuować zadawanie ciosów.

„Niestety okazja przepadła”

Okolica była nieciekawa. Już kiedy policyjny samochód zbliżał się do celu, Berg zrozumiał, że wjeżdżają na nieprzyjazny teren, wchodzą między wilki. Nikt nie będzie im tu przychylny. Dzielnica biedy, przestępczości i codziennej walki o jutro. Nie o lepsze jutro, ale o jutro po prostu. Przetrwanie było tu nadrzędną wartością.

W samochodzie siedziało czterech antyterrorystów, Berg oraz Dziki. W drugim land roverze jechało jeszcze kolejnych czterech funkcjonariuszy w plamiakach.

Cały zespół szybko przemierzył obskurne podwórko na jednym z osiedli. Gdyby Berg miał chwilę na refleksję, pomyślałby o starym mieszkaniu na Pradze, w którym się wychował, jednak teraz cała jego uwaga skupiała się na realizacji.

Policjanci z AT podążali przodem. Berg i Dziki trzymali się z tyłu. Ich obecność w szyku bojowym nie była konieczna, ale żaden z nich nie wyobrażał sobie nie wziąć udziału w zatrzymaniu Walickiego.

Weszli na czwarte piętro i stanęli pod drzwiami. Po jednej stronie dowódca z tarczowym, po drugiej funkcjonariusz z taranem ręcznym. Za drzwiami miał się znajdować poszukiwany Szymon Walicki. A oprócz niego? Nie mogli tego przewidzieć. W ich głowach pojawiła się myśl o tragedii w Lesznowoli. Co, jeżeli i tutaj zamontowano bombę przy wejściu?

Zawahanie trwało zaledwie krótką chwilę. Mieli do wykonania zadanie i wiedzieli, że przystąpią do realizacji, tak czy inaczej. Strach jest rzeczą ludzką. Tylko wariat się nie boi. Jednak kiedy staje się pod drzwiami bandyty, kiedy pada komenda:

„Wchodzimy”, nie ma już miejsca na strach. Zostają wyłącznie umiejętności, doświadczenie i pamięć mięśniowa.

Policjant zamachnął się taranem. Drzwi ustąpiły po jednym, zdecydowanym ciosie. Wrzucono granat błyskowy i zespół wkroczył do środka.

Zaczęli przeczesywać mieszkanie. Berg, który wszedł jako ostatni, stanął nagle w przedpokoju ze spojrzeniem wlepionym w balkon. Uderzyło go poczucie déjà vu. Biała firanka smagana wiatrem. Otwarte na oścież drzwi balkonowe. Z tym że tym razem nie znajdowali się na parterze, ale na czwartym piętrze!

Dopał do balkonu i wychylił się przez balustradę, po czym rzucił się w stronę korytarza.

– Jest piętro niżej! – krzyknął już z przedpokoju.

W pierwszej chwili Dziki chciał mu rozkazać, żeby się zatrzymał, ale zamiast tego ruszył za sztabowym, próbując dotrzymać mu kroku.

Berg zbiegał ze schodów, pokonując po parę stopni naraz. Gdy był na półpiętrze, drzwi mieszkania poniżej zostały gwałtownie otwarte. Wybiegł z nich mężczyzna.

– Stój, Walicki! – wrzasnął sztabowy, przyspieszając jeszcze bardziej.

Poręcz drżała, a cała klatka schodowa huczała od pokrzykiwań. Żaden z lokatorów nie ośmielił się wyjrzeć na korytarz, ale zapewne niejednen tkwił zaciekawiony przy wizjerze.

Walicki pędził na dół jak opętany. Odległość dzieląca jego i Berga zmniejszała się z każdym kolejnym półpiętrzem, jednak przestępca nie miał zamiaru się poddawać. Gdy dotarł do drzwi, Proca runął prosto na niego i razem wypadli na zewnątrz. Policjant przygniótł go ciężarem własnego ciała.

– Leż! – warknął.

Przyciskał go kolanem do ziemi, ale bandyta próbował się wyrwać. Uspokoił się dopiero, gdy sztabowy wykręcił mu do tyłu prawą rękę.

– To boli! Boli! Nie tak mocno! – pisał Walicki. Nagle z groźnego gangstera, strzelającego do policjantów, stał się delikatnym, pokrzywdzonym obywatelem.

Proca nie zwracał uwagi na jego piski i jęki. Mocno zacisnął kajdanki na jego prawym nadgarstku. Z lewym miał już problem, ponieważ Walicki trzymał rękę pod brzuchem i nie wykazywał woli współpracy. Kiedy z budynku wybiegł Dziki, we dwóch udało im się zakuć obie ręce zatrzymanego.

Z okolicznych okien zaczęły padać pokrzykiwania. Berg rozejrzał się w obawie, że koledzy z osiedla przybędą Walickiemu z pomocą. Jednak na podwórzu, pod zdezelowanym trzepakiem stał tylko jeden dzieciak. Na jego lewym policzku można było dostrzec blaknący już siniec. Trzymał pod pachą piłkę i przyglądał się scenie

zatrzymania z uwagą, bez cienia strachu w niebieskich oczach. Przypominał mu brata.

– Robert, nie stój tak! – Do chłopaka podbiegła przerażona kobieta około trzydziestki. Również miała ślady stłuczenia na twarzy. Złapała chłopca za ramię i szybko wciągnęła do pobliskiej klatki schodowej.

– Panowie, nie bijcie! – błagał Walicki na cały głos.

– Zamknij się, Walicki! Nikt cię nie bije! Choć niejeden miałby ochotę – zapewnił Proca.

Podnieśli zatrzymanego z ziemi i przeszukali go dokładnie. Berg odnalazł w jego kieszeni scyzoryk. Uniósł go na wysokość twarzy zatrzymanego i powiedział:

– Mówiłem, żebyś leżał z łapami na karku, kiedy po ciebie przyjdziemy.

– Mogłem cię wtedy pokroić...

Proca wzruszył ramionami i odparł:

– Niestety okazja przepadła.

Gdy prowadzili go do samochodu, z okien zaczęto wykrzykiwać pod ich adresem niewyszukane wyzwiska. Mocne męskie głosy wypowiadały liczne pogroźki.

Berg nie mógł dostrzec poszczególnych twarzy, nie potrafił ocenić, skąd dokładnie padały niekończące się dosadne epitety.

Wodząc spojrzeniem po oknach, gdy przechodził przez podwórze, zastanawiał się, po cholere to ryzyko. „Dla kogo cały ten wysiłek?” Dopadł Walickiego. To oznaczało koniec sprawy. Grupa została rozbita. Co to zmieni? Na miejsce skazanych przyjdą nowi, a martwi pozostaną martwymi.

Nagle dostrzegł w jednym z okien poruszającą się firankę. Pojawiła się w nim mała, krótko ostrzyżona głowa chłopca, która zaledwie trzy sekundy później zniknęła w głębi mieszkania.

Berg zrozumiał, że to wcale nie był koniec. Walka dopiero się zaczęła.

OD AUTORKI

Książka, którą trzymają Państwo w rękach, została zainspirowana prawdziwymi wydarzeniami (co zaznaczono już na wstępie), nie jest jednak ich wiernym odwzorowaniem ani portretem ludzi z nimi związanych.

Sądzę, że dla wielu Czytelników klarownym jest to, iż owym wydarzeniem była akcja Zarządu Bojowego Centralnego Biura Śledczego (ZB CBS) Komendy Głównej Policji przeprowadzona nocą z 5 na 6 marca w 2003 roku w Magdalence. Podczas realizacji doszło do strzelaniny między policjantami a dwoma poszukiwanymi bandytami, w której wyniku śmierć ponieśli przestępcy oraz dwaj funkcjonariusze AT: nadkom. Marian Szczucki „Maniek” (36 lat) oraz podkom. Dariusz Marciniak „Kaczor” (29 lat). Wystrzelono tamtej nocy około 4500 sztuk amunicji, lecz żaden z uczestników konfrontacji nie doznał ran postrzałowych.

W strzelaninie nie brali udziału policjanci z Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym (WTK) Komendy Stołecznej Policji. Ich praca polegała na operacyjnym rozpracowaniu grupy przestępczej oraz zlokalizowaniu poszukiwanych, a podczas samej akcji znajdowali się w odwodzie (na drodze dojazdowej do posesji). W realnych warunkach bojowych akcje prowadzone przez oddziały antyterrorystyczne (obecnie kontrterrorystyczne) nie dopuszczają współdziałania innych jednostek w działaniach bezpośrednich. Fakt ten został w powieści potraktowany z pewną swobodą literacką ze względu na zasady kierujące gatunkiem powieściowym, jak sensowność punktu kulminacyjnego oraz rozwój głównego bohatera.

Chciałabym, żeby ta książka była odebrana jako mój skromny ukłon w stronę tych, którzy każdego dnia wypełniają poprzez swoje działania słowa policyjnej roty. Są to nie tylko policjanci jednostek bojowych, ale wszyscy funkcjonariusze, dla których służba, odpowiedzialność i braterstwo nie są wyłącznie pustymi słowami.

Za współpracę przy tworzeniu tej książki dziękuję redaktor Agacie Tokarskiej,

która w pewnych scenach dostrzegła większy potencjał niż ja i pokierowała mnie na najlepszą literacką ścieżkę.

Dziękuję Robertowi, byłemu policjantowi, który po raz kolejny ukrocił moje hollywoodzkie zapędy, tłumacząc, jak wygląda bojowa rzeczywistość.

Dziękuję najbliższym za motywację oraz wyrozumiałość, kiedy uciekając w świat słowa pisanego, zapominałam o innych rzeczach.

Wciągnęła mnie ta historia. Liczę na to, że Czytelników wciągnie tak samo.

¹Kazimierz Galas, *Czerwony jak cegła*.

²Marcin Miller, *Wolność*.

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Motto

O książce

6 marca

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

Od autorki

Przypisy